

**Friede Birkner**

córka Jadwigi Courths-Mahler

**Któż by cię nie pokochał**

## I

Daj spokój, mój drogi! Pewnego dnia ona, tak samo jak ty, będzie współwłaścicielką fabryki Schottlera, i musisz się z tym pogodzić. Twój sprzeciw absolutnie nic już nie zmieni.

– Przecież to niemożliwe. Ustalono, że to ja kieruję fabryką i nie wyobrażam sobie, że nagle ktoś obcy będzie mi się wtrącał.

– Będzie, a ty będziesz mógł się sprzeciwić tylko w przypadku, gdyby dziewczyna zaczęła robić jakieś głupstwa. Tak zdecydował twój wuj, ale po co się martwić na zapas; do krytycznego dnia pozostało ci jeszcze dwa lata swobody. Później żadne siły w niebie i na ziemi nie pomogą – w gabinecie szefa firmy stanie drugie biurko, a dziewczyna usiądzie naprzeciwko ciebie.

– Zupełny nonsens! Czy wuj nie mógł w inny sposób zapewnić utrzymania potomkowi z przelotnego romansu?

– Mój brat miał przedziwne pomysły, to prawda, ale ja już zdążyłam się do tego przyzwyczaić. Najpierw to małżeństwo z Juliette, modelką z Paryża, a potem dla kontrastu – z Belgijką, panią profesor Coutiere. Trudno oba te związki nazwać normalnymi, chociaż przeciwko Elli Coutiere osobiście nic nie miałam. Rozwody też przeprowadził w sposób zaskakujący. Juliette, choć przyprawiała mu rogi od początku, dostała niezłe odszkodowanie, zaś Ella została w nowo wyposażonym laboratorium, jakiego mogli by jej pozazdrościć najsłynniejsi chemicy. Była zadowolona, sędzia zresztą też, więc małżeństwo rozpadło się po cichu, bez żadnego rozgłosu. Rodzina w zasadzie nie wtrącała się w jego sprawy, choć wiedzieliśmy o wszystkim. Najdziwniejsze, że o matce Józefiny brat nie wspomniał przy nas ani słowem.

– To dlaczego w tym nieszczęsnym testamencie, właśnie ją wyróżnił, choć, jak sama mówisz, nie utrzymywaliście z Józefiną żadnych stosunków? – doktor Ludwik Brunner spojrzał na ciotkę Iżę Gerlach i musiał się uśmiechnąć.

Siedzieli w jej przytulnym, staromodnie urządzonym saloniku i rozmawiali o czymś bardzo poważnym, a jednocześnie oboje mieli wrażenie, że sytuacja jest co najmniej zabawna.

– Trudno, niech już tak będzie – ciągnął Ludwik – przerwałem natychmiast podróż i wróciłem z zagranicy, gdy tylko dowiedziałem się o śmierci wuja. Prawdę mówiąc, posada szefa produkcji w pełni mnie satysfakcjonuje, i wcale nie ucieszyłem się perspektywą kierowania całym zakładem. Powinienem być zadowolony, że będę tylko pólshéfem, ale myśl, że drugą połową będzie pospolita dziewczyna, zaczyna mnie przerażać.

Pokiwał głową i sięgnął po papierosa. Ciotka nie zapaliła, lecz dodała z uśmiechem:

– Znowu przesadzasz mój drogi. Nie zapominaj, że Schottlerowie również wywodzą się od takiej pospolitej dziewczyny, i popatrz, do czego doszli.

– Tymczasem przyszła szefowa firmy prasuje koszule w pralni ekspresowej...

– Co znaczy, że jest przynajmniej pracowita i w miarę inteligentna. Leniwej i głupkowatej by tam przecież nie zatrudnili. Jak widzisz, niełatwo mnie zniechęcić, a co ma

być, to będzie, zwłaszcza że problem może wynikać dopiero za dwa lata. Pomyśl teraz, jak zawiadomić tę dziewczynę, aby ta wiadomość nie okazała się dla niej szokiem. A propos: skąd wiesz, gdzie nasza Józefa Hannemann pracuje?

– Chyba nie podejrzewasz ciociu, że ta dziewczyna mnie interesuje? Po prostu chcę wiedzieć, z kim będę miał do czynienia.

Ilza spojrzała badawczym wzrokiem na siostrzeńca. Nie był już żółtodziobem. Trzydziestkę miał już dawno za sobą, a jednak z całą pewnością można go było zaliczyć do mężczyzn, którzy podobają się kobietom. Był światowcem. Wiele podróżował, nie tylko dla przyjemności, ale głównie w celach badawczych. Inteligentny i niezależny finansowo (odziedziczył po matce, z domu Schottlerównie, spory posąg) Ludwik Brunner był ulubieńcem kobiet, natomiast mężczyźni cenili go za spokojny i zrównoważony sposób bycia. Miał wielu prawdziwych przyjaciół – takich na śmierć i życie.

– No, jestem ciekawa, jak ci się ułoży z tą małą. Ty też jesteś dosyć oryginalnym stworzeniem i niemało trzeba pogłównkować, żeby cię rozgryźć. Pedant jakich mało, co to swoją akuratnością, aż do przesady, zadręcza otoczenie! Ale będziesz miał pole do popisu! Dziewczyna z pralni, dziecko ulicy w twoim gabinecie... Nie wie biedactwo, co ją czeka. Brat sprawi jej zza grobu niezłą niespodziankę. Chciał, żeby córkę zawiadomić dopiero, gdy skończy osiemnaście lat, a potem na dwa lata wysłać ją na pensję do Szwajcarii. Po powrocie zasiądzie z tobą w gabinecie szefa firmy Schottlera.

– O której słyszała pewnie tyle, że produkuje nylonowe rajstopy.

– Prawdę mówiąc, wołałam te rajstopy niż tajemnicze włókna sztuczne, które teraz robicie dla Bundeswehry i przemysłu. Za nic w świecie nie da się z tego uszyć porządnej bluzki.

Ludwik roześmiał się.

– W żadnym wypadku, ciociu, nie próbuj szyć bluzek z tych materiałów. Są idealnie nieprzepuszczalne, co zresztą było celem naszych długoletnich badań. Wyznam ci w tajemnicy, że odkryłem w Sudanie roślinę, której włókna dodane do surowców w znakomity sposób podnoszą wytrzymałość naszych tkanin na wysokie temperatury.

– Uważasz, że powinnam się na tym znać?

– Bynajmniej, ale nasza praczka – wracając do tematu – będzie musiała. Drogi wuj powinien o tym pomyśleć. Chyba nie sądził, że praczka od razu będzie się znać na włóknach sztucznych.

– Nie zapominaj, że to pralnia chemiczna.

– Owszem, ale co pranie ma wspólnego z produkcją?

– Jeszcze się przekonasz!

– Dość żartów! Jak wyobrażasz sobie, ciociu, wejście tej dziewczyny w całkiem obcy dla niej świat? Niewątpliwie ma braki w wykształceniu, obyciu towarzyskim itd. , nie sądzisz?

– Sądzę, ale nawet sobie nie wyobrażasz, co potrafi zrobić kobieta, jeśli zechce, a gdy jeszcze przypadkiem się zakocha, to już ho, ho!

Jak się zaważmie, to choćby tobie na złość, zrobi wszystko zanim się obejrzyś.

– Roztaczasz przede mną obiecujące perspektywy, ciociu, a ja się obawiam, że pod

rządami panny Józefy cały biurowiec zamieni się w ptaszarnię.

– Ptaszarnię? Coś ty znowu wymyślił?

– Nie byłaś nigdy w ptaszarni? To idź do zoo, stań na kwadrans przy klatkach i spróbuj z kimś porozmawiać w tym jazgocie.

– Aha! Boisz się, że Józefa Hannemann nie da ci dojść do słowa.

– Tak będzie.

– Skąd ty czerpiesz wiadomości o tej dziewczynie, mój chłopcze?

– Wysłałem adwokata do jej opiekuna. Stary notariusz poskarżył się, że nie ma łatwego życia z młodą trzpiotką. Buzia jej się nie zamyka, a gdy coś nie układa się po jej myśli, to już lepiej od razu zatkać sobie uszy i zmykać. W szkole szło jej jako tako. Gdyby jednak wystawiano stopnie za psotnictwo, z pewnością byłaby prymuską. O dziwo, w pralni wszyscy chwalą ją za pracowitość, a koleżanki wprost za nią przepadają. Pewnie za gadulstwo! – dodał zawiedziony. – Nie jest to pocieszające, sama przyznasz. Całe szczęście, że mam dwa lata czasu na psychiczne przygotowanie się i wzmocnienie nerwów.

– Pesymista! Nie poczeka, tylko od razu widzi świat w czarnych kolorach. Popatrz na to z innej strony. Czy nie będzie ci przyjemniej siedzieć w towarzystwie młodej, ślicznej dziewczyny niż patrzeć na zgorzkniałą twarz starego wuja, mojego brata?

– Wuj Hugo był przynajmniej osobowością.

– Z drobnymi uchybieniami w rodzaju dwóch dziwacznych małżeństw i nieślubnej córki jako głównej spadkobierczyni. Jest chociaż ładna? – spytała Ilza smarując sobie kanapkę. Nie zauważyła więc grymasu, jaki zrobił zanim odpowiedział:

– Z tego, co mogłem zobaczyć przez witrynę pralni i co opowiedział notariusz, można by ją nazwać ładną, gdyby nie te okropne włosy.

– Włosy? Chyba nie jest łysa?

– Jest ruda! Bujne kędziory na całej głowie od czoła po kark.

– Ejże! Widzę, że dobrze jej się przyjrzałeś. Zapisz mi adres tej pralni, to też pójde zobaczyć moją bratanicę. Lepiej zawczasu poznać diablicę, która już teraz spędza ci sen z oczu.

– Diablicę? Dobrze to ujęłaś, ciciu, bo chyba sam diabeł musiał podkusić wuja, żeby wplątał nas w taką historię. Twój brat, a mój szanowny wuj, za życia wydawał mi się zupełnie pozbawiony poczucia humoru, a tu po śmierci wywinał nam taki numer.

– Coś nie wydaje mi się, żeby w głowie miał żarty. Chyba dręczyły go wyrzuty sumienia i nie chciał zabierać ich z sobą na tamten świat. Chciał raczej wyrównać czyjaś krzywdę.

– Mógł przecież to zrobić na tysiąc innych sposobów. Kilka tysięcy marek posagu dla tej małej zupełnie by wystarczyło.

– Szybko by je przepuściła, a na dodatek miałyby kłopoty z fiskusem, który na każdy spadek ostrzy sobie zęby i potrafi zedrzeć skórę z obdarowanego tak, że nieszczęśnik czasami musi jeszcze dopłacić. W końcu opiekun tej małej był notariuszem mojego brata, więc o czym dyskutujemy? Ty się złościś, ona się zdenerwuje, notariusz będzie się z tobą wyklócał, a i tak niczego nie zmienimy. Musimy robić dobrą minę do złej gry. Potrafisz się czarująco uśmiechać, ja też do tego się zmuszę, i poczekajmy co z tego wyniknie. Dwa lata to szmat

czasu. Co więc planujesz na ten czas? Czekają cię wielkie zmiany i nie będziesz już mógł swobodnie dysponować swoim czasem. Firma Schottlera zabierze ci wiele czasu, jeżeli zechcesz nią kierować samodzielnie.

– Zapomniałaś dodać, że jako pólsef! Jak ja nie cierpię spraw załatwionych połowicznie, niejasnych, nie dopracowanych i do końca niewiadomych!

– I ta „sprawa” za dwa lata usiądzie przy biurku w twoim gabinecie. To chciałeś powiedzieć, prawda? – uśmiechnęła się Ilza wyrozumiale.

Jej pedantycznemu, zorganizowanemu i przewidującemu siostrzeńcowi nagle ktoś obcy burzy zaplanowany porządek i on nie może się z tym pogodzić. Trudno się dziwić, gdyż już raz zaplanowane życie zburzyła mu wojna. Szczęśliwie udało mu się przeżyć, ale po powrocie do ojczyzny musiał zaczynać od zera. Ciężko pracował przy odbudowie zniszczonej fabryki wuja, a później przy jej unowocześnianiu. Rodzice zginęli w czasie bombardowania, został zniszczony cały ich dobytek i firma, z którą Ludwik wiązał nadzieje na przyszłość. Szczęśliwie ocalał tylko majątek matki. Bez chwili wahania młody Brunner przekazał go wujowi, zapewniając sobie jedynie udział w jego przedsiębiorstwie. Jako wspólnik nie przestawał ciężko pracować. Ukończył nawet specjalistyczne studia, by lepiej poznać technologię wytwarzania włókien chemicznych.

Była to udana inwestycja. Firma Schottler znacznie zwiększyła produkcję nowoczesnych tkanin i nie tylko. Szybko rozszerzyła krąg odbiorców swoich towarów, zwłaszcza poszukujących opakowań. W dzisiejszym świecie nie wystarczy już tylko produkować towary, trzeba je jeszcze ładnie opakować.

Kiedy fabryka pracowała już na pełnych obrotach, Ludwik uprosił wuję, by pozwolił mu wreszcie spełnić młodzieńcze marzenia i co roku wyjechać w podróż. Lubił zwiedzać świat. Interesował się sztuką, ale nie tylko. Z dala od fabryki, która ze względu na prestiżowe stanowisko, jakie zajmował, narzucała mu sztywny sposób bycia, mógł wreszcie być sobą. Korzystał z uciech życia, o czym ciotka wielokrotnie mogła się przekonać, gdy po powrocie pokazywał zdjęcia i opowiadał o ludziach, których spotkał.

I ten wesoły, żądny przygód Ludwik siedział teraz w jej saloniku zrozpaczony, że za dwa lata jakaś młoda dziewczyna usiądzie przy nim za biurkiem i będzie domagać się wyjaśnień, sprzeciwiać się jego decyzjom i Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze. I on ma się na to zgodzić? Nigdy! Jest gotów walczyć do upadłego. Rzuci w kąt dobre maniery, rozsądek, przekonania i będzie walił pięścią w stół, aż pospadają kałamarze, byleby tylko postawić na swoim.

Nudno to tam nie będzie! Dobrze, że dziewczyna na jakiś czas wyjedzie. Ilza nie знаła jej, ale za wszelką cenę chciała pomóc. Teraz za wcześnie na podejmowanie jakichkolwiek decyzji. Później coś się wymyśli.

– Mój drogi! Przestań się martwić na zapas. Co ma być, to będzie – próbowała się uśmiechać, ale widząc poważną minę siostrzeńca, dodała: – Opamiętaj się człowieku! Przeszedłeś już w życiu gorsze i tragiczniejsze chwile, a teraz trzęsiesz się ze strachu jak diabeł przed święconą wodą.

– Bo też, ciociu, będę musiał z tą diabolicą siedzieć do końca życia przy jednym biurku i co chwilę pytać, czy wolno mi coś zrobić, czy nie. Razem będziemy musieli kierować

fabryką!

– Co na pewno wyjdzie jej na dobre, podobnie zresztą jak tobie i tej dziewczynie. Na kiedy umówiłeś się z notariuszem, by zawiadomić ją o testamencie jej ojca? To będzie ważna data w historii fabryki Schottlerów.

– Z informacji notariusza, opiekuna Józefy, wynika, że powinno to nastąpić w dniu osiemnastych urodzin dziewczyny.

– Bardziej ogłędnie już nie dało się powiedzieć, Ludwiku? Powiedz mi zatem dokładną datę, kiedy owe dziewczę ukończy osiemnaście lat. ^

Ludwik rozwinął kartkę i nie patrząc na lizę, przeczytał głośno: *W piątek, trzynastego czerwca, o godzinie jedenastej, zapraszam Pana do mojej kancelarii w celu zapoznania się z ustaleniami zawartymi w testamencie, dotyczącymi mojej podopiecznej, Józefy Hannemann.*

*Pani Ilza Gerlach, z d. Schottler zostanie powiadomiona oddzielnym pismem.*

– Ho, ho! To ja też mam wziąć udział w tym przedstawieniu? No, chłopcze, nie będziesz sam – we dwoje zawsze raźniej. Jakoś to przeżyjemy, ale wyobraź sobie, co ta biedaczka będzie czuła!

– Pardon! Nie mam zamiaru martwić się o przeżycia każdej napotkanej dziewczyny. Niech raczej nie roni łez szczęścia, a od razu biegnie kupić sobie sznur pereł.

– Ostro, ale szczerze. Kiedy, twoim zdaniem, będzie mogła sobie pozwolić na kupno klejnotów, których jej życzysz?

– Muszą upłynąć dwa lata od przekazania jej informacji. Później zostanie pełnoprawną współwłaścicielką firmy Schottler i może sobie kupić furę pereł, jeżeli przyjdzie jej na to ochota.

– Przypuszczam, że wybierze futro z szynszyli. Patrz, co za historia: dziś prasuje koszule, a jutro w kosztownej toalecie będzie paradować w salonie. W willi twojego wuja będzie żyła jak w bajce.

– Przypominasz mi, ciociu, inkwizytora, który z lubością dopada ofiarę ze sztyletem w dłoni i zadaje kolejne tortury.

– Aż tak? Czyżbyś już broczył krwią?

– Nie widzisz? – wybuchnął nagle śmiechem, ale po chwili spowaźniał i spytał: – Co ty zamierzasz w przyszłości, ciociu? Zostaniesz w tym mieszkanku, czy też przeniesiesz się do willi? Masz prawo to zrobić.

– Poczekam. Jeśli będę tam potrzebna, przeniosę się. Nie zechcą i mnie, pozostanę tu, gdzie przeżyłam z moim Gerlachem najlepsze lata. jDla odmiany spytam: Co ty zamierzasz zrobić?

– Chyba nie myślisz, że zamieszkać pod jednym dachem z tą diablicą! Wystarczy, że będę znosić cierpliwie jej obecność w biurze. Wystarczy mi moje kawalerskie mieszkanie, do którego nie wpuszczę jej na krok. Niech sobie bierze willę i robi z nią co chce. i – Dzielimy skórę na niedźwiedziu, a on w puszczy. Decydujemy o sobie, dziewczyna musi mieć wolną rękę. Ma zresztą opiekuna i niech on się o nią martwi. To nie nasza rzecz. Zabierz teraz aktówkę, kapelusz, rękawiczki i swój kiepski humor, i zostaw mnie w spokoju. Dostarczyłeś mi materiału do przemyśleń na co najmniej tydzień.

– Cieszę się, że przynajmniej pozwoliłaś mi się wyzalić i nie od razu wyrzuciłaś za drzwi – uśmiechnął się Ludwik.

Pożegnali się niezwykle serdecznie, jak zawsze. Ilza posłała mu zagadkowy, trochę diaboliczny uśmiech:

– Coś mi się widzi, że we właściwym czasie przestaniesz ze swoimi problemami przychodzić do starej ciotki, a zaczniesz mówić o tym, co . wiesz, komuś innemu. Skarbnica twojej wiedzy jest wprost niewyczerpana, o ile się nie mylę.

Stał jak wryty, najwyraźniej zastanawiając się nad poważną odpowiedzią. Uśmiechnął się jednak i potrząsnął bujną czupryną.

– Widzisz mnie w roli Pygmaliona, ciociu? – spytał. – Musiałbym najpierw wyrzeźbić piękną Galateę na miarę swoich ambicji, a później jeszcze zakochać się i tchnąć w nią życie. Skąd wziąć dziś odpowiedni blok marmuru?

– Czy musisz dokładnie odtwarzać historię mitycznego Pygmaliona? Przecież Galatea niekoniecznie musi być z marmuru – przekomarzała się ciotka.

– Pygmalion i piękna Galatea! Czego też ty jeszcze nie wymyślisz, ciociu? Do tego ja w roli rzeźbiarza charakteru rudej prasowaczki. Próżny trud! Odrzucmy sprawę do kosza i nie wracajmy więcej do tego tematu.

– Dobrze, jak sobie życzysz, mój chłopcze, ale pamiętaj, że w koszu znajduje się czasami cenne dokumenty, kiedy w pocie czoła szuka się ich gorączkowo gdzie indziej. Pamiętaj, że zawsze chętnie widzę cię u siebie i cieszę się, gdy uda mi się poprawić twój nie najlepszy nastrój.

Patrzyła za siostrzeńcem przez okno, gdy wyszedł i elastycznym, sprężystym krokiem podchodził do nowoczesnego sportowego samochodu.

– No, no! Zaczyna się coś dziać. Widzę, że z ciekawości nie wytrzymam i sama czym prędzej pójde zobaczyć tę tajemniczą prasowaczkę koszul. Spytam, czy czasami nie prasuje też bluzek...

## II

– Józefa! Znowu nie sprawdziłaś koszuli i brakuje guzika!

– Lepiej guzika, niż piątej klepki – mruknęła młoda pracownica w odpowiedzi na uwagę swojej szefowej. Przeciągnęła palcami bujną, jasną czuprynę, i zerkając na koleżanki, nonszalanckim gestem włożyła do prasowalnicy najpierw mankiety męskiej koszuli, potem kołnierz, i szybko odwróciła się do drugiej maszyny, na której prasowały się plecy.

Powiesiła koszulę na wieszaku i po szynie ślizgowej pchnęła ją na następne stanowisko.

– Stara Berta wypatrzy każdy błąd. Co ją to obchodzi, czy jest guzik, czy go nie ma? – skwitowała koleżanka Józefy.

– Ją to może nie, ale tego, co będzie nosił tę koszulę pewnie tak. Ja w każdym razie tego guzika nie przyszyję.

– Ani ja. Niech sobie to wybije z głowy.

Dziewczyny stały pośrodku dużej sali na wprost okna wystawowego, pozostałości po istniejącym tu niegdyś sklepie, i od czasu do czasu zerkwały na ruchliwą ulicę.

– Ja zwariuję! Twój hrabia znowu tam jest!

Józefa rzuciła okiem, odwróciła się plecami do okna i lekko uniosła rąbek śnieżnobiałego fartucha.

– On może mnie gdzieś! Stoi i wywala gały, jakby nie miał nic lepszego do roboty. Na co on się tak gapi?

– Na pewno nie na mnie. Patrzy na ciebie, i to jak!

– Stary cap! Ruszże się wreszcie. Minę ma, jakby był księciem Walii we własnej osobie. Spływaj!

– Szkoda, że nie za mną się tak rozgląda – koleżanka wyjęła koszulę z maszyny i podała ją Józefie.

– Nie masz czego żałować. Bóg wie, co takiemu chodzi po głowie. Niech tylko spróbuje mnie kiedyś zaczepić. Walnę go torebką prosto między oczy, to zapomni nie tylko gdzie mieszka, ale jeszcze jak się nazywa. Jeszcze tam sterczy?

– Jak słup i patrzy na twoje nogi. Zapalił papierosa i stoi. Co za bezczelność!

Józefa nie zastanawiając się ani chwili, odwróciła się i pokazała mu język na całą długość.

– Masz, stary baranie! To chciałeś zobaczyć?

Potrząsnęła głową, a światła elektrycznej lampy jasno oświetliły jej kędzierzawą czuprynę.

Poktor Ludwik Brunner na chwilę osłupiał z wrażenia. Co za nieokrzesana dziewczucha! Pokazała mu język! I to ona ma być w przyszłości szefową fabryki Schottlera. Coś chyba z wujem było nie tak. Gdy pisał swój testament, pewnie nie był już przy zdrowych zmysłach i z łatwością da się obalić ten bzdurny dokument. Tej bezczelnej dziewczynie wypłaci się odszkodowanie i sprawa będzie załatwiona. Trzeba porozmawiać o tym z notariuszem. Nie, nie chodzi mu o pozbawienie jej praw do spadku, może nawet zrzec się pewnej części swoich



dochodów, ale za żadne skarby nie dopuści, by ta kobieta naraziła fabrykę na straty i pewnego dnia zasiadła w gabinecie szefa firmy. To już byłaby przesada!

Rzucił jeszcze pogardliwe spojrzenie na nieco zaparowaną szybę okna wystawowego i postanowił zapomnieć o Józefie Hannemann. Dla niego już nie istniała.

Ona tymczasem zerknęła przez ramię i zobaczyła, że natręt odchodzi. Nie był znowu taki stary, jak wydawało jej się w pierwszej chwili. Po co tu przychodzi? Coś z pewnością knuje. Jeżeli zjawi się jeszcze raz, Józefa pójdzie do szefowej i każe przepędzić intruza raz na zawsze.

Do pralni weszła klientka z dzieckiem i jamnikiem. Dla Józefy pies był znacznie ciekawszym obiektem niż „stary cap” za oknem. Musiała pogłaskać czworonoga, spytać malca jak ma na imię, zadać serię zwyczajowych pytań.

– Rozkoszny ten malec! A piesek prześliczny! Gdy za sto, dwieście lat zostanę milionerką, też sobie takiego sprawię – zapewniła Józefa, ani na chwilę nie zaprzestając pracy. Chociaż koniuszkiem buta chciała podrapać po grzbiecie zerkającego na nią spode łba szczeniaka.

– Myślałam, że jako milionerka kupisz sobie sznur pereł, futro z szynszyli albo elegancki samochód, a ty zaczynasz od jamnika!

– Cała ty! Nakupiłabyś bzdetów, a ja ulokowałabym wszystko w pewnych na sto procent akcjach i kupiła przytulne, niewielkie mieszkanko, takie które sama mogłabym posprzątać. Kto wie? Może gdybym wyszła za wściekle bogatego milionera, to kazałabym sobie kupić perły, futro i wozic się w eleganckim samochodzie. Ale zadowolilabym się tylko mieszkaniem. Chodziłabym dalej do pralni, a może nawet wynajęłabym jeden pokójek biednej studentce. To wystarczyłoby mi w zupełności.

– Cała Józefa! Żadnego ryzyka, co? Ja urządziłabym się zupełnie inaczej: Życ, żyć i jeszcze raz żyć! Korzystać z uciech ile się da...

– A potem skamleć i wbić zęby w stół. Cała Lotta! – zaśmiała się Józefa. – Daj spokój. Cieszymy się tym, co mamy. Niedługo skończę osiemnaście lat i mój opiekun obiecał podnieść mi kieszonkowe. Kupię sobie tę brązową spódnicę i sweterek, który ci pokazywałam na wystawie.

– To chyba śmieszne mieć nad sobą opiekuna?

– Wcale nie! Starszy pan jest dla mnie bardzo uprzejmy. Co miesiąc zaprasza mnie na obiad. Nie mogę się doczekać, kiedy chociaż raz najem się do syta.

– Nie boisz się, że palniesz jakąś gafę przy stole?

– Matka, gdy żyła, nauczyła mnie co wypada, a co nie. Ale Józefa, jeśli chce zostać milionerką, musi jeszcze sporo popracować nad sobą – uśmiechnęła się nie przestając pracować. Kropelki potu pokryły jej piękne, wysokie czoło. Zdmuchnęła je, gdy spływając osiadły na koniuszku nosa; gdy zebrało się ich więcej, musiała zetrzeć je rękawem.

Wreszcie wybiła szósta. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wszystkie maszyny stanęły. Pozostało uprzątnięcie sali, złożenie nawilżonych koszul przeznaczonych do wyprasowania jutro rano, zmycie podłogi. Dziewczęta odwiesiły robocze fartuchy, nałożyły ciepłe swetry, płaszcze, kurtki, co tam która miała, powkładały do torebek resztki ze

śniadania, termosy, grzebienie, szczotki, zapasowe rajstopy i pojedynczo lub grupkami rozeszły się do domów.

Józefa przeważnie wracała sama, gdyż pokoik, który wynajął jej opiekun, znajdował się w innej dzielnicy. Musiała iść przez całe miasto, ale wędrowka wzdłuż okazałych witryn zawsze sprawiała jej wielką radość. Kosmetyki, ubrania, buty, wyroby artystyczne – wszystko ją interesowało i zasługiwało na chwilę uwagi. Przystawała to tu, to tam. Opierała nogę o krawędź okna wystawowego, na kolanie kładła torebkę i podziwiała towary, o których mogła tylko pomarzyć. Nie ominęła żadnego kiosku z gazetami. Przeglądała kolorowe okładki czasopism. Jedne odrzucała natychmiast, gdy nie lubiła uśmiechającej się z okładki gwiazdy filmowej, inne – gdy postać wydała jej się sympatyczna – przeglądała gruntownie. Jak te eleganckie modelki potrafią ustać w niektórych bardzo dziwacznych pozach? – zastanawiała się. Chwytała pierwszą z brzegu gazetę bulwarową, w kiosku warzywnym kupowała jabłko lub pomarańczę i miała zajęcie na cały wieczór. W swoim przytulnym pokoiku Józefa Hannemann czuła się jak prawdziwa milionerka. Zarobione pieniądze mogła przeznaczać na własne wydatki. Czynsz oraz większe zakupy opłacał opiekun. Ostatnio musiała się z nim targować o nowy płaszcz na zimę.

Trwało to tak już ponad cztery lata. Józefa nie miała jeszcze czternastu lat, gdy spotkał ją ciężki cios, jakim niewątpliwie była śmierć ukochanej matki. Po prostu zgasła, jakby nie miała już siły dłużej żyć. Wtedy pojawił się opiekun i wziął los dziewczynki w swoje ręce. Posłał ją do szkoły, by wyuczyła się zawodu, i wynajął pokój przy rodzinie, gdzie mogła jadać kolacje i czuć się po trosze jak u siebie w domu.

Józefa była zadowolona. Pogodziła się z myślą, że musi pracować i sama zadbać o środki do życia. Pracowała chętnie, choć w głębi duszy marzyła, że w końcu coś musi się zmienić. Przecież nie zostanie starą panną, skoro brzydszym i mniej zaradnym koleżankom udało się jakoś powychodzić za mąż. Jednak nie zamierzała się spieszyć. Ceniła sobie niezależność i nie potrafiła pogodzić się z myślą, że będzie musiała pytać się męża, czy wolno jej zrobić to, czy owo. Zanim się zdecyduje, szanowny przyszły/pan mąż musi uzbroić się w cierpliwość.

Skuliła się jak kotka w swoim wygodnym łóżku i przeniosła w krainę marzeń, gdzie można było spotkać wielu ciekawych ludzi. Skąd wziął się tam nagle ten „stary cap”, który wcale nie był taki stary? Wyglądał całkiem przyzwoicie. Mieszkał pewnie w uroczym zamku, otoczony liczną służbą, jeździł wystrzałowym autem i tak dalej. Dziwne, że tylko on w jej snach wyciągał rękę do Józefy, trzymając w niej futro z szynszyli, i przemawiał łagodnym głosem – „Weź je Józefo. Jest twoje. Zaraz kupię ci perły, ale najpierw muszę znaleźć blok marmuru, z którego mógłbym cię wyrzeźbić”.

– Co za głupi sen! – Józefa ze złości waliła pięściami w kołdrę. – Bzdura! Jak jeszcze raz pojawi się przed witryną, zdiele go mokrą koszulą przez ten ufryzowany łeb!

Mogła to zrobić już następnego ranka, ale aż ją zamurowało! „Stary cap” zjawiał się w pralni i trzymając kilka koszul w rękę rozmawiał przy kontuarze z szefową! O co mu chodzi? – Józefa nastawiła ucha. Skarżył się, że mankiety zostały za mocno nakrochmalone.

Szefowa przyniosła trzy koszule, położyła je przed Józefą i wyjaśniła, o co klientowi chodzi.

– Pan doktor Brunner musiał przyjść osobiście, by poskarżyć się na zbyt sztywne mankiety. Zawsze przysyłał lokaja.

– To co z tego? Truda nałożyła za dużo apretury, maszyna jest za gorąca, to co ja na do poradzę? Trzeba odmoczyć mankiety, ale koszula będzie do odebrania dopiero jutro.

– Tak też powiedziałam panu doktorowi, ale on chce ci osobiście wyjaśnić, co powinnaś zrobić.

– Niech pocałuje psa w nos – burknęła pod nosem, a w duchu życzyła mu wszystkich dziesięciu plag egipskich na raz. Rzuciła w jego stronę tak lodowate spojrzenie, że pod nim aż ugięły się nogi. Niepewnie wziął następną z koszul i przepychając się między prczkami zmierzał w kierunku Józefy, która obdarzyła go najbardziej pogardliwym spojrzeniem, na jakie ją było stać. Towarzyszył mu szydery chichot koleżanek. Cóż, wybrednych i marudnych klientów tu też zbytnio nie lubiano. Szefowa najwyraźniej nie zamierzała przyjąć wybuchu złości klienta na siebie, więc wolała skierować go na pracownicę i nie zastanawiając się długo, posłała Brunnera do Józefy. Nie wątpiła ani przez chwilę, że w przyszłości mankiety jego koszul będą jeszcze sztywniejsze.

– Droga pani, jak mi powiedziano, to pani odpowiada za wykończenie mankietów, więc miałbym gorącą prośbę, żeby w przyszłości nie usztywniać zbyt mocno wewnętrznej strony. Pracuję dużo przy biurku i ostre krawędzie są bardzo dokuczliwe.

Odwinął mankiet na zewnątrz i powoli podniósł wzrok na dziewczynę. Do licha, ależ ona ma oczy, diabolic! A jakie włosy! Zakreśliło mu się w głowie. Pod lekko drwiącym spojrzeniem jej szarozielonych oczu, trochę skrzywionym uśmiechem ślicznych ust, Ludwik nagle stracił pewność siebie. Józefa przeciągnęła smukłą dłonią po włosach, a on miał wrażenie, że mimo hałasu maszyn, słyszy ich chrzęst.

– No, dobrze! Proszę położyć te koszule tutaj. Gdy tylko maszyna będzie wolna, zaraz się nimi zajmę. Czy jeszcze czegoś pan sobie życzy?

– Nie, dziękuję. Przyszedłem tylko w sprawie mankietów.

Nie obchodziło go, co pomyślała Józefa. To jej rzecz. Najważniejsze, że znalazł się za drzwiami pralni, dziękując Bogu, że ma to już za sobą. Chciał porozmawiać z Józefą, usłyszeć jej głos, zobaczyć ją z bliska. Udało się, ale już więcej jego noga w tym babskim gnieździe os nie postanie. Koszule to sprawa lokaja.

Gdyby usłyszał komentarze, jakie padały po jego wyjściu, byłby w jeszcze gorszym nastroju.

– „Ostre krawędzie są bardzo dokuczliwe!” – przedrzeźniała jedna z praczek, a druga naśladując krok Ludwika podeszła do Józefy – „Powiedziano mi, że to pani odpowiada za wykańczanie mankietów... „

Józefa nie wytrzymała. Trzymając akurat mokrą koszulę, zamachnęła się i przeciągnęła nią koleżankę przez plecy.

– Zamknij się! Żyjemy z klientów i nie wolno się z nich naśmiewać. Ten zaś był wyjątkowo uprzejmy.

– Ho, ho! Józefa broni swojego hrabiego!

– Bądź pewna, że gdy kiedyś zostanę hrabiną, nie pozwolę prać koszul mojego męża w

tym zakładzie. Wasze głupie gadanie wychodzi mi już uszami.

\*\*\*

– „Nie, dziękuję! Przyszedłem tylko w sprawie mankietów!” – nie dawała za wygraną jedna z koleżanek, ale zamilkła natychmiast poczęstowana przez Józefinę kopniakiem w tydkę.

Zapadła cisza, a dziewczęta zabrały się pilnie do roboty. Szefowa odetchnęła z ulgą. Prędzej upilnowałaby worek pcheł niż bandę rozbrykanych młodych pracowników.

Józefa ciągle wracała myślami do zdarzenia. Nie było w nim nic śmiesznego. Ostatecznie klient miał rację. Zapłacił za usługę i miał prawo domagać się dobrze wykonanej roboty. Kiwnęła na szefową, która natychmiast podeszła do jej stanowiska.

– Jak nazywał się ten facet? Chcę dołączyć do koszul bilecik z przeprosinami.

– Doktor Ludwik Brunner.

– Dzięki.

A więc nie żaden hrabia, a taki uprzejmy. Ani arogancki, ani nie spoufalał się zbyt. Stary? Skądże, tak tylko z daleka jej się wydawało. Najwyżej mógł mieć koło trzydziestki, no, może trzydzieści osiem. Elegancki. Nie dziw, że zależy mu na porządnie wyprasowanych mankietach.

Józefa zamyśliła się i mało ją obchodziło, że w tym czasie mankiety innego klienta za długo przytrzymane w prasowalnicy zamieniają się w sztywne deski.

Niemal ukradkiem, ale z wielką troskliwością zajęła się koszulami pana Brunnera, co wcale nie było łatwe, gdyż musiała w pierwszej kolejności prasować te, które zjeżdżały na wieszakach po szynie. Szefowa podeszła i z uznaniem pokiwała głową.

– Jeszcze by tego brakowało, żeby wszyscy klienci przychodzili tu ze specjalnymi życzeniami – burknęła pod nosem.

Nie spodziewała się żadnej reakcji Józefiny. Ta zaś potrząsnęła nerwowo głową i przez ramię rzuciła szefowej sztyletujące spojrzenie.

– Zapłacił, to ma prawo wybrzydząć. Pani też się boczy, gdy ktoś odbierze towar i nie zapłaci.

Masz ci los! Szefowa przełknęła pigułkę bez słowa. Brak chętnych do pracy... Gdzie te stare dobre czasy, gdy za takie odezwanie się bez chwili wahania wyrzuciłaby pyską dziewczynę na bruk.

Józefa, jak gdyby nigdy nic, zabrała się do pracy, a szefowa bez słowa wróciła do swojego kontuaru.

Ile to jeszcze godzin stania? Józefa popatrzyła na obolałe nogi. Co to koleżanka mówiła? Że ten „stary” – no nie, znowu nie był taki stary patrzył przez witrynę na jej nogi? Skądże! Jego interesowały przede wszystkim źle wyprasowane mankiety. Dobre i to. Przynajmniej wiadomo, że nie przychodzi tu w niecnym zamiarach. Musi opowiedzieć o tym opiekunowi, to się staruszek uśmieje. Lubił, gdy opowiadała o swojej pracy, o dziewczynach w pralni. Co się dziwić; całe życie spędza w swojej zakurzonej kancelarii, nie wiedząc, co naprawdę dzieje się na mieście. Józefa była dumna, że znalazła tak interesującą pracę i nie zamieniłaby jej na

żadną inną.

Pewnego dnia szefowa znowu poprosiła ją do kontuaru. Obok stała leciwa dama, bardzo elegancko ubrana, i trzymała w ręku kilka bluzek. Aha! Znowu jakieś specjalne życzenie i trzeba będzie przestawiać maszyny. Józefa z naburmuszoną miną podeszła do obu pań.

Elegantka patrzyła na nią z miłym uśmiechem na ustach, bez cienia niezadowolenia czy zadzierania nosa. Widać jedyny problem tej damy stanowiły drogie, niewyprasowane bluzki.

– Józefo, czy moglibyśmy wyprasować te bluzki dla pani Gerlach na pojutrze do południa?

– Z długim rękawem?

– Tak jest, proszę pani. I z mankietami na stałe.

Na słowo „mankiety” Józefa od pewnego czasu reagowała nerwowo.

Ilza Gerlach tymczasem z pietyzmem rozkładała swoje cenne bluzki z prawdziwego jedwabiu przed przyszlą szefową firmy Schottlera. Dziewczyna brała je w swoje delikatne palce i trochę kręcąc nosem komentowała:

– Bogu dzięki, że nie ma koronek. Z nimi byłoby sporo kłopotów. Jakoś sobie poradzę. Prasować na sztywno, czy lekko?

– Niezbyt sztywno, droga pani. Byłoby szkoda zniszczyć tak piękny jedwab.

– Hm, co racja to racja. Prawdziwy chiński, nieprawdaż?

– Doskonale się pani zna na tkaninach. Mój brat przywiózł mi kilka metrów z Tajwanu, gdzie przebywał służbowo. Prawdę mówiąc, bałam się sama prac i prasować tak delikatny materiał.

– Po to właśnie my tu jesteśmy – oświadczyła z dumą Józefa i, spakowawszy zawiniątko pod pachę, spojrzała w uśmiechniętą życzliwie twarz starszej pani. Niemal instynktownie dygnęła przed nią w starym stylu i uśmiechnęła się także.

– Pojutrze w południe bluzki będą do odebrania – rzekła.

– Bardzo pani dziękuję. Jeżeli w przyszłości będę potrzebowała uprać coś drogiego, z pełnym zaufaniem przyjdę do pani, bo widzę, że trafiłam na osobę znającą się na rzeczy.

– Och, to lekka przesada, proszę pani – roześmiała się Józefa swoim niezwykle uroczym uśmiechem, a Ilza pomyślała, że dziewczyna nie może być zła, skoro stać ją na tak sympatyczny gest.

– Na rzeczy zna się szefowa, a my jesteśmy tylko prasowaczkami – dodała Józefa.

Zrobiła to celowo, by przy okazji dopiec nielubianej i gderliwej szefowej, uważającej się ponadto za kogoś lepszego.

Starsza pani pomachała życzliwie Józefie, gdy ta stanęła przy swojej maszynie i żywo zabrała się do roboty. Jej błyszczące włosy były jedynym kolorowym akcentem w białej sali. Czy będzie tak również w przyszłości, gdy roztrzepana młoda dziewczyna zasiądzie w gabinecie szefa firmy Schottler?

### III

Gdy Ludwik po przygodzie z mankietami wrócił do swojego wygodnego kawalerskiego mieszkania, stary lokaj już na progu zawiadomił go, że nadszedł jakiś ważny telegram z zagranicy. Spytał też, czy pan od razu życzy sobie kawy, czy woli najpierw przeczytać depeszę.

Wybrał telegram i ze zdumienia otworzył szeroko oczy:

*Pilnie potrzebuję Twojej pomocy. Viola i Helmer zdani całkowicie na mnie. Zbankrutowałem, nie mogę zapewnić im bezpieczeństwa. Liczę już tylko na Ciebie. Odpowiedz. Hotel Oasis, El Kantara.*

Kurt Wielki Boże, to ci dopiero niespodzianka! Trzeba się dobrze zastanowić, co można zrobić dla Kurta. Pomóc mu, oczywiście, ale jak?

Ludwik kazał sobie podać kawę i kieliszek brandy. Musi spokojnie przemyśleć wszystkie okoliczności.

W pamięci jak żywe stały mu wydarzenia z ostatnich lat wojny, gdy zdesperowani, zdziesiątkowani oczekiwali upragnionego jej końca. Ludwik, jako młody oficer, trafił na front do Tunezji. Spod ElAlamein udało mu się ująć z życiem, ale o szybkim powrocie do Niemiec nie było mowy. Część oddziałów zdążyła się ewakuować na Sycylię, jednak Ludwik i jego przyjaciel Kurt Schröder pozostali w niewoli zdani na łaskę, a raczej niełaskę zwycięzców i niemiłosiernej zwrotnikowej aury.

Obaj poznali się w czasie rekrutacji do Afrika Korps, gdy przechodzili serię bolesnych zastrzyków przeciwko przeróżnym tropikalnym chorobom. Zaprzyjaźnili się od razu na dobre i na złe. Razem pomagali sobie w chwilach zagrożenia, razem też spędzali rzadkie chwile radości.

Kurt właściwie niczym szczególnym się nie wyróżniał, gdyby pominąć jego niezwykle dar szybkiego uczenia się obcych języków. Ukończył zaledwie szkołę zawodową, na wojnie dochrapał się stopnia kaprała i nie miał najmniejszego zamiaru iść śladem Ludwika, który szybko awansował i wszedł do grona oficerów.

Rozmawiali często o dalszych zamierzeniach, gdy w końcu wojna się skończy i wyjadą z tego upalnego i niegościnnego kraju. Kurt potrząsał tylko swoją czupryną przypominającą barwą snopek zboża i wzruszał ramionami. Ludwik pytał, jakiego zawodu chciałby się wyuczyć w przyszłości. – Żadnego! – padała flegmatyczna odpowiedź. A może już coś umie? – Nic! Co zatem zamierza robić? – Nic! Leżeć na słońcu.

Ludwik dla swojego odważnego, serdecznego i niezwykle uczciwego przyjaciela gotów był zrobić wszystko, ale skoro on nie chciał NIC?

Trzeba było cierpliwie czekać, aż kiedyś wojna się skończy i będą mogli wrócić do kraju.

Wreszcie nadszedł ten dzień. Rozpoczęto przygotowania do wywiezienia wziętych do niewoli. W Bizercie czekały już okręty.

Kurt podszedł do Ludwika z rękoma w podartych kieszeniach spodni będących właściwie strzępem. Uśmiechał się, aż połyskiwały białka jego niebieskich oczu. Szepnął półgębkiem,

żeby nikt nie usłyszał:

– Wracaj, stary, do cywilizacji, do zawodu, uczciwej pracy, ale beze mnie. Ja zostaję!

– Kurt! Nie rób głupstw, których nie da się później naprawić. Nadarzyła się okazja, więc wracajmy czym prędzej do normalnego świata.

– Normalnego dla ciebie, ale nie dla mnie. Nie zniosę już żadnej dyscypliny, unormowanego trybu życia. Nie gniewaj się, ale nasze drogi muszą się rozejść tu i teraz. Dzięki ci, stary, za przyjaźń i za wszystko, co dla mnie zrobiłeś, czego w wolnych chwilach mnie nauczyłeś. Dzięki tobie wiem, że są ludzie, których potrafię lubić i szanować. Kochać już jednak nigdy nie będę. Wolę więc zostać w Afryce, gdzie nie znam nikogo i nikt nie zna mnie.

– Za co chcesz tu żyć?

– Dam sobie radę. Gdy stanę mocno na nogach, przyślę ci kolorową widokówkę i zaproszę do siebie. Zobaczysz. Będę wiedział, gdzie cię znaleźć, wracasz przecież do cywilizacji, gdzie wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak mi ciężko rozstać się z tobą, ale cóż – innej rady nie ma.

– Kurt, jak mógłbym ci pomóc? Masz pieniądze?

– Skąd? Nawet naddartego dolara.

– A dokumenty?

– Człowieku, czyś ty słyszał, żeby orzeł potrzebował jakichś dokumentów? Rozejrzyj się dookoła. Widzisz te ogromne góry tam na horyzoncie? To Atlas. Myślisz, że mityczny siłacz potrzebował tu dokumentów? Zarzucił sobie ziemski glob na grzbiet i został sławny aż po dziś dzień.

– Zastanów się, Kurt, co ty pleciesz.

Odrapany transportowiec zabierający żołnierzy z Bizerty porykiwał od czasu do czasu, ponagłając maruderów.

– Przecież musisz mieć jakiś cel, dla którego chcesz tu zostać. No dobrze, twoja sprawa. Daj mi przynajmniej jakąś szansę na udzielenie ci pomocy, gdybyś jej potrzebował. Nie pozwolę ci zostać, jeżeli nie podasz mi adresu kontaktowego.

– Aleś ty uparty, stary! Wyteż łepetynę i zapamiętaj: gdybyś bardzo chciał wysłać mi parę groszy, to nadaj je na nazwisko pana Trettiera, Francuza, który ma konto w Banque de Tunis w Bizercie. Przyślesz, to dobrze, nie przyślesz – też nic się nie stanie. Zapamiętaj ten adres. W razie czego, tam dowiesz się, co ze mną.

– Ten monsieur Trettier pomaga ci już teraz?

– To drobny handlarzyna bronią. Wykorzystuje moją znajomość języków, ale to ja trzymam go w garści, a on skacze, jak zagram – Kurt opowiadał, jakby chodziło o odpisywanie na lekcji. – No, nie patrz na mnie jak mamka, której odebrano dziecko. Wiem, co robię i nie posunę się za daleko. Inaczej nie śmiałbym ci otwarcie i śmiało spojrzeć w oczy. Właż na trap, bo jeszcze cię tu zostawią, a ja pędzę do buszu, no – powiedzmy – do gaju palmowego.

Uderzył Ludwika w wystające pod wyświechtanym mundurem łopatki i nagle zniknął w kotłującym się tłumie podobnych do niego żebraków.

Nie było sensu za nim biec, wołać. Ludwik omal zapomniał, że jako oficer miał kilkunastu podkomendnych, którzy szczęśliwie przeżyli, i to on powinien eskortować ich aż do ojczyzny.

Po chybotliwej kładce, która chyba tylko dzięki szczególnej pieczy Allaha nie zerwała się i nie wpadła do wody, weszli na niesamowicie zabrudzony pokład. Ludwik ze smutkiem w oczach szukał swojego jedynego przyjaciela w tłumie kręcących się ludzi. Dostrzegł jego jasnoblond czuprynę wśród stosu pustych beczek po smole, na wysypisku odpadków. Uniósł swój podziurawiony kapelusz i z szerokim uśmiechem na wychudłej twarzy pomachał stojącemu na pokładzie przyjacielowi.

Minęło od tamtego czasu wiele długich lat, nieprędko też Ludwik mógł wysłać obiecane pieniądze za granicę. Najpierw posłał niewielką sumę. Przyszło potwierdzenie od pana Trettiera, więc można było nadać kolejne przekazy. Dopiero za piątym czy szóstym razem nadszedł list od Kurta, krótki, bo prócz podziękowań za pieniądze, było w nim tylko zaproszenie do odwiedzin. Kurt zaproponował spotkanie w Biskrze, oazie na skraju Sahary, modnym kurorcie w Algierii. Podał adres luksusowego hotelu, co mogło oznaczać, że powodziło mu się nie najgorzej.

Po ośmiu latach obaj przyjaciele znowu się spotkali.

Ludwikowi wiodło się już całkiem nieźle. Odzyskał znaczną część spadku po matce, zainwestował go w przedsiębiorstwo wuja i jako współdziaławiec zarządzał dużym oddziałem produkcyjnym. Na brak pieniędzy nie narzekał, nieżałował ich też na rozrywki. Można by rzec, że próbował nadrobić czas młodości stracony na wojnie. Bawił się i ani myślał wiązać sobie życie małżeństwem. Bez chwili wahania przyjął zaproszenie do Algierii. Wysłał potwierdzenie na adres pana Trettiera, zarezerwował bilet lotniczy w agencji Air France i po kilku dniach pod palmami spotkał się z przyjacielem.

Patrzyli na siebie długo i z uwagą. Co też po tylu latach zostało z ich przyjaźni? Uścisnęli się krótko, ale mocno – to znaczy wszystko było jak za dawnych lat. I zaczęły się opowieści. Najpierw Ludwik...

– No, bracie, teraz kolej na ciebie – rzekł gdy skończył. – Tylko pamiętaj, że od razu wiem, kiedy kłamiesz, więc nie próbuj lawirować. Chcę słyszeć prawdę.

– Powiedzmy, nie całą prawdę – Kurt zaśmiał się szczerząc równiutkie białe zęby. – Po pierwsze nie chcę żebyś mi tu zemdlał, a po drugie i tak posądziłbyś mnie, że zmyślam. Porozmawiajmy o ostatnich latach, zaś na te pierwsze spuśćmy raczej zasłonę milczenia.

– Były aż tak złe?

– Nie można nazywać złem czegoś, co się samemu wybrało. Różowo nie było, ale zapewniam cię, że na nazwisku Schröder nie zostawiłem plam, których nie można by zmyć benzyną lub innymi chemikaliami – zaśmiał się Kurt zupełnie tak samo jak dawniej. Dalej beztrouski, trochę lekkomyślny i bezgranicznie wierzący w swój fart i szczęśliwą gwiazdę. Jedynie kilka zmarszczek wokół jego mądrych i bystrych oczu zdradzało o nim więcej prawdy, niż zamierzał powiedzieć sam. Jego niezwykle barwna opowieść obfitowała w niezwykle wydarzenia. Raz była to wędrówka z karawaną wielbłądów po pustyni, raz przemysł haszyszu, życie pod namiotami beduinów, w oazach, występy tancerek, aż po



„ostatnie bumbum”, jak nazwał rozruchy niepodległościowe w Algierii.

Ludwik, prawdę mówiąc, słuchał trochę znudzony.

– A co z tego wszystkiego zdarzyło się naprawdę? – spytał na koniec.

– Połowę możesz uznać za zmyśloną, drugą podzielić po połowie między rzeczywistość i marzenia, i wtedy – powiedzmy – będziesz bliski prawdy.

– Myślisz czasami o czymś takim jak przyszłość? Dziś, sądząc po hotelu w Biskrze, w którym siedzimy, wiedzie ci się nie najgorzej.

– Zgadłeś. Pieniądzy, jak na razie, mam jak lodu, ale jutro może mi zostać w ręku tylko kupka bezwartościowych papierów.

– Masz jakiś zawód?

– Skądże, co najwyżej zajęcie, ale służące tylko jednemu: przeżyć to życie tak, jak sobie wymarzyłem.

– Domyślam się, że coś jednak przeszkadza ci w tym zajęciu.

– Pewnie nie słyszałeś o wielkiej, prawdziwej, ogromnej miłości, co? – spytał niespodziewanie Kurt obojętnym tonem.

– Aż tak źle z tobą, stary?

– Gorzej niż myślisz. Ona jest mężatką, a ja nie widzę sposobu uwolnienia jej od niekochanego małżonka – Kurt zapatrzył się w dymiący koniec swojego orientalnego papierosa. Nagle podniósł głowę i spojrzał Ludwikowi prosto w oczy:

– Nie wiem co robić i dlatego strasznie chciałem spotkać się z tobą i jak za dawnych lat porozmawiać z przyjacielem.

– Nie stawiam ci żadnych pytań, mój drogi. Słucham tylko tego, co sam zechcesz mi powiedzieć. Tak przecież było zawsze. Pamiętasz?

– To długa historia, ale opowiem ją krótko, żeby cię nie zanudzać szczegółami. Viola jest żoną francuskiego urzędnika reprezentującego tutaj władze kolonialne. Poznaliśmy się w czasie jednego z tych idiotycznych spotkań dla Europejczyków. Delikatna, śliczna blondynka, Szwedka z pochodzenia, wyszła za tego Francuza, chyba tylko ona jedna wie, dlaczego. Nie pytałem. Wystarczy, że wiem, iż nie kocha tego zapijaczonego błazna, wręcz go nienawidzi. Spytaś pewnie, dlaczego od niego nie odejdzie? Ma syna, rozsądnego jak na swój wiek trzynastolatka... Poczekać, zaraz opowiem ci wszystko po kolei. Od ośmiu lat jest panią Sallier. Kto jest ojcem chłopca, nie wiem i nie chcę wiedzieć. Na pewno nie jest nim ten skończony idiota.

Nie patrz na mnie jak na raroga. Takie jest życie. Ona kocha mnie, ja kocham ją, a ani razu sobie tego nie powiedzieliśmy. Dlaczego są to tak trudne do wypowiedzenia słowa? Sakramencko trudne! Czuję się jak ptak ze związanymi skrzydłami. Nie potrafię od niej odlecieć. Ciągle czekam, że zawoła mnie na pomoc. Zrobi to. Będę jej potrzebny i jestem tego tak pewny, jak faktu, że jutro znów będzie dzień. Rozumiesz o czym mówię?

– Staram się, dobry człowieku, i próbuję zająć jakieś stanowisko. Jesteś moim przeciwieństwem, więc w poważnych przypadkach możemy sobie wiele pomóc. Krótko mówiąc: potrzebujesz czegoś ode mnie?

– Nie dziś ani nie jutro, ale pewnego dnia będę cię potrzebował. Nie dla siebie, ale dla

Violi i chłopca. Wiesz, co tu się dzieje? Dochodzi do coraz poważniejszych napięć między Francją a Algierią – musi się to skończyć wybuchem wojny. Co stanie się z żoną francuskiego urzędnika, niezbyt zresztą lubianego, tam, w samym sercu Algierii? Wolę o tym nie myśleć.

– Nie masz żadnej możliwości zabrania tej kobiety do siebie?

– Żadnej. Jestem cudzoziemcem i najdrobniejszy incydent zostałby przez jej męża natychmiast wykorzystany, żeby wypędzić mnie z Algierii. On ma tu sporo do powiedzenia. Takich jak on popiera rząd w Paryżu nie zdając sobie sprawy, dokąd ich działalność prowadzi.

– Czy Sallier adoptował chłopca?

– Viola twierdzi, że bardzo nalegał, ale ona się sprzeciwiła. Bała się, że Helmer – tak ma na imię jej syn – zostanie uznany za Francuza, zwłaszcza, że mieszkał w Paryżu, gdy była tam tłumaczką.

– A prawdziwy ojciec?

– O nim nigdy nie wspominała, więc też nie pytam. Nie wiem, czy interesuje się chłopcem, ani nawet czy żyje. Zresztą, czy to zmieniliby cokolwiek? Że też akurat mnie, staremu łowcy przygód, musiała się przydarzyć taka historia! Dlaczego właśnie dla niej straciłem serce i odchodzę od zmysłów na myśl, że ją stracę? Śmiej się, stary, jeżeli wydaje ci się to śmieszne, ale nie radź mi tylko, żebym poszukał pociechy u tutejszych tancerek. Próbowałem już i tego, i wielu innych rzeczy, jednak wciąż wracam do punktu wyjścia. Czuję na sobie spojrzenie cudownych jasnych oczu Violi i miotam się jak w ukropie, pędząc od jednego głupstwa do drugiego. Dziś jestem bogaty jak nabab, jutro będę skamleć o niedopałek papierosa, pojutrze ograbię jakiegoś łobuza i odkuję się za wszystko, by za kilka dni znów wylądować mordą na śmietniku. Tak wygląda to moje życie i nie myśl tylko, że chciałbym je zmienić. Chyba że dobry Bóg wybaczy jeszcze raz łotrowi, tym razem mnie, i pozwoli zdobyć mi tę kobietę, być może się ustatkuję. Dziś gotów jestem mu to obiecać.

Ludwik patrzył ze współczuciem na przyjaciela, który bezradnie siedział na obitym skórą krześle i zamyślony rozgniatał w palcach papierosa.

– Nic się nie zmieniłeś, mój drogi. Widzę cię pomiędzy beczkami po smole w Bizercie, jakby to było wczoraj. Jakże inaczej, choć też nie bez kłopotów, potoczyły się moje losy. Miałem niewątpliwie więcej szczęścia. Ukończyłem studia, pomogłem wujowi odbudować fabrykę Schottlerów, zajmuję w niej teraz ważne, wysokie stanowisko, jestem niezależny finansowo. Dam ci pieniędzy, ile chcesz, ale Bóg świadkiem – jak inaczej pomóc tobie i tej kobiecie – naprawdę nie wiem. Chyba że potrzebne by były jakieś dokumenty?

– O ile wiem, wszystko jest w porządku.

Viola i Helmer zatrzymali obywatelstwo szwedzkie. Lubię tego chłopca. Włosy blond jak matka, tylko oczy ma ciemne. Jest nadzwyczajny, mówię ci.

– Nie można by polubownie załatwić tej sprawy z panem Sallierem?

– Wykluczone! Jest zazdrosny i piekielnie dumny ze „swojej własności”. Żeby mu ją odebrać, musiałbym go zabić albo zlecić morderstwo jakiemuś zbirowi.

– Nie opowiadaj takich głupstw nawet w żartach. Co zamierzasz teraz zrobić?

– Nic – Kurt spojrział na Ludwika z tym swoim rozbrajającym uśmiechem na ustach i

ukłonił się jak przed samym Mohammedem.

– Muszę czekać – dodał. – Obiecuj, proszę cię, że pomożesz mi, jeżeli już naprawdę nie dam rady. Na pewno nie będę potrzebował pieniędzy. Te, Boże drogi, dziś są, jutro ich nie ma, ale odezwę się, gdy będzie potrzebna pomoc Violi.

Ludwik podał mu dłoń. Beznamiętnie, ale szczerze i mocno Kurt odwzajemnił uścisk.

– W każdej chwili na miarę moich możliwości pomogę ci Kurt.

– Dziękuję ci przyjacielu. Przywróciłeś mi spokój i wiem, że mogę na tobie polegać.

Ludwik pozostał jeszcze cztery dni w Algierii. Mieszkał w tym samym eleganckim hotelu, co Kurt i razem codziennie zwiedzali pobliskie oazy i piękną okolicę. Najbardziej zapadła Ludwikowi w pamięć ElKantara, położona w górach oaza, nazywana często „bramą Sahary”.

To stamtąd Kurt wysłał alarmujący telegram, który Ludwik trzymał dziś w ręku – *Pilnie potrzebuję twojej pomocy [... ] Liczę już tylko na Ciebie!*

Boże! Jaka tragedia kryje się za tymi słowami? Co tam się stało, że Kurt rozpaczliwie woła o pomoc? Czy ma to związek ze strasznymi wydarzeniami w Algierii? Pewnie monsieur Sallier popadł w tarapaty, a Viola i jej syn schronili się u Kurta. To tylko domysły. Z tego miejsca nie da się rozwiązać zagadki, trzeba polecieć do Afryki, uspokoić przyjaciela i spróbować mu pomóc.

Usiadł przy biurku i napisał krótki list. Włożył do koperty kilka amerykańskich banknotów i wysłał pocztą lotniczą. Nadał też depezę:

*Za trzy dni lecę do Biskry. Czekam w Grand Hotelu na wiadomość, gdzie się spotkamy.*

*Twój zawsze wierny Ludwik.*

Dziś tylko tyle mógł zrobić dla przyjaciela.

Z agencji Air France przyszło potwierdzenie rezerwacji miejsca w samolocie, więc Ludwik trochę się uspokoił. Pozostał mu jeszcze tylko jutrzejszy niemiły obowiązek złożenia wizyty u notariusza, w czasie której ta przybędą, Józefa Hannemann, zostanie przyjęta na łono rodziny. Na szczęście, najgorsze czeka go dopiero za dwa lata.

Odwiedził kilka dni temu opiekuna Józefy i oczywiście niczego nie wskórał. Starszy pan stanowczo sprzeciwił się: żadne inne rozwiązanie nie wchodzi w rachubę, testament musi być zrealizowany co do joty.

Trudno. Trzeba będzie porozmawiać z ciotką Izą, by zajęła się całą sprawą, ponieważ on już za trzy dni wylatuje do Algieru.

Ciotka chętnie przyjęła zaproszenie siostrzeńca na kolację w ekskluzywnej restauracji. Miała mu do przekazania kilka wiadomości, z których na pewno się ucieszy. Siedzieli w kąciku sali, zajadali się smakołykami szefa kuchni i rozmawiali z takim przejęciem, że nikt nie powiedziałby, że spotkali się stara ciotka i jej podstarzały siostrzeniec.

– Poczyła pewne obserwacje w związku z interesującym nas tematem – rzekła Iza zjadając się brzoskwińowym kremem. – Rozmawiałam z Józefą.

– Coś podobnego! Ty także? – zaśmiał się Ludwik. – Ja też, więc kto zacznie opowiadać?

– Ty, bo jestem pewna, że z nas dwojga ty wypadłeś znacznie gorzej.

Słuchając opowieści o sztywnych mankietach, ciotka uśmiechała się z politowaniem i nie

przerywała Ludwikowi, nawet gdy przesadzał w krytycznej ocenie.

– Nie, aż tak zła to znowu ta dziewczyna nie jest! – skwitowała ciotka, gdy siostrzeniec skończył swoje wywody.

– Zależy, czy masz na myśli prasowaczkę Józefę Hannemann, czy przysłą szefową fabryki Schottlera.

– To prawda. Dwie pary kaloszy, ale... jedna i ta sama dziewczyna. W każdym razie mnie potraktowała bardziej uprzejmie. Pewnie jest uprzedzona do mężczyzn. Obiecała, że moje chińskie bluzki wyprasuje na jutro w południe, a twoje koszule?

– Wyślę po nie Brunona. Nie zamierzam drugi raz pakować się w samo gniazdo os.

– A mnie się tam nawet podobało. Podziwiam te dziewczyny. Ciężko pracują w gorącym powietrzu, cały dzień na nogach i bez przerwy wykonują te same czynności. W życiu nie chciałabym być na ich miejscu.

Ciotka chrupała solone orzeszki ziemne i patrząc na reakcję Ludwika dodała: – Józefa wygląda interesująco, nie sądzisz?

– Dobrze to ujęłaś ciociu. Głównie ze względu na kolor włosów...

– Och, ty uparciuchu! Przyznaj wreszcie, że dziewczyna jest po prostu ładna. Ona chyba sama nie zdaje sobie z tego sprawy i chwala Bogu. Mam nadzieję, że nikt jej jeszcze tego nie powiedział, bo tylko tego by nam brakowało, żeby przyplątał się jakiś narzeczony.

– Obyś nie powiedziała tego słowa w złej godzinie. Pan opiekun chyba dopilnował, żeby jego podopieczna nie palnęła jakiegoś głupstwa.

– Od kiedy to narzeczeństwo nazywasz głupstwem, mój drogi?

– Ty już naprawdę nie wiesz czego się czepiać, ciociu! Musisz mi ciągle dokuczać? I tak mam już dosyć tej sprawy. Byłem u notariusza, próbowałem go przekonać do innego rozwiązania problemu spadku Józefy, ale on uparł się, że musi być tak, jak zapisano w testamencie. Niech się dzieje, co chce. Na szczęście, zaraz po tym nieszczęsnym spotkaniu wylatuję do Algierii.

– Oszalałeś? Przecież tam zaczęły się zamieszki. Musisz lecieć? Ludwik objaśnił szczegółowo, dlaczego zdecydował się na niebezpieczną podróż. Słuchała uważnie jego przydługawej opowieści.

– Rozumiem, że twój wyjazd to sprawa honoru.

– Tak go właśnie traktuję. Mam nadzieję, że w rejonie Biskry walki z partyzantami nie przybrały na sile. Gdyby było inaczej, nie sprzedano by mi biletu lotniczego. Nie wiem, jak długo tam pozostanę, ale oczywiście będę cię informował na bieżąco.

– Chętnie poznałabym tego twojego przyjaciela. Jak ktoś taki uchował się w dzisiejszych, tak nieromantycznych czasach? Wielka, prawdziwa miłość wciąż jeszcze istnieje, czy to nie piękne, Ludwiku?

Ciekawe, czy ta kobieta jest rzeczywiście tak piękna, jak mówi twój przyjaciel, czy też przesadza jak każdy zakochany.

– Chyba mówi prawdę, ciociu. Traktuje swoje uczucie bardzo poważnie i z wielkim zaangażowaniem. Właśnie dlatego wiem, że trzeba mu pomóc.

– Nie muszę ci przypominać o ostrożności, bo nie jesteś już młokosem, ale wiesz

przynajmniej, na czym twoja pomoc miałaby polegać? Samymi pieniędzmi, jak mi się zdaje, niewiele tam teraz wskórasz.

– Wszystkiego dowiem się w Biskrze. Wróćmy raczej do podrzuconego nam kukułczego jaja, tej rudowłosej diablicy. Byleby tylko nie wpadła w szal, gdy nagle dowie się, że spadł na nią złoty deszcz.

– O to bądź spokojny, mój drogi. Dziewczyna nie wygląda na histeryczkę, a my, baby, potrafimy krytycznie ocenić się nawzajem już po wymianie kilku zdań. Z twojego punktu widzenia patrząc, najważniejsze dla mnie jest to, że dziewczyna wprost grzeszy urodą. Śliczna twarzyczka, szarozielone bystre oczy i czarujący uśmiech.

– Ciociu – przerwał jej – czy ty zaczynasz bawić się w swatkę?

– Ani mi w głowie. Powiedz zatem, co ty o niej myślisz?

– Cóż, nie powiem przecież, że jest brzydka i pospolita, bo nie jest. Trochę może roztrzępana i skłonna do psikusów. Szczerze mówiąc, śmiesznie się czułem pośrodku pralni z tymi koszulami w rękę.

– Bo też był to głupi pomysł, by ze skargą na sztywne mankiety lecieć do przyszłej szefowej fabryki Schottlera. Ale zastanów się poważnie. Dlaczego właściwie Józefa Hannemann nie może pewnego dnia objąć ważnej funkcji w firmie? Przecież ta praca nie będzie trudniejsza niż przy tych przeklętych prasowalnicach.

– Chyba przesadzasz! Tylko ja wiem, ile z wujem musieliśmy się napracować, zanim doprowadziliśmy fabrykę do dzisiejszego stanu.

– I chwała wam za to. Dziewczyna przyjdzie na gotowe i szybko nauczy się postępować tak, by niczego nie zepsuć. My tu sobie żartujemy, a kto wie, jak przeżyje wiadomość, która radykalnie odmieni jej życie i postawi przed ponad setką zupełnie obcych problemów.

– Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, że bardzo się tym przejmie.

– Czy notariusz rozmawiał już z nią na ten temat? Nie wspomniał nic o tym?

– On stosuje się do zaleceń wuja dosłownie i czeka aż Józefa skończy osiemnaście lat.

– Braciszkowi widać przypadło do gustu zaskakiwanie rodziny. Szkoda, że nie będzie tym razem świadkiem widowiska.

Roześmiali się równocześnie i wzniesli toast za pamięć po wuju i Hugonie.

## IV

– Nie, nie mogę. Dokładnie o jedenastej muszę być u mojego opiekuna. Szefowo, tu jest zawiadomienie, które miałam pani pokazać. – Józefa zdjęła już fartuch i podtykała zdenerwowanej szefowej papierek pod nos. – Muszę się jeszcze trochę przyczesać i coś zjeść, bo jestem głodna jak wilk, a kiszki zaczynają grać marsza tak głośno, że zaraz zlecą się tu rekruci na defiladę. Mogę już iść? Nie zdążę, chyba że biegnąc środkiem ulicy, bo do autobusu i tak się nie wcisnę. Cześć dziewczyny! Jak wrócę, to będę już milionerką, i każda dostanie po ciastku. Nie cieszycie się? – Józefa jednocześnie rozmawiała z szefową, przekomarzała się z koleżankami, czesała przed lustrem nad kontuarem i dojadła napoczętą kanapkę. Przerzuciła torebkę przez ramię i już stała w drzwiach zapinając trochę wytartą jesionkę.

– Masz chociaż drobne na te obiecane ciasteczka? – wołała któraś z koleżanek.

– Drobne? Prawdziwa milionerka nigdy nie płaci sama. Od tego ma lokaja lub szofera.

– Zaczynaj się rozglądać za służbą.

– Wszystko w swoim czasie! – odwróciła się na pięcie i wskoczyła do ruszającego już z przystanku przed pralnią autobusu.

Kancelaria opiekuna mieściła się w jednej z najelegantszych dzielnic. Józefa zawsze chodziła tam z wielką przyjemnością. Spokojne ulice, pięknie urządzone ogródki przed domami z szerokimi oknami, słowem – elegancki świat, eleganccy ludzie.

Przed domem opiekuna stał wielki nowoczesny samochód. Zmierzyła go krytycznym wzrokiem. – Kosztował pewnie krocie, ale wart tego. Piękne cacko. Strach pomyśleć, ile ci ludzie płacą za ubezpieczenie; swojego klejnotu, a jaki podatek! Dobrze im tak.

Wbiegła po schodach i zastukała do drzwi.

W przedsionku siedział niezwykle poważny, zazwyczaj naburmuszony urzędnik kancelarii. Na widok Józefy trochę się rozchmurzył.

– Cześć Bruno! Jak żyjesz?

– Jak się da, a ty jak zwykle się spóźniasz. Już sześć po jedenastej.

– Ty chyba specjalnie czekasz na klienta, żeby sobie na nim poużywać, cycku wołowy. Pędź lepiej do pana notariusza i powiedz, że już przyszłam.

– Już na ciebie czeka. A za tego cycka jeszcze ci kiedyś odpłacę, głupia kozo.

– Guzik mnie to obchodzi. Urzędnik podniósł słuchawkę, wykręcił numer i ze śmiertelnie poważną miną zameldował:

– Panie mecenasie, panna Józefa wreszcie przyszła. Odłożył słuchawkę i niedbałym ruchem wskazał kciukiem na wysokie stylowe drzwi:

– Powiedział, że możesz wejść.

– Nie wiesz przypadkiem, o co tu chodzi? – spytała nagle poważnym tonem, czując, że ni stąd ni zowąd serce zaczyna jej mocno bić. Czyżby się zdenerwowała?

– Nie mam pojęcia. Ale jesteś u notariusza, więc choćbym wiedział, to gęba na kłódkę. Kapujesz?

– Powinam od razu nazwać cię świńskim cyckiem! – cisnęła trzymając już w ręce klamkę drzwi.

Opiekun wstał zza biurka, choć nigdy tego nie robił, gdy przychodziła, i podszedł z wyciągniętą ręką. Jakies kłopoty, to pewne.

– Dzień dobry, drogie dziecko. Cieszę się, że przyszedłś prawie punktualnie – starszy pan uśmiechał się życzliwie, a wskazując na dwoje nieznajomych siedzących obok jego biurka, dodał: – Czekamy już tylko na ciebie. To jest pani Gerlach, a to pan Brunner.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Józefa rzuciła nagle torebkę na fotel i z wściekłością podeszła do siedzącej najbliżej lizy, najwyraźniej przestraszonej gwałtowną reakcją dziewczyny.

– Ach to tak! W cztery oczy to taka milutka, bylebym wzięła te cholerne bluzy do prasowania, a za plecami na skargę do mojego opiekuna. Oj, nieładnie proszę pani! Powiedziałam, że zrobię na jutro w południe, to o co jeszcze pani chodzi? Miałam po nocach prasować? A kogóż my tu jeszcze mamy? Pan od sztywnych mankietów! Też przyleciał na skargę? Dobra, to niech wreszcie ja powiem, co o tym wszystkim myślę. Nie mam żadnych wyrzutów sumienia. Robię, co do mnie należy, a jeśli ci państwo mają mi coś do zarzucenia, to od tego jest szefowa. Po co od razu zawracają głowę panu Kunze? Po prostu trzeba nie mieć wstydu! – Jej zielonoszare oczy ciskały gromy, a kręcone włosy aż falowały, gdy ze złości rzucała głową to w lewo, to w prawo.

O dziwo, wszyscy troje uśmiechali się i nikt się nie obraził. Starsza pani wstała, położyła delikatnie dłoń na ramieniu Józefy i odezwała się ciepłym tonem: – Wygarnęłaś nam prosto z mostu i na pewno ci ulżyło, a teraz posłuchaj spokojnie, co mamy ci do powiedzenia.

– Dobrze. Panią rozumiem. Kobieta jak kobieta, a klient to klient, ale ten pan! Najpierw skrada się pod oknem, sterczy przed witryną jak dzień długi, gapi się na mnie, jakbym była małpą w cyrku, aż koleżanki się ze mnie śmieją, a potem ma jeszcze czelność zawracać mi głowę swoimi sztywnymi mankietami. Pani by się to podobało?

Zapadła cisza. Ilza spojrzała na notariusza, uśmiechając się.

– Sądzę, panie mecenasie, że powinien pan wyjaśnić pannie Hannemann, po co naprawdę przyszliśmy, zanim ta mała diablica rozniesie nas na strzępy.

– Właśnie zamierzałem to zrobić. Usiądź, proszę, Józefo, obok pana doktora i daj mi wreszcie dojść do słowa.

– Dobrze, proszę pana. Ale z tym panem to ja jeszcze nie skończyłam. Jeszcze mu wygarnę, co o nim myślę – rzuciła wściekłe spojrzenie na Ludwika.

– Teraz jednak daj mi szansę i odpowiadaj tylko, gdy cię poproszę.

– Czułam przez skórę, że czekają mnie tu kłopoty – burknęła pod nosem, a zobaczywszy zakłopotaną minę opiekuna, zmieszala się trochę. Nie było to zbyt grzeczne, co zrobiła przed chwilą. Pociągając nosem próbowała opanować zdenerwowanie. – No dobrze, już się nie odezwę, ale skrzywdzić się nie pozwolę.

– Po to ja tu jestem, drogie dziecko. W domu twojego opiekuna nikt cię nie będzie obrażał, obiecuję.

– Akurat. Bruno przed chwilą nazwał mnie głupią kozą.

– Jeszcze dziś tego gorzko pożałuje – odparł tajemniczo notariusz i sięgnął po grubą teczkę, z której wyjął żółtą, zalakowaną kopertę.

Popatrzył na Józefę nie zdejmując okularów.

– Wiesz Józefo, kto był twoim ojcem? – spytał niespodziewanie.

– Nigdy nie miałam ojca. Czy to akurat dziś ma jakieś znaczenie?

– Nie dyskutuj. Czy twoja matka, Lina Hannemann, przed śmiercią nie powiedziała ci, jak nazywał się twój ojciec?

– Co mnie to obchodzi? Nie troszczył się o nas wcale, to po co miałyśmy o nim rozmawiać. Po diabła mi on potrzebny.

– Przestańże wreszcie! Moim prawnym obowiązkiem jest poinformować cię, że twoim ojcem był zmarły niedawno Hugo Schottler...

– Zmarło mu się?

– Znowu mi przerywasz!... który w testamencie ustanowił cię z dniem dzisiejszym współspadkobierczynią jego majątku.

– Trochę późno przyszło mu do głowy, że coś powinien zrobić dla matki i dla mnie. Obejdzie się. Te jego trzy grosze i tak mnie nic zbawią.

– Ile razy mam ci przypominać, żebyś mi nie przerywała? Słuchaj i milcz, dopóki nie zadam ci pytania. Wspomniany Hugo Schottler był właścicielem dużej fabryki, o której na pewno słyszałaś. Zgodnie z jego ostatnią wolą, sporządzoną w mojej obecności, przed otwarciem testamentu chcę cię poinformować, że połowę majątku ojca odziedziczysz ty.

Zrobiło się cicho. Józefa kręciła się niespokojnie, po chwili podniosła dwa palce, jak uczennica zgłaszająca się do odpowiedzi.

– Proszę pana! – spytała cicho – czy ci dwoje obcy ludzie muszą słuchać, co pan opowiada o moim ojcu?

– Mecenas Kunze spojrział na Ludwika, który skulił się w fotelu, i na lizę dobrotliwie patrzącą na Józefę.

– Cóż, dziecko – uśmiechnął się – tych dwoje obcych, jakich nazwałaś – nie mogę wyprosić z kancelarii, gdyż są to twoi najbliżsi krewni.

– To oni nie przyszli obsmarować mnie przed panem? Nic nie kapuję! – popatrzyła bezradnie na lizę, która chwyciła ją za rękę. a potem na Ludwika, ale zaraz odwróciła wzrok. Strasznie dziwnie na nią patrzył. Nie próbowała nawet wyrwać się z uścisku dłoni starszej pani. Czuła, że ogarnia ją strach i nie chce być teraz sama.

– Józefo, ani pani Gerlach, ani doktor Brunner nie mają zamiaru oskarżać cię o cokolwiek, ani też obsmarowywać cię przede mną, jak się wyraziłaś. Pani Gerlach jest siostrą twojego ojca, a pan Brunner jego siostrzeńcem i długoletnim współpracownikiem. Innymi słowy, poznałaś ciotkę i kuzyna.

– Uff! Aż trudno mi uwierzyć.

– Dziecko, notariusz nigdy nie kłamie.

– Prawda. Cóż, w takim razie muszę państwa przeprosić, że nagadałam głupstw, ale chciałam uprzedzić bieg wypadków i bronić się zawczasu. Przepraszam panią – podała dłoń lizie, która delikatnie pogładziła ją po policzku. – Pana też przepraszam, panie doktorze, ale



gdyby pan spytał o mankiety, to chcę uprzedzić, że nawet po namoczeniu nie będą bardziej miękkie.

Ludwik trzymał jej dłoń nie bardzo wiedząc, co zrobić dalej. Uścisnąć tylko, czy też podnieść i złożyć pocałunek? Do licha! Co za niezręczna sytuacja!

Zdecydował się na zdawkowy uścisk.

– Cieszę się, że cię poznałem, Józefo – rzekł oficjalnym tonem.

– Jak to? Przeszliśmy na ty? O nie, mój drogi, tak szybko to nie pójdzie. Nie uznaję nagle odzyskanych krewnych. Przyzwyczaiłam się już, że nie mam rodziny, więc niech tak pozostanie.

– Nieszczęsna gaduło, czy ty wreszcie przestaniesz kłapać? – pan Kunze był bliski rozpacz. – Ciągłe nam przerywasz, a mamy jeszcze sporo spraw do omówienia. Pan doktor nie ma czasu; jutro musi polecieć do Biskry.

– O, do Afryki? Ta Biskra to jakaś oaza. Sama nie wiem, co to znaczy, ale tak było napisane w prospekcie turystycznym. Zawsze biorę je sobie z biura podróży, gdy dają za darmo. Udaję znudzoną milionerkę, która kaprysi nie wiedząc, gdzie spędzić zimowe wakacje.

– Ja chyba zwariuję! – mecenas aż pocił się ze zdenerwowania.

– Przepraszam. Niech pan powie szybko, o co jeszcze chodzi, bo prawdę mówiąc, powinnam już wracać do pralni. Truda chce pójść na obiad, a ja w tym czasie muszę stanąć za nią przy maszynie.

Wszyscy troje wymienili między sobą spojrzenia. Trudno było złościć się na tę prostą dziewczynę, której jedynym zmartwieniem był teraz obiad koleżanki z pralni, gdy zaczynało się dla niej zupełnie nowe życie.

– Czyja mogłabym coś powiedzieć, panie mecenasie? – odezwała się Ilza.

– Bardzo proszę, pani Gerlach. Bydmoże pani powie coś mądrzejszego niż ja, stary biurokrata.

Ilza położyła rękę na ramieniu dziewczyny i rzekła półgłosem, tak aby tylko ona mogła usłyszeć:

– Józefo, opanuj się choć na chwilę i potraktuj sprawę poważnie. Zarówno ty, podobnie jak my musimy wysłuchać w spokoju decyzji twojego ojca zawartych w testamencie, który twój opiekun chce nam odczytać. Chodzi o ogromny majątek, a ty i kuzyn jesteście jedynymi właścicielami. Za jakiś czas oboje będziecie odpowiedzialni za ogromną fabrykę Schottlera. Jako twoja ciotka będę ci pomagać, o ile mnie o to poprosisz. Zrobię to chętnie, gdyż mój majątek ulokowałam w akcjach firmy i od decyzji twoich i Ludwika zależy, czy go utrzymam, czy też stracę.

– A kto jest Ludwik? – spytała zaskoczona.

– Ten tam. Doktor Ludwik Brunner, twój kuzyn.

– Tak? A to ci dopiero! – zachichotała, jakby ktoś opowiadał dobry dowcip. – On jest moim kuzynem! A ja już miałam zamiar dołożyć mu torebką po grzbiecie za to, że mnie podglądał przez witrynę. Uff! Ale byłaby draka, gdyby dostał lanie od kuzynki. Co ja mam teraz robić, proszę pani? – spytała zbita nagle z tropu, a w jej oczach zakręciły się łzy. Tak jej

było głupio i wstyd. – Cały czas wszyscy mówicie o dużej fabryce Schottlera. Czy chodzi o tę, gdzie produkuje się folię, którą przykryte są worki z cementem na budowach, zapakowane banany, pończochy, mydło, pomidory i inne rzeczy?

— Brawo! Widzę, że nie zamykasz oczu i widzisz, co się dzieje dookoła.

— Dzioba też nie, ale za to nikt mnie nie chwali, prawda panie Kunze?

– Nawet gdyby ktoś chciał cię pochwalić, to nie dasz mu dojść do słowa.

– Rzeczywiście, czasami chlapnę coś niepotrzebnie. Powiedziałam dziewczynom w pralni, że jak zostanę milionerką to kupię im po ćwierć funta sękacza, i co ja teraz zrobię? Dwanaście porcji to będzie razem trzy funty i zapłacę ponad trzydzieści marek. Tyle pieniędzy!

Ilza przytuliła bratanicę i pocałowała ją w policzek, gdy obaj mężczyźni wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Zapłacimy z konta, drogie dziecko. Pójdziemy razem do cukierni i poprosimy Ludwika, żeby zawiózł nas do twojej pralni. Teraz daj jednak panu Kunze przeczytać ten testament i nie odzywaj się już, dopóki nie skończy.

Józefa przytuliła się do ciotki jak dziecko. Dawno już nie czuła się tak szczęśliwa. Znowu miała kogoś bliskiego, równie serdecznego jak przedwcześnie zmarła matka.

Wszyscy trwali w bezruchu, gdy notariusz skrupulatnie, słowo po słowie, odczytywał tekst testamentu z nagłówkami i przypisami, niczego nie pomijając.

Gdy skończył, w kancelarii zapadła grobowa cisza. Wszyscy patrzyli na Józefę, która blada jak ściana przebierała nerwowo palcami i z trudem panowała nad drżącymi ze zdenerwowania stopami w przydeptanych nieco pantofelkach. Podniosła oczy, spojrzała najpierw na lizę, potem notariusza i wreszcie – nieśmiało – na Ludwika.

Potrząsnęła głową, wzruszyła ramionami i wymamrotała:

– A kto powiedział, że muszę się zgodzić?

– Musisz, drogie dziecko. Jako opiekun w twoim imieniu obiecałem to twojemu ojcu. To on wydał rozporządzenie, które przeczytałem, a ty chcąc nie chcąc musisz posłuchać ojca. Masz dwa lata na naukę, a potem – jestem tego pewien – do głowy ci nie przyjdzie, by rezygnować ze spadku.

– Chyba nie, panie Kunze, skoro tak chciał ojciec. Dlaczego jednak nie zrobił tego, gdy jeszcze mama żyła? Nie musiałyby pracować i szyć po nocach tych okropnych sukni dla bab z całej dzielnicy. Wciąż nie dosypiała, nie miała czasu na odpoczynek. Może nie umarłaby i tak młodo... – dodała po cichu, ledwie powstrzymując łzy.

– Teraz już za późno, drogie dziecko. Niczego nie zmienimy, a myśl o sobie i o tym, co się zmieni w twoim życiu. Jesteś zadowolona.

– notariusz mówił spokojnie, serdecznym tonem. Dotarło już do twojej świadomości, że jesteś bardzo bogatą dziewczyną i taką już pozostanie – na zawsze?

– Czy to znaczy, że teraz mam dużo pieniędzy? Więcej niż wynosi moja pensja w pralni?

Wszyscy troje popatrzyli na siebie. Pierwsza odezwała się Ilza.

– Więcej, drogie dziecko. Co sobie najpierw kupisz za nowe kieszonkowe?

– Ile by to było, pani Gerlach?

– Mów do mnie „ciociu lizo”, proszę cię. O ile dobrze zapamiętałam, dostaniesz miesięcznie trzysta marek przeznaczonych tylko na osobiste wydatki. Inne rzeczy, jak stroje, podróże, internat, słowem – twoje utrzymanie – będzie dalej opłacać twój opiekun.

– Czy wobec tego mogę dziewczętom kupić po pół kilo sękacza?

– uśmiechnęła się i proszącym wzrokiem popatrzyła na lizę. Od razu do niej nabrała zaufania i czuła, że w nowej sytuacji tylko na nią może liczyć.

– Oczywiście, moja droga. A co myślisz o tym, że za dwa lata wraz z Ludwikiem będziesz zarządzać fabryką Schottlera? Czeką cię ciężka praca. Musisz dokładnie poznać ogromny zakład, ponieważ jako szefowa w każdej chwili będziesz podejmować ważne decyzje.

– O Boże! Na samą myśl o tym, już teraz dostaję gęsiej skórki. Zwykły robotnik w tej fabryce wie więcej ode mnie, a ja mam być jego szefową? Czy to nie śmiechu warte, ciociu lizo?

– Lepiej się śmiać niż płakać. Ludwiku, w tej sprawie chyba ty powinieneś porozmawiać z Józefą. Razem będziecie decydować w przyszłości o losach fabryki.

Ilza nie była pewna, czy Ludwik zmienił zdanie o Józefie czy nie. Najwyższy czas, żeby ci dwoje jakoś się do siebie zbliżyli, skoro będą musieli współpracować.

Ludwik nawet nie spojrzał na dziewczynę. Czuł się dziwnie niezręcznie w jej obecności, a zagadnięty przez ciotkę gorączkowo poszukiwał słów, którymi mógłby odpowiedzieć. Wstał i podszedł do Józefy wyciągając w jej stronę obie ręce. Zawahała się, spojrzała niepewnie na lizę, a potem wstała. Była o głowę niższa od Ludwika i, by spojrzeć mu w twarz, musiała popatrzeć do góry.

– Jak sądzisz, kuzyneczko, uda nam się razem poprowadzić tę nieszczęsną fabrykę?

– Bardzo bym chciała, ale nie znam się na tym nic a nic. Musiałabym sporo się uczyć, a prawdę mówiąc, szkoła nigdy mnie nie bawiła. Trudno. Wolę jednak wkuwać, niż potem świecić przed ludźmi oczyma i czerwienić się ze wstydu – uśmiechnęła się ujmująco i dodała:

– Mam nadzieję, że nie każe mi pan prasować swoich koszul?

– Co to, to nie, Józefo. Mówże mi wreszcie po imieniu. Nie jestem znowu tak stary, żeby zwracać się do mnie per „łaskawy panie”.

– Naprawdę mogę? Jakoś mi głupio i ciągle pamiętam, że chciałam cię sprać za to podglądanie przez witrynę. Mój Boże, jak ja sobie poradzę z tyloma zmianami na raz? – uwolniła się z uścisku rąk Ludwika i podeszła do notariusza, który przyglądał jej się z dobrotliwym uśmiechem na ustach.

– Niech mi pan pomoże, panie Kunze. Czuję się taka zagubiona.

– Byłem i jestem tu po to, drogie dziecko, żeby służyć ci pomocą. Będę przy tobie, aż staniesz samodzielnie na nogi. Mam nadzieję, że również ciotka Ilza nie odmówi nam wsparcia.

– Nie odmówi, nie obawiajcie się. Zajmę się Józefą do czasu, dopóki nie wyjedzie do pensjonatu – zapewniła pani Gerlach.

– A niech to szlag! Wiedziałam, że coś mi spadnie na łeb. Muszę jechać do tego idiotycznego pensjonatu i chodzić jak tresowana gęś? Jest taki na mojej ulicy i gdy widzę

chodzące gęsiego jednakowo ubrane dziewczęta, za każdym razem pękam ze śmiechu.

– Nic ci nie pomoże; przez dwa lata też będziesz chodzić w stadzie i uczyć się, i jeszcze raz uczyć. Nie musiałybyś, gdybyś jako Józefa Hannemann do końca życia prasowała koszule, ale jako szefowa fabryki Schottlera musisz sporo wiedzieć, nauczyć się języków i wielu innych rzeczy.

– Jak przypuszczałam, same tylko kłopoty. Trudno, i to jakoś przebrnę. Tylko kto mi powie, co jako szefowa muszę wiedzieć? W pralni na początku pokazano mi jak trzymać mankiety, jaką temperaturę musi mieć prasownica, jak długo trzymać pod parą kołnierzyk albo mankiety – dodała rzucając zaczepne spojrzenie na Ludwika, wobec którego nabrała już trochę więcej śmiałości – żeby nie były zbyt sztywne i nie uwierały nadgarstków podczas siedzenia przy biurku.

– Masz rację – odezwał się zagadnięty – sam chętnie udzielę ci kilku lekcji, ale gdy ukończysz pensjonat najpierw zajmij się swoją edukacją dyrektor Grtin, najważniejszy specjalista w naszym zakładzie, człowiek uczynny i bardzo mądry.

– Edukacją, powiadasz? Domyślam się, że słowo to znaczy tyle samo, co wkuwanie. Skoro nie widzę innego wyjścia, będę się cierpliwie uczyć. Na szczęście, pamięć mam dobrą. Nie wierzycie?

*Kto jedzie tak późno wśród nocnej zamięci'. ' To ojciec z dziećciem jak gdyby wiatr leci. Chłopczynę na ręku piastując najczulej. Ogrzewa oddechem, do piersi go tuli.*

Recytowała by wiersz Goethego do samego końca, gdyby notariusz, zatkawszy oburącz uszy, nie zawołał:

– Przestań, Józefo!

– O co chodzi? Przecież się nie pomyliłam.

– Powiesz nam „Króla Olszyn” kiedy indziej – wtrąciła się ciotka Ilza – sama widzisz, że wszystkiego można się nauczyć, więc i z tym szefowaniem też sobie poradzisz – pogłaskała Józefę po włosach.

– Jeżeli pan pozwoli, panie mecenasie, miałabym do pana prośbę. Brat wprawdzie zadbał o wszystko, ale kilka istotnych drobiazgów jednak pominął. Mam na myśli stroje Józefy. Przecież nie możemy jej wysłać do Szwajcarii w tym, co nosi teraz. Gdyby pan zgodził się, chętnie zajmę się kupnem wszystkiego, co dziewczynie będzie potrzebne.

– Lepszej propozycji nie mogła mi pani złożyć, droga pani Gerlach.

– Zatem do dzieła! Weź, dziecko, dokumenty, które pan Kunze przygotował dla ciebie, a wieczorem siądziemy sobie i spokojnie przejrzymy je jeszcze raz. Ludwiku, zawieziesz nas najpierw do cukierni Schulza po te sękacze dla dziewcząt, a później pojedziemy do mieszkania Józefy – Zabierzesz sobie, dziecko, najpotrzebniejsze rzeczy i przez kilka dni do wyjazdu zamieszkas u mnie.

– Zdjęła mi pani kamień z serca. Dziękuję, pani Gerlach. Prawdę mówiąc, bałem się, że sam sobie nie poradzę z tym wszystkim.

– Widzisz, dziecko, jacy są ci mężczyźni? – uśmiechnęła się Ilza. \_\_No, chodźmy już – dodała.

Ludwik odetchnął z wyraźną ulgą. Dobrze, że ciotka sama wystąpiła z tak wspinałą

propozycją.

Ilza wzięła kopertę przeznaczoną dla Józefy, Ludwik schował swoją i zaczęli się żegnać z notariuszem. Józefa podeszła, przytuliła się i rzekła tak cichutko, że ledwo mógł zrozumieć:

– Prawda, panie Kunze, że nie przestał mnie pan lubić? Bardzo mi było dobrze pod pana opieką.

– Lepszego świadectwa, że dobrze wypełniłem swoje obowiązki, nie mogłaś mi wystawić, drogie dziecko. Cieszę się, że szczęście ci sprzyja, i pamiętaj o nowych obowiązkach. Wykonuj je zawsze tak sumiennie, jak robiłaś to dotychczas, mimo że będą one znacznie poważniejsze.

– Będę się starała, panie Kunze. Mogę do pana czasami przychodzić? Albo napisać, gdy będzie mi smutno?

– Oczywiście, moja droga. Przecież opiekowałem się tobą tyle lat, więc jakbym mógł nagle zapomnieć? – wyjął chusteczkę i wytarł łzy kapiące z policzków Józefy. – No, nie płacz już. Masz powód do radości, więc ciesz się.

Pociągnęła kilka razy nosem, potem westchnęła i uśmiechnęła się.

– Rozumiem, że teraz już nie wypada mi się droczyć z Brunonem.

– Za tę głupią kozę możesz mu odpłacić.

– Należy mu się, bałwanowi. Przyczepił się, że przyszedłem sześć minut po jedenastej, cycek... O Boże! Truda nie może iść na obiad, a szefowa wyrzuci mnie na zbity pysk.

– Raczej nie będzie miała okazji, bo wysłałem do niej urzędowe pismo i zawiadomiłem ją, że w twoim życiu coś się zmieniło.

– To ona już wie?

– Oczywiście, ale bez szczegółów.

– A dziewczyny? Już wyobrażam sobie, jak piszczały, gdy dbwi działy się, że zostałam milionerką.

Teraz dopiero do Józefy dotarło, że to prawda i podskoczy! z radości po sam sufit.

– Kuzynie, ja naprawdę jestem bogata i mogę codziennie pozwolić sobie na ćwierć funta sękacza? I nowe pończochy? Patrzcie jakie noszę pocerowane. Buty! Ciociu, wiesz jakie wystrzałowe widziałam na wystawie? Z takimi, o, obcasami, jaskrawoczerwone i bardzo, bardzo eleganckie.

– Może je kupimy, ale w kolorze brązowym lub czarnym. Wyobrażasz sobie twoje włosy w odcieniu miedzi i do tego czerwone buty? Chodźmy już i dajmy panu mecenasowi trochę odsapnąć. Ludwik zresztą też nie ma za dużo czasu dla nas.

Ilza idąc na spotkanie była zdecydowana wziąć od razu sprawy w swoje ręce, gdyż bojowo nastawiony Ludwik gotów był doprowadzić do spięcia, którego skutki w przyszłości trudno byłoby załagodzić. O dziwo, doświadczony i rezolutny siostrzeniec zachowywał się dość bezradnie, co wcale nie oznaczało, że zmienił swój niechętny stosunek do Józefy. Być może zrobi to później, gdy w określonych okolicznościach będzie musiał służyć dziewczynie radą i pomocą w poznawaniu zakładu. Tak, czy inaczej, obecna sytuacja odpowiadała lizie Gerlach. Coś się działo, kręciło, a ona znowu jest komuś potrzebna.

– Racja ciociu – rzekła Józefa spoglądając na obu mężczyzn. – Wybaczcie, że plotę o

butach, a nie pamiętam, że wasz czas jest również drogi.

Ludwik patrzył w inną stronę, bojąc się zaryzykować spojrzenie w oczy Józefy, ale na ostatnie jej stwierdzenie musiał się uśmiechnąć.

Dostrzegła to kątem oka. Temu to dobrze się śmiać. Nie został milionerem z dnia na dzień i wie już, co to znaczy być bogatym. Niech się śmieje. Dobrze, że chociaż ciotka Ilza nie jest taka. Ludwik bardziej by ją interesował, ale ostatecznie ciotka jest taka miła i dobra. Posłała jej swój uroczy uśmiech, patrząc jak ona z kolei żegna się z notariuszem. Starszy pan był ciotce niezmiernie wdzięczny za zajęcie się jego pełną temperamentu podopieczną. Jego rad i tak by nie słuchała mając głowę zaprzątniętą zupełnie czymś nowym. Poprosił jeszcze ciotkę, żeby przedstawiła mu rachunki za wszystko, co kupi dla Józefy, i przekazał korespondencję, którą prowadził ze znanym pensjonatem w Genewie, gdzie zamierzał umieścić dziewczynę. Wystarczyło skontaktować się z właścicielką i zapowiedzieć przyjazd, uzgodniwszy listę niezbędnych rzeczy.

Pan Kunze raz po raz oddychał głęboko i z wyraźną ulgą.

Wyszli wreszcie. Józefa szybko obleciała dookoła czekającego pod domem mercedesa Ludwika.

– Bomba, nie ma co? Ile też takie cacko teraz kosztuje?

– Coś koło dwudziestu tysięcy marek – zaśmiał się Ludwik wyraźnie ożywiony. Ciągłe czuł się niepewnie i każdy neutralny temat rozmowy z Józefą wydał mu się wybawieniem. Pomógł najpierw wsiąść ciotce i podszedł, by otworzyć drzwi także kuzynce. Uskoczyła przerażona.

– Chce mnie pan wsadzić do samochodu? Nie jestem żadną kaleką – i ani się obejrzał, gdy wskoczyła na siedzenie i przytuliła się do ciotki – Ani też żadną damą, której trzeba nadskakiwać – rzuciła do oniemiałego z zaskoczenia Ludwika.

– Tego właśnie musisz się nauczyć, dziecko. Każda milionerka musi być damą, tak już to bywa. Podjedź, proszę, Ludwiku, do cukierni Schulza. Tam pieką najlepsze sękacze.

– Ale heca! Dziewczęta popadają z wrażenia, gdy zobaczą mnie z ciastkami. Powiedziałam to dla zgrywy, a tu masz – sprawdziło się – popatrzyła na lizę, potem na Ludwika zajętego prowadzeniem samochodu po ruchliwych o tej porze ulicach.

– Zanim nam przygotowują paczki z ciastkami, proponuję, żebyśmy razem wypili po filiżance kawy. Co ty na to Ludwiku? Masz jeszcze pół godziny dla nas?

Na szczęście ciotka nie widziała miny, jaką siostrzeniec zrobił w tym momencie. Czego ta kobieta jeszcze nie wymyśli? Przecież musi widzieć jak to stworzenie wygląda, a on ma się z nią pokazywać w eleganckiej kawiarni? Trudno, jakoś musi to przeżyć. Całe szczęście, że jutro leci do Biskry, i nie będzie narażony na podobne wybryki cioteczki. Nawet nie próbował ukryć niezadowolenia.

– Co? Mam wejść do tej cukierni? – przeraziła się Józefa, zobaczywszy przez okno, że samochód zatrzymał się przed wejściem do jednego z najekskluzywniejszych sklepów w mieście.

– Jako klientka, która na raz chce kupić kilka funtów sękacza. masz pełne prawo oczekiwać, że zostaniesz tam mile przyjęta.

– Tak? Sama nie wiem. A jak zobaczą, że mam przetarte podeszwy i pocerowaną na pięcie pończochę?

– Chyba nie przypuszczasz, że każą ci położyć nogę na ladzie? Dziewczyno, ty rzeczywiście mało wiesz o świecie.

Patrzyła na ciotkę zdumiona. Coś powiedziała nie tak? Wysiadły, a Ludwik odjechał szukając miejsca do zaparkowania.

– Kuzyn nie pójdzie z nami, ciociu? Wiem, wstydzi się mnie.

– Jak cię nazwał ten sekretarz u notariusza?

– Głupią kozą!

– I miał rację. Otwórz drzwi, idziemy kupować.

Ilza zamówiła dwanaście porcji sękacza, po pół funta każda. Padło pytanie, jakiego koloru wstążkami życzy sobie przewiązać pudełka.

– Myślę, że zielonymi, ciociu – odparła Józefa po chwili namysłu. – Te dziewczęta też o czymś marzą, a zieleń to nadzieja, że marzenia się spełnią.

– Zielone wstążeczki, proszę pani – rzekła Ilza do sprzedawczynie. – A my chodźmy tymczasem na kawę – dodała, biorąc Józefę pod ramię.

Dziewczyna lekko opierała się, patrząc na swoje podniszczone buty i na lśniącą marmurową posadzkę eleganckiego lokalu. Na podeście wzdłuż okien wystawowych przysłoniętych koronkowymi firanami stało kilka stolików nakrytych śnieżnobiałymi obrusami. To chyba sen. Józefa raz po raz musiała uszczypnąć się w biodro, nie mogąc uwierzyć, że ona – prasowaczka – w godzinach pracy, jak gdyby nigdy nic, siedzi sobie w wytwornej cukierni Schulza, zamiast stać przy maszynie do prasowania koszul.

– O, mój Boże!

– Za czym tym razem wzdychasz, drogie dziecko?

– Tak w ogóle... to wszystko a zwłaszcza to...

– Aha. Nic nie rozumiem, ale ty pewnie wiesz, o co ci chodzi. Napijesz się też kawy?

– Czy nie mogłabym... ach, dziś jest taki wyjątkowy dzień... Mogłabym zamówić czekoladę na gorąco z bitą śmietaną?

– Pewnie, że mogłabyś. Proszę podać dwie kawy – siostrzeniec zaraz tu przyjdzie – i raz czekoladę z bitą śmietaną. A może jeszcze ciastko?

– Ptysia! – zawołała Józefa pokazując rękoma, jaki ma być duży. Ilza uśmiechnęła się. Wyobrażała sobie, że dziewczyna tak właśnie zareaguje. Było to bardzo naturalne zachowanie i dobrze rokujące na przyszłość.

Ludwik, który nadszedł akurat w tym momencie, również się uśmiechał.

– Chcesz też ptysia? – spytała ciotka.

– Dziękuję, ciociu. Wystarczy filiżanka mocnej kawy. Mogę zapalić?

– Pozwolimy mu, Józefo? – przekomarzała się Ilza.

– Ja tu nie mam nic do gadania – odpowiedziała bez zastanowienia i trochę niegrzecznie, przybierając od razu poważną minę.

– Ależ masz! Jesteś młodą damą i jeżeli nie życzysz sobie, żeby twój kuzyn palił przy stole, możesz mu to śmiało powiedzieć prosto w oczy.

– Ale heca! I kuzyn musiałby... ?

– Musiałby! – przerwał jej Ludwik uśmiechając się.

– Nie, co mi to przeszkadza? Niech pan spokojnie pali. Tyle dziś spotyka mnie niespodzianek, że już mi wszystko jedno.

Tymczasem na stole zjawiała się czekolada, a także puszysty ogromny ptyś. Ciotka i Ludwik popatrzyli na siebie znacząco. Udawali, że nie przyglądają się Józefie, ale po chwili oboje odetchnęli z ulgą. Dziewczyna nie rzuciła się na smakołyki jak zgłodniały wilk, ale powoli, z gracją można by rzec, delektowała się nimi. Nie wiedziała przy tym, że kolejny sprawdzian w oczach rodziny zdała celująco.

Scena, jaka rozegrała się później w pralni, gdy Józefa obławowana pudełkami z sękaczem obdarowywała koleżanki, na długo pozostała lizie w pamięci.

– Dziewczyny, to nie moja wina, ale naprawdę zostałam milionerką! – zawołała, gdy otoczyły ją ze wszystkich stron. – Obiecałam wam ciastko, więc musiałam kupić po pół funta sękacza. Chętnie siadłabym z wami, ale nie mogę. Muszę się uczyć, i to piekielnie dużo. Wcale mi się to nie uśmiecha, ale bycie milionerką ma również złe strony.

Dziewczęta gratulowały Józefie, obcałowywały ją. W pralni, gdzie zazwyczaj rozlegał się tylko syk parowych prasowalnic, dziś panował gwar jak na radosnym przyjęciu.

Z szefową Józefa pożegnała się uprzejmie. Podziękowała za przyjęcie do pracy i przeprosiła za drobne zdarzające się uchybienia. Pomachała z daleka koleżankom i wyszła.

Gdy usiadła obok ciotki w samochodzie, westchnęła głęboko i rzekła:

– No tak, nawet nie mogłam się popłakać, bo jak na złość zapomniałam chusteczki.

Ludwik bez słowa sięgnął do schowka i nie patrząc do tyłu podał paczkę chusteczek jednorazowych.

Po chwili za jego plecami rozległy się dwa mocne pociągnięcia nosem. Zatem ciotka Ilza także skorzystała z chusteczki. Najwyraźniej scena pożegnania Józefy z koleżankami również jej wycisnęła z oczu łzy.

– Dokąd teraz? – spytał.

– Podwieź nas na postój taksówek. Pojedziemy do mieszkania Józefy, później na zakupy, a ty przecież musisz zająć się przygotowaniami do wyjazdu.

– Dziękuję, cioteczko. Czasu mam rzeczywiście niewiele. Zadzwoń do ciebie wieczorem, by się pożegnać. Odlatuję jutro o szóstej rano.

– Zatem do usłyszenia, mój drogi. Chodź Józefo. Musimy szybko wysiadać, bo tu jest znak zakazu postoju.

Ludwik odjechał natychmiast, ledwie kobiety stanęły na chodniku. Z Józefą zobaczy się dopiero za kilka tygodni.

Opisanie po kolei wszystkich małych i wielkich kroków, które Józefa musiała wykonać na swojej ciernistej drodze ku przyszłości, musiałoby zająć kilka rozdziałów. Podsumowując, można śmiało powiedzieć, że znosiła wszelkie niedogodności z wielkim poświęceniem, choć czasami jej niewyparzony język nie pozwalał utrzymać się na uwężu.

Do wyjazdu do Genewy pozostało już niewiele dni i ciotka Ilza korzystała z każdej okazji, by przekazać niedoświadczonej bratanicy jak najwięcej cennych uwag. Słuchała ich z



wdzięcznością i w głębi ducha dziękowała niebiosom, że zesłały jej tak wyrozumiałą i życzliwą osobę jak ciotka Ilza.

Powoli brzydkie kaczątko zamieniało się w dostojnego łabędzia. Wrodzona inteligencja, bezdyskusyjna uroda a także ogromna siła woli musiały przynieść oczekiwany efekt. Pobyt w eleganckim mieszkaniu lizy Gerlach, rozmowy przy posiłkach i codzienne zakupy stanowiły idealną próbę generalną przed wypuszczeniem Józefy w groźny świat genewskiego pensjonatu.

W nowych sukniach i płaszczach dziewczyna była nie do poznania. Pięknie wyglądała w sukni wieczorowej uszytej zgodnie z wymaganiami genewskiej pensji. Po jej przymierzeniu Józefa popatrzyła najpierw na swoje odbicie w lustrze, potem na ciotkę i spytała odruchowo:

– Ciekawe, czy spodobałaby się kuzynowi Ludwikowi?

– Przypuszczam, że tak, ale to mało ważne, co jemu się podoba lub nie podoba. Najważniejsze, żeby tobie się podobało i żebyś dobrze się czuła w nowych strojach, co najmniej tak, jakby należały do twojego kramu; co też ja mówię?... jakby były twoją własnością od dawna.

– Buciki trochę mnie uwierają, ciociu. I ten przekłety gorset! Mój biedny brzuch jest w nim zupełnie sprasowany.

– Damy nie mają brzucha.

– Ojej, a co mają?

– Żołądek, talię, biodra. Musisz zawsze poszukać innego, delikatniejszego określenia.

– Zapamiętałam. Co robimy dalej ciociu?

– Sądzisz, żabko, że ja mam wszystko zaplanowane? Nie wiem, co dalej, ale chyba najlepiej zrobię, jeżeli sama spakuję walizy i pojadę z tobą do Genewy. Boję się, że coś pokręcisz.

– Wspaniale, ciociu! A może zostaniesz tam ze mną? Boję się trochę.

– Co? Dziedziczka Hugona Schottlera boi się pensjonarek? Zaraz cię wyśmieję.

– Oszczędź mi wstydu, ciociu. Już nie będę – zaśmiała się i rozłożywszy ręce, zatańczyła wśród staromodnych mebli, lekko jakby fruując.

– Zdejmij teraz tę suknię i przynieś mi filiżankę mocnej herbaty.

– Znowu nie będziesz mogła spać, ciotuniu.

– Tak się o mnie martwisz?

4 Któż by cię nie pokochał – Bardzo, cioteczko! Co ja bym bez ciebie zrobiła w tym dziwnym, obcym świecie? – Józefa w uroczystym nastroju przyklękła i pocałowała ciotkę w obie ręce. – Boże, jak ja cię kocham, ciociu!

– Wyobraź sobie, mój ty łobuziaku, że ja ciebie też i jestem niezmiernie wdzięczna twojemu opiekunowi, że pozwolił mi zająć się tobą. Oj, namęczyłabyś się beze mnie, biedaczko. Podziękuj Bogu, że natchnął mnie myślą, iż ktoś musi ci pomóc.

– Och, ciociu, ja chyba się rozplaczę.

– Ja pewnie też, więc proponuję po kieliszku czegoś mocniejszego. Sięgnęła po butelkę koniaku. Popijały w milczeniu, gdy nagle, lekko się ociągając, Józefa spytała:

– Po co właściwie kuzyn Ludwik musiał lecieć do tej Biskry? Czy nasza firma prowadzi

interesy z Algierią?

– Co, co powiedziałaś, żabko? – spytała ciotka jakby wyrwana ze snu.

– Ludwik tak się spieszył z tym wyjazdem, jakby bez niego miał się tam zawalić świat.

– Może nie aż tak, ale zaraz ci wyjaśnię. Ludwik ma tam przyjaciela, który wpadł w tarapaty i potrzebuje pilnie pomocy. Rozumiesz?

– Nie bardzo, ale skoro ty wiesz, o co chodzi, i się nie martwisz, to ja też stulę gębę.

– Wystarczy, że będziesz trzymać język za zębami. To chyba chciałaś powiedzieć, młoda damo. Prawda?

– Aha! Znowu przesadziłam.

– Musisz uważać, co mówisz.

– Ciężka sprawa, nie uważasz?

– Nie uważam. Wszystko jest dla ludzi. No, na mnie już pora.

– I na mnie. Boże, jaki ten świat jest piękny!

– Piękny, tylko, że nasi panowie atomiści strasznie lekkomyślnie sobie z nim poczynają i cała nadzieja, że dobry Bóg zdenerwuje się w końcu i da im po łapach.

W hotelu w Biskrze czekała już wiadomość od Kurta, by Ludwik czym prędzej przyjechał do ElKantary. Z krótkiej notatki wynikało, że sytuacja wymaga pośpiechu.

Należało zacząć od zebranych informacji, jak dostać się do oazy na skraju Auresów. Czy nie należy obawiać się niebezpieczeństw w związku z wybuchem powstania? Miejscowi policjanci zapewniali, że w okolicy panuje spokój, walki toczą się na północ od Atlasu, a poza tym Ludwikowi, jako Niemcowi, nie grozi napad rebeliantów zbuntowanych przeciwko Francuzom. Biskra i niedaleka ElKantara dotychczas nie zostały objęte powstaniem.

Właściciel hotelu pomógł Ludwikowi wynająć kierowcę i samochód terenowy. Wyruszyli nazajutrz wczesnym rankiem. Co go czeka za górami i przełęczą, w której leży ElKantara? Okolica była przepiękna i przypominała Tunezję, gdzie Ludwik podczas wojny spędził sporo czasu w niewoli. Zupełnie inaczej odbierał uroki krajobrazu jako człowiek wolny, niezależny finansowo, czujący za plecami oddech cywilizacji i luksus biskrzańskich hoteli.

Dzień zapowiadał się upalny. Już z samego rana żółtawy pył nanoszony z Sahary zasłonił Biskrę po kilku kilometrach jazdy. Żadnego ruchu. Gdzieś na horyzoncie przemknęła karawana zdążająca czym prędzej do najbliższej oazy, by schronić się przed południową spiekotą. Po rozruchach rzekomo wstrząsających Algierią faktycznie nie było śladów.

Kierowca, młody inteligentny Kabyl, wyjątkowo rozmowny, z wielką wprawą prowadził skaczącego po wybojach jeepa. Krytykował przy tym i Algierczyków i Francuzów za wszczęcie bezsensownej wojny. Po co się kłócić, skoro pod słońcem Allaha daktyli starczy dla wszystkich, a pokój to tak cenna rzecz?

Ludwik przyznał młodemu Berberowi rację. Sam wiele przeżył z powodu wojny, która zawlokła go w dalekie strony, wykreśliła kilka lat z normalnego życia. Przypomniawszy sobie o Kurcie. Dla niego jeszcze tamta wojna się nie skończyła, a już wisiała nad jego głową nowa. Widocznie jej skutki dotknęły go, bo inaczej nie prosiłby tak rozpaczliwie o pomoc.

Jechali krętymi górskimi ścieżkami. Kierowca radził sobie znakomicie i wkrótce na horyzoncie zamajaczyły znajome zabudowania i gaje palmowe wypełniające malowniczo

wąwóz, w którym leżała ElKantara.

– Dojeżdżamy? – upewnił się Ludwik.

– Oui, monsieur – potwierdził szofer.

Wjechali do oazy, gdzie panował zgiełk, tak samo jak przed dwoma laty, gdy Ludwik przyjechał tu z Kurtem. Ludzie w przeróżnych strojach, psy, osły, konie, wszyscy tłoczyli się na centralnym placu, na którym królowała tryskająca wodą fontanna. Obok niej stał teraz Kurt i zasłaniając ręką oczy wypatrywał samochodu przyjeżdżającego z Biskry. Jak on wyglądał! Co się stało z eleganckim Kurtem sprzed dwóch lat? W podartej koszuli rozpiętej na piersiach, w połatanych spodniach z żółtego drelichu i dziurawych płóciennych tenisówkach, z obszarpanymi rękawami. Obok stał jasnowłosy chłopiec, równie nędznie ubrany jak Kurt.

Ludwik wyskoczył z jeepa, zanim jeszcze pojazd się zatrzymał, i podbiegł do przyjaciela. Uścisnęli sobie ręce bez słowa. Obaj wzdychali głęboko ze wzruszenia. Kurt przeciągnął ogorzałą ręką po blond czuprynie i roześmiał się szeroko, jakby usłyszał dobry dowcip.

– No dotarłeś jakoś, stary! – poklepał Ludwika po ramieniu, a później z poważną miną objął stojącego obok chłopca i rzekł: – To jest Helmer.

Ludwik podał chłopcu rękę. Ten uklonił się grzecznie.

– Cieszę się, że cię poznałem, Helmer.

– Ja także, monsieur – odparł pół po niemiecku, pół po francusku.

– Pięknie. Co robimy, Kurt?

– Idziemy do Violi. Jeep może tu zostać, a szofer niech idzie na kawę. Byle nie na długo.

Nie mamy czasu – ponaglał Kurt.

Skąd u niego tyle niepokoju? W czasie największego ostrzału podczas wojny nie mrugnął nawet okiem, a teraz cały trzęsie się ze strachu.

Weszli do niezbyt wytwornego hotelu. Wielojęzyczny i barwny tłum przy barze, niezbyt miłe zapachy.

Po krętych drewnianych schodach weszli na piętro. Kurt zapukał do drzwi i wpuścił przed sobą Ludwika i Helmera do bardzo skromnie urządzonego pokoju. W zaciemnionym od słońca pomieszczeniu panował półmrok. Z posłania z rur trzciniowych podniosła się szczupła jasnowłosa kobieta, której wygląd mimo nędznego ubioru wskazywał na damę.

Kurt podbiegł do niej, objął przez ramię i głosem pełnym troski rzekł:

– Violu! On przyjechał! Wiedziałem, że mogę na niego liczyć. Teraz już możesz być spokojna, najdroższa.

Ludwik patrzył jak urzeczony.

– Cieszę się wraz z Kurtem, że pan go nie zawiódł. Błagam, niech nas pan ratuje!

– Po to przyjechałem, pani Violu. By nie tracić czasu, proszę mi wszystko opowiedzieć, a potem zastanowię się, co mogę dla was zrobić. Możemy tu spokojnie porozmawiać?

– Tu albo przy fontannie. W tym przeklętym kotle nikt nikim się nie interesuje. Napijiesz się czegoś?

– Teraz nie. Najpierw chcę posłuchać i pomyśleć, jak wam pomóc.

– Pięknie! Czy to nie pokrzepiające, Violu? Życzę ci, Helmerze, żebyś też znalazł kiedyś takiego przyjaciela – Kurt mówił wzruszony, wycierając ukradkiem łzę spływającą po

policzku. – Rozkleiłem się jak stara baba, ale tak się cieszę, że nie muszę już sam martwić się o tych dwoje.

Viola pogłaskała Kurta po głowie i uśmiechnęła się blado. Otrząsnęła się nagle i podsunęła Ludwikowi chybotliwe krzesło. Helmer musiał usiąść na podłodze, sama zajęła miejsce na trzcinowym łóżku mówiąc z uśmiechem:

– Ani Kurt, ani pan, doktorze, nie mógłby na nim usiąść. Boję się, że lada moment zarwie się pod moim ciężarem. Krzesła, mam nadzieję, okażą się solidniejsze. Najpierw chcę panu jeszcze raz podziękować, że uwolnił pan Kurta z dręczącego go wyczekiwania.

– To o ciebie, Violu, i o chłopca się martwiłem! Ja jestem jak ten chwast – zdepczą go, połamią, a on odrosnie jeszcze bujniej, nawet jeżeli sobie tego nikt nie życzy. Masz coś do palenia, stary? U mnie posucha.

Ludwik rzucił mu paczkę papierosów i sam spytał Kurta, czy może zapalić.

– Ludzie! Teraz dopiero widzę, jak ze mną jest źle. Nie gniewajcie się, ale w tym zamieszaniu zupełnie zapomniałem o dobrych manierach, których uczyła mnie matka – Kurt rozglądał się zakłopotany. Zaciągnął się głęboko papierosem i spytał: – Ja mam opowiadać, czy zrobito ty, Violu?

– Chętnie cię wyreczę, Kurt. Ty opowiadasz ze szczegółami, ja z postaram się mówić zwięźle, a jeżeli pominię coś ważnego, dorzucis Dobrze? – mówiła spokojnym tonem, który na obu mężczyznach zrobił duże wrażenie. Spojrzała jeszcze z uśmiechem na syna i zaczęła opowieść.

Ernest Sallier był wysokim urzędnikiem rządowym. Mieszkał w luksusowych warunkach w Algierze i należał do grona osób podejmujących najważniejsze decyzje. Jego pozycja znacznie osłabła z chwilą wybuchu powstania. On chyba nie wyciągnął z tego żadnych wniosków, wzbudzając swoim postępowaniem narastający gniew wzburzonej miejscowej ludności. Każde zarządzenie powodowało odwet, prowokowało chęć zemsty i budziło nienawiść do przedstawicieli władz francuskich.

I stało się to, co musiało. Pewnej nocy luksusową posiadłość Salliera w europejskiej dzielnicy na przedmieściach Algieru otoczyli buntownicy.

Ogrodnik wymknął się w ostatniej chwili i pobiegł zawiadomić Kurta, że Salliera i jego rodzinę odcięto od świata, że nie mają oni żadnej możliwości wezwania pomocy. Na szczęście, Viola i Helmer zdołali schronić się w skrytce, którą Kurt pod nieobecność Salliera przygotował dla nich w piwnicy rezydencji. Siedzieli skuleni ze strachu, podczas gdy na górze wśród nieludzkiego wrzasku padały strzały, przewracały się meble, wypadały szyby. Nad ranem zrobiło się cicho. Viola ostrożnie sama wyszła z piwnicy i jej oczom ukazał się straszliwy widok. Dom został dokładnie zdemolowany, pomieszczenie po pomieszczeniu, okno po oknie. W hallu wśród rozbitych mebli i potłuczonego szkła leżały dwa trupy – Salliera i jego sekretarki, młodej Francuzki. Viola była zrozpaczona. Co miała począć, gdzie się podziać? Dom z pewnością był pod obserwacją i rebelianci gotowi w każdej chwili wrócić i dopełnić zemsty na rodzinie znienawidzonego funkcjonariusza.

Trzęsąc się ze strachu Viola przemknęła do kuchni. Spustoszenie ogromne. Na szczęście jedna z lodówek, przewrócona na bok, miała zamknięte drzwi i jej zawartość nie została

wyrzucona na podłogę.

Zebrała nie patrząc nawet co i czym prędzej pobiegła do syna czekającego w skrytce. Postanowiła nie ruszać się stamtąd na krok, dopóki nie przyjdzie z pomocą Kurt, bo że przyjdzie, Viola nawet przez chwilę nie wątpiła.

Jak długo przesiadzieli w ciemnościach, sama już nie potrafiłaby powiedzieć. Przy każdym najmniejszym szmerze włosy stawały im dęba i oczekiwali najgorszego.

Wreszcie usłyszeli dochodzący z podwórza znajomy terkot rozklekotanego motocykla Kurta. Po chwili zapukał dwa razy krótko i trzy razy długo do drzwi skrytki. Przybył na pomoc!

Ale jak on wyglądał! Jakby całe algierskie powstanie skupiło się na jego osobie – obszarpany, wychudzony, niemiłosiernie brudny, ale z uśmiechem na opalonej twarzy. Nie było czasu na żadne wyjaśnienia. Wszyscy troje musieli się przebrać, szybko i bez hałasu. Viola zarzuciła na siebie biały haik i charakterystyczną zasłonę na twarz, Helmer owinął się w brązowy burnus, sam Kurt misternie zaplótł na głowie długi zwój. W trójkę usadowili się jakoś na zdezelowanym motocyklu i ruszyli na wschód, zamierzając przedostać się do Tunezji.

Kurt nie wątpił ani przez chwilę, że rebelianci rozpoczną poszukiwania rodziny Salliera. Dla ludzi ogarniętych żądzą zemsty połowicznie wykonane dzieło nie oznaczało pełnej satysfakcji. Nie będą też pamiętali, że akurat Viola w czasie pobytu w Algierii zrobiła dla nich wiele dobrego, że Helmer nie był synem bezwzględного urzędnika, że ona nie jest z pochodzenia Francuzką. Nienawiść, gdy przechodzi w zemstę, odbiera ludziom jasność myślenia.

Opowiadała spokojnie, tylko ręce zaciskała nerwowo na kolanach. Uśmiechnęła się, spojrzawszy na Ludwika, a ponieważ Kurt nie zamierzał kontynuować, ciągnęła dalej:

– Nawet niech pan nie pyta, jak wyglądała nasza jazda. Motocykl wysiadł, ledwo wjechaliśmy w góry. Przedzieraliśmy się piechotą. W nocy bywało piekielnie zimno, w dzień skwar. Byliśmy głodni, umieraliśmy z pragnienia, i wtedy zdarzył się pierwszy cud: Kurt spotkał znajomego handlarza wiozącego towary z północy na Saharę. Porozumiewali się bez słów. Ja wylądowałam na grzbiecie wielbłąda pod baldachimem. Na szczęście, uczono mnie kiedyś dla zabawy siedzenia na garbatym wierzchołku i tylko dlatego udało mi się utrzymać równowagę. Żywiliśmy się daktylami i innymi suszonymi owocami. Biedny Kurt w brudnym burnusie, z kapturem na głowie i umorusaną twarzą udawał przewodnika i całą drogę szedł pieszo – uśmiechnęła się i położyła smukłą dłoń na ramieniu Kurta – drugą ręką trzyma i wystającą spod baldachimu nogę Helmera i tak złączeni miłością po kilku dniach dotarliśmy do ElKantary. Znałam tę oazę, gdyż bywaliśmy tu z Sallierem. Wtedy mieszkaliśmy w luksusowym hotelu „Oasis” i mieliśmy mnóstwo pieniędzy, teraz, prócz kilku szwedzkich monet, które Helmer zawsze ma przy sobie, nie mieliśmy nic. Z grubsza powiedziałam o najważniejszym, mów dalej ty, Kurt – dodała i zmęczona przycisnęła się do trzciny oparcia łóżka.

– O ile dobrze zrozumiałem, wszyscy troje jesteście narażeni na zemstę rebeliantów i musicie czym prędzej uchodzić z Algierii. To właśnie muszę wam umożliwić – rzekł Ludwik

jakby do siebie, spoglądając na przyjaciela, który zapalał kolejnego papierosa.

– Nie myśl tylko, że to będzie łatwa sprawa – rzekł Kurt. – Nawet tu są potrzebne dokumenty i pieniądze, a Viola i Helmer nie mają ani jednego ani drugiego.

– A ty?

– Człowieku, o mnie się nie martw. Zaszyję się między wydmami piachu i wystawię głowę, gdy niebezpieczeństwo minie, ale tych dwoje musi wyjechać z Afryki, i to jak najprędzej. Innej rady nie ma. Violi, jako żonie francuskiego dygnitarza, w każdej chwili grozi śmierć, a co gorsza, wszystkie dokumenty zostały w Algierze.

– To rzeczywiście trudna sytuacja, ale przecież jakieś wyjście musi się znaleźć. Pieniądze nie zdadzą się na nic, to pewne. Można by za nie urządzić was troje tu w Biskrze, ale za granicę pani Violi i chłopca nie wydostaniemy – Ludwik kopnął ze złości w krzesło. Poczucie bezsilności stawało się nie do zniesienia.

– Pani jest Szwedką, pani Violo. Czy w waszej ambasadzie w Paryżu ktoś panią zna? – spytał nagle.

– Są tam moje dokumenty. Zanim wyszłam za Salliera mieszkałam w Paryżu cztery lata. Pracowałam jako tłumaczka i czasami wykonywałam dla ambasady drobne prace. Poza tym Helmer chodził do szkoły z dziećmi pracowników naszego konsulatu. Boże, po co ja wyjeżdżałam z Paryża!

– Szkoda żałować decyzji sprzed lat, pani Violu. Zatem nie ma pani przy sobie żadnych dokumentów?

– Niestety. Napaść na nasz dom zaskoczyła nas zupełnie. Ledwo zdążyliśmy się ukryć z Helmerem.

– A ty Kurt?

Uśmiechnął się i spod rozpiętej, brudnej koszuli wyciągnął plik dokumentów i rzucił je na stół jak talie kart do gry.

– Ciągnij, stary! Paszport tunezyjski, francuski, niemiecki, czy marokański, który chcesz? Tylko nie stawiaj żadnych pytań, bo i tak nie odpowiem. Chcę, żebyś pomógł Violi i Helmerowi, boja sobie poradzę. Jeżeli ich stąd wyciągniesz, to ja, choćbym miał żyć sto lat, będę ci bezgranicznie wdzięczny.

– No dobrze. Jeszcze jedna z wielu twoich tajemnic. Nie będę wypytywać, ale dalej nie wiem co robić.

– Byłaby jedna możliwość, ale nie wiem, czy zgodzisz się zaryzykować.

– Nie owijaj w bawełnę, tylko mów wprost. Jak mi się zdaje, nikt z nas czworga nie ma zbyt wiele czasu do stracenia.

– Racja. Dlatego musiałbyś szybko wracać do Biskry i udać się do Hotelu de Paris – to ten nowy kompleks w północnej części miasta. Słyszałem, że przybył tam szwedzki minister Engandstark. Kapujesz?

– Tak i nie. Przecież ochrona w żaden sposób nie dopuści mnie do ministra.

– Dlaczego? Przyszłego szefa firmy Schottlera, który chce nawiązać współpracę między Republiką Federalną a Szwecją w dziedzinie tworzyw sztucznych, każdy minister powinien przyjąć. Trzeźwo myślę, stary?

– Chyba tak, Kurt, skoro tak uważasz. Ty jesteś u siebie, a rzeczy nieprawdopodobne dla mnie bierzesz za oczywiste. W każdym razie jedziemy do Biskry. Masz tu jakieś długi do zapłacenia? Musisz je uregulować, żeby nie wzbudzać niepotrzebnego rozgłosu wokół naszego wyjazdu.

Kurt wziął portfel Ludwika, a stojąc już w drzwiach uśmiechnął się.

– Obawiam się, że handlarz niewolników, stary Abdullah, do którego należy ta melina, padnie z wrażenia, gdy zobaczy mnie płacącego rachunki.

– Weź na wszelki wypadek wiadro z zimną wodą – zażartował Ludwik, głównie by dodać trochę odwagi przerażonej pani Violi.

Podziwiał ją i Kurta za ogromne przywiązanie i poświęcenie, do jakiego zdolni są prawdziwie kochający się ludzie. Helmer zrobił na nim dobre wrażenie. Podobny do matki również z charakteru, odznaczał się też młodzieńczą beztroską. Wyrośnie z niego naprawdę uczciwy mężczyzna. Ludwik nie miał najmniejszych wątpliwości, że uda mu się wyciągnąć z opresji tych dwoje, ale coraz mniej miał nadziei na wyrwanie stąd Kurta. Najwyraźniej nie był jeszcze gotów na poddanie się rygorom obowiązującym w cywilizowanym świecie. Na próżno było by go przekonywać. Ktoś taki jak Kurt Schröder musi sam podejmować decyzje. Mimo że poglądy na świat i życie tak bardzo różniły obu przyjaciół, Ludwik ani przez chwilę nie zastanawiał się, czy powinien mu pomóc, czy nie. Jako przyjaciele lubili siebie takimi, jakimi byli i co najważniejsze – wzajemnie się szanowali.

Kurt zjawił się wkrótce, uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Poczciwy Abdullah ledwo dochodzi do siebie. Nie mógł uwierzyć, że płacę dobrowolnie, i już nawet sobie ułożył całą litanię przekleństw pod moim adresem. Tyle wysiłku włożył, a efekt żaden. Taki zawód go spotkał! To co, możemy jechać?

Spojrzał niepewnym wzrokiem na Violę i Helmera.

– Po co pytam! Wyglądacie, jakbyście jechali na odpust – rozczochrał czuprynę chłopca. – Dobrze, że wreszcie wyśpicie się w porządnym łóżkach.

Helmer popatrzył na Kurta pełnym podziwu wzrokiem i Ludwik nie miał wątpliwości, że chłopiec ubóstwa beztroskiego włącze.

Viola próbowała się uśmiechnąć. Przez chwilę objęła Kurta oburącz za ramiona i rzekła cicho, bardzo czule:

– Naprawdę, jak ci dziękować?

– Naprawdę nie musisz, Violu. Czas pokaże czy zasłużyłem na twoje podziękowania, albo może na coś więcej. Pustynia nauczyła mnie cierpliwości, umiejętności czekania i wielu równie cennych rzeczy – rzekł trzymając ją za rękę. Zaległa cisza, gdy przez chwilę patrzyli sobie w oczy, a zza okien dochodził jednostajny gwar ruchliwego placu. – No, czas na nas. Ruszamy do cywilizacji. Bierzymy w ogóle jakieś bagaże? Czy też zostawimy cały kram półprzytomnemu Abdullahowi?

– Nie zabierzemy niczego, Kurt. Z każdym drobiazgiem wiąże się wiele niemiłych wspomnień – rzekła cicho Viola i uśmiechnęła się. – Jestem gotowa i nie potrafię już o niczym myśleć poza tym, że jesteście tu teraz obaj ze mną. Idziemy, Helmer, ty źle ufarbowany wilku pustynny! – rozczochrała jasnoblond czuprynę chłopca.

W czworo wymknęli się do stojącego obok fontanny jeepa. Kierowca natychmiast podniósł brezentowy dach. Było ciasno, ale kto by się tym przejmował. Odjechali szybciej niż ktokolwiek z tłumu mógł się zorientować, że coś się dzieje.

Kurt w miejscowym narzeczu, posiłkując się słowami francuskimi i arabskimi, objaśniał kierowcy, które ma jechać, żeby uniknąć ewentualnych posterunków żandarmerii lub rebeliantów.

– Może pojedziemy skrajem Auresów, przez Rhoufi – zaproponował Ludwik.

– To zbyt daleko. Poza tym słyszałem, że w słynnych wąwozach Rhoufi w opuszczonych domach gromadzą się rebelianci i wszelkiej maści przestępcy uciekający przed prawem. Pojedziemy raczej przez góry, na skróty.

Kierowca cały czas ze zrozumieniem kiwał kędzierzawą czupryną, potem wdał się z Kurtem w długą rozmowę po kabylsku, z której poza nimi nikt z współpasażerów nie rozumiał ani słowa.

Jechali kawałek główną szosą w kierunku Batny. Ruch był niewielki. Załedwie kilka samochodów, którymi turyści z Biskry wybierali się do Timgadu, słynnych ruin rzymskiego miasta, odkrytych przed wojną na północnym skraju Auresów. Ludwik był tam poprzednim razem i wrócił zauroczony widokiem dobrze zachowanych zabytków. Potężne kolumny świątyń, budowli publicznych, niemal nie uszkodzony łuk Trajana, kompletny amfiteatr i przejezdne wszystkie ulice miasta zrobiły na nim kolosalne wrażenie.

Dziś nie jechali do Timgadu. Za ElKantarą skręcili w prawo i mało uczęszczaną drogą przedzierali się z powrotem do Biskry, do której zamierzali dotrzeć od wschodu.

Czas dłużył się niemiłosiernie, zwłaszcza Violi, która pełna obaw o Helmera spodziewała się za każdym zakrętem zasadzki rebeliantów. Trzymała chłopca w objęciach, gdy ten wyrwał się co chwilę, by podziwiać przepiękne widoki półdzikich Auresów.

Ludwik wsłuchiwał się w ożywioną rozmowę Kurta i kierowcy. Wykorzystał chwilową przerwę i spytał po niemiecku, czy Kabyl nie trzyma z powstańcami i nie zdradzi.

Kurt uśmiechnął się i rzekł:

– To rozsądny chłopak. Nienawidzi przemocy, a do Europejczyków jest przychylnie usposobiony, ale mimo to wolałbym być już w Biskrze.

W luksusowym hotelu Ludwik i jego niezwykła świta nie wzbudzili najmniejszej sensacji. W kraju, gdzie niemożliwe stawało się rzeczywistością, nikt nikogo o nic nie pytał, nikim się nie interesował. Na szczęście, pokoje były wolne. Przede wszystkim należało uciekinierom kupić porządne ubiory. Wizytę w pobliskim francuskim domu towarowym trzeba było jednak odłożyć na później. Ważniejsze są dokumenty.

Telefonicznie udało się połączyć z sekretarzem szwedzkiego ministra mieszkającego w innym hotelu. Urzędnik zżymał się, narzekając na napięty program dyplomaty, ale wobec nalegań Ludwika umówił go na godzinę w porze podwieczorku. Kolejna przeszkoda została szczęśliwie pokonana.

Kurt odetchnąwszy z ulgą, podszedł do Ludwika z wyciągniętą ręką.

– Dawaj pieniądze, stary! Pójdę po te ubiory dla Violi i Helmera. Ty i tak się na tym nie znasz.



– A ty się znasz?

– Też nie, ale może nie będzie tak źle. Zrozum mnie, stary, jeżeli chodzi o tych dwoje bliskich mi ludzi, nie mam żadnych skrupułów. Zrobię, co do mnie należy i zniknę.

– Naprawdę musisz, Kurt?

– Muszę być w ruchu. Siedząc w jednym miejscu zmarnowałbym wszystko, co z takim trudem budowałem przez lata. A przecież muszę zapewnić utrzymanie Violi i chłopcu. Taki jest cel mojego życia.

– Czy naprawdę musisz go realizować z ukrycia?

– Inaczej nie można. Wierz mi albo nie, ale jestem bogaczem nawet na stosunki niemieckie, nie mówiąc już o tutejszych, ale muszę mój majątek ulokować w bezpiecznym miejscu, a tego nie da się zrobić z dnia na dzień. Będę z tobą w kontakcie. Pisz na adres bankiera Trettiera. Być może do tego czasu przeszmugluję już moje dobra do Bizerty. Po latach niewoli i pobytu w tym mieście stałem się prawdziwym tunezyjskim patriotą. Powierzę Trettierowi opiekę nad moją kurą znoszącą złote jajka. Stary łajdak i tak nie ma nic innego do roboty.

– Znam cię na tyle, żeby wiedzieć, że na żadne pytanie mi nie odpowiesz. Masz tu mój portfel i bierz, ile potrzebujesz.

– Dobrze, że nie stawiasz pytań. No... tyle wystarczy. Spotkamy się wieczorem i powiesz mi, co załatwiłeś z tym starym Szwedem. Wcześniej i tak nie mielibyśmy o czym rozmawiać, a pustynia nauczyła mnie, że bezsensowne roztrząsanie hipotez, co by było, gdyby było, to niepotrzebna strata czasu – przyłożył dwa wyprostowane palce do skroni i zsalutował jak za dawnych lat, gdy Ludwik był jego przełożonym.

Brunner kręcił głową. Czy kiedykolwiek tak naprawdę zrozumie tego człowieka?

Spotkanie ze szwedzkim ministrem, niezwykle uprzejmym i wyrozumiałym człowiekiem, udało się znakomicie i Ludwik natychmiast po rozmowie pobiegł do Violi, by ją uspokoić. Szwed obiecał, że połączy się telefonicznie z ambasadą w Paryżu i dowie się, jak wygląda sytuacja prawna Violi Senholm i jej syna, oraz w jaki sposób można im pomóc.

Jeszcze tego samego wieczora starszy pan zaprosił Ludwika do swojego apartamentu i przekazał mu pomyślne wieści z Paryża. Otrzymał ze szwedzkiej ambasady numery poprzednich paszportów Violi i Helmera Senholmów, a także upoważnienie do wystawienia im dokumentów *ad interim*, na podstawie których można wyjechać do Europy.

Trudno opisać radość uciekinierów, a także Kurta, który wprost nie mógł uwierzyć, że w tak prosty sposób, dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności i pomocy Ludwika, udało mu się zapewnić ukochanej kobiecie i jej dziecku bezpieczny wyjazd ze zbuntowanego kraju.

Długo, do późnej nocy wszyscy troje siedzieli w hotelowym barze i rozmawiali o planach na najbliższe dni, tygodnie miesiące. Ludwik chcąc zmienić temat, wspominał o czekających go zmianach w pracy i niespodziewanym zjawieniu się współpracownicy – córki wuja Hugona.

Ludwik opowiedział o pierwszym spotkaniu z Józefą i wrażeniach, jakie zrobiła na nim pracowita prasowaczka koszul, a także o jej reakcji na wiadomość od notariusza, że została milionerką.

– Możecie mi nie wierzyć, ale nie była to łatwa chwila. Gdyby nie moja znakomita ciotka

Ilza, sam nie wiem, jak by się to wszystko skończyło. Byłem pewien, że mała diablina w każdej chwili gotowa była zionąć ogniem i siarką w moją stronę, a tymczasem ciotka jakoś ją udobruchała. Szkoda, że nie widzieliście, jak skakała z radości, gdy wreszcie dotarło do niej, że ma dużo pieniędzy i może kupować, co zechce. I jak myślicie: co postanowiła kupić najpierw?

– Pewnie futro z nerek – mruknął Kurt próbując zapalić zgasłego papierosa.

– Oj nie sądzę – rzekła Viola. – Przypuszczam, że pomyślała o pięknej sukni.

– Skądże! Ani jedno, ani drugie. Najpierw poprosiła o dwanaście porcji sękacza dla swoich koleżanek z pracy, a później zapragnęła czerwonych bucików na piekielnie wysokich obcasach. I co? Przyszła milionerka, jak sama siebie nazwała, zadowolona się takimi drobiazgami' – Ludwik roześmiał się na wspomnienie sceny u notariusza.

– A w ogóle, to jaka ona jest, ta mała praczka? – zainteresowała się Viola zupełnie już odzyskawszy spokój i dobry nastrój.

– O mój Boże! Kowal w niewieścim wydaniu: gruboskórna, prostolinijna, porywcza i bardzo nieufna. Ma braki w wykształceniu, chociaż o dobre maniery gdzieś tam się otarła. W każdym razie prawdziwa dama to z praczki nigdy nie będzie.

– Myślę, że ty najprędzej nauczyłybyś ją być damą, gdybyś się bardzo postarał.

– Broń Panie Boże! Żeby wydrapała mi pazurami oczy? Myślę, że ciotka Ilza powoli i ostrożnie nauczy ją najpotrzebniejszych rzeczy. Już podobno ma jakieś sukcesy, a za kilka dni odwiezie ją de Genewy, do pensjonatu, który wybrał dla niej Hugo. W ciągu dwóch lat nauczą ją tam być może wszystkiego, co jako szefowa firmy Schottlera wiedzieć powinna.

– Zatem masz jeszcze dwa lata spokoju, stary. Wykorzystaj je jak najlepiej i hartuj nerwy, żeby ten nieokrzesaniec nie zniszczył ci ich do reszty – uśmiechnął się Kurt. – Pilnuj też dobrze finansów, bo nigdy nie wiadomo, co wywinie ci współniczka.

– Skoro wspomniałeś o firmie; przyszło mi do głowy, że mógłbym zabrać panią Violę do siebie i znaleźć jej jakąś posadę. To byłoby idealne rozwiązanie! Współpracujemy z zagranicą, a pani mówi po angielsku, francusku, po szwedzku. Pani Violu, ma pani u mnie pracę! – wykrzyknął podniecony Ludwik i uściśnął mocno smukłe dłonie, która Viola odruchowo mu podała.

– A ja przynajmniej będę wiedział, dokąd kierowaómoje stęsknione serce – do fabryki Schottlera! – roześmiał się Kurt. – Trzymaj Ludwika za słowo, Violu. Nawet w najskrytszych marzeniach o czymś takim nie myśleliśmy. W tej sytuacji pozostało ci tylko czekać na mój powrót – wziął ją za rękę i czule pocałował. – Czekać, słyszysz? Choćby to miało trwać bardzo długo. Ale ja wrócę i będziemy już na zawsze razem. Musisz w to usilnie wierzyć, Violu.

Skineła tylko głową i popatrzyła mu w oczy z wielką ufnością.

Ludwik wyszedł przez szeroko otwarte drzwi na balkon i zapatrzył się w tonący w bladej księżycowej poświacie ogród, i zaszuchał w jednostajny lekki szmer palmowych gałęzi. Nie wątpił, że tych dwoje zakochanych w sobie rozbitków potrzebuje choć chwilę tylko dla siebie i nie należy im przeszkadzać.

Dalej wydarzenia potoczyły się zupełnie jak w baśni z tysiąca i jednej nocy. Viola wraz z

synem i Ludwikiem udali się do hotelu, gdzie mieszkał minister i odebrali szwedzkie dokumenty *ad interim*. Z nimi musiała jechać do Paryża, zgłosić się do ambasady i złożyć szczegółowe wyjaśnienia, na podstawie których zostaną im obojgu wydane nowe paszporty.

Ludwik zarezerwował miejsca w samolocie, którym też zamierzał wracać, a następnie kupił bilety. Do wyjazdu pozostały jeszcze trzy dni.

Pożegnanie Kurta z Violą było krótkie. Po pierwsze chciał ułatwić ukochanej kobiecie rozstanie, a po drugie on, zatwardziały włóczęga, czuł się absolutnie załamany. Nie wyobrażał sobie, że nie będzie spotykać Violi, troszczyć się o nią, stawać w jej obronie.

Dopiero gdy pasażerów odlatujących do Paryża wezwano do samolotu, Viola zza barierki wyciągnęła ręce do Kurta, objęła go za szyję i czule pocałowała w usta.

– Dzięki, Kurt! Stokrotnie dziękuję ci za wszystko – szepnęła. Zdumiony jej zachowaniem, nie puszczał z objęć, patrzył w jej piękne oczy i spytał tak cicho, że tylko ona słyszała:

– I tylko tyle, Violu... ?

– Kocham cię i czekam na twój przyjazd.

– To właśnie chciałem usłyszeć. Na razie musi mi wystarczyć. Najważniejsze, że będziesz czekać.

Kurt podszedł do Ludwika.

– Opiekuj się moją rodziną, stary. Nie oszczędzaj i zapisuj każdy fenig, który na nich wydasz. Zwrócę ci z wysokimi odsetkami.

Odwrócił się na pięcie i zniknął w tłumie żegnających się z pasażerami, zupełnie jak wtedy w Bizercie, zaraz po wojnie.

Jego blond czuprynę zauważył Ludwik, gdy obejrzał się wychodząc z budynku lotniska. Kurt pomachał mu z daleka.

## V

Józefa pierwszy raz wyjeżdża za granicę! Trudno opisać, jak była zdenerwowana. Z jednej strony cieszyła się, a z drugiej ze strachu skręcało ją wokół żołądka. Z wypiekami na twarzy spoglądała na ciotkę lizę, szukając pociechy albo jakiegoś uspokajającego gestu. Ciotka udawała obytą w świecie damę, ale na granicy przed kontrolą jej nerwy wyraźnie popuściły. Dziwnie nie potrafiła opanować zdenerwowania.

Obyło się oczywiście bez żadnych sensacji, podobnie jak podczas całej podróży, jeśli nie liczyć siniaka na kolanie, którego sobie Józefa nabiła w wagonie restauracyjnym, gdy próbowała zdążyć przed ciotką do wolnego stolika przy oknie. Nawet nie czuła bólu, dumna, że ona – praczka Józefa Hannemann – może sobie pozwolić na obiad w pociągu, elegancko ubrana i z pełnymi walizkami nowych ubrań.

– Boże drogi! Czym sobie na to wszystko zasłużyłam? Patrzyła oczarowana przez szerokie okno restauracyjnego wagonu z natchnioną miną, jakby rzeczywiście rozmawiała z samym Bogiem.

– Coś ty tam zobaczyła, dziewczyno, za tym oknem? – spytała ciotka zamówiwszy u stewarda menu.

– Pana Boga, cioteczko! Musiałam mu jeszcze raz podziękować za wszystko.

– Jemu zawsze trzeba dziękować, dziecko, ale zajmij się teraz zupą, bo ci wystygnie. I uważaj, żebyś się nie oblała, gdy pociąg zatrzyma się, albo wjedzie na rozjazd.

– Tak się cieszę, ciotuniu.

– Na co? Na plamy na sukni?

– Nawet na nie! Na wszystko i ze wszystkiego. Tyle dobrego mnie spotkało... od ciebie, od kuzyna Ludwika, chociaż nie przysłał mi nawet kartki z Afryki.

– Przyznam ci się, że ja też mam powody do radości. Zrobiłam w życiu wiele dobrego, a nikt jeszcze nie dziękował mi tak jak ty – starsza pani rzeczywiście była wzruszona. Nie zawiodła się na Józefie. Bratanica okazała się skromną, zadowoloną z tego, co ma, dziewczyną, w dodatku rozsądną i inteligentną. Że czasami palnie jakieś drobne głupstewko? Boże, któż z nas nie popełnia błędów! Wszystkiego przecież w życiu można się nauczyć. Jeżeli Józefa zechce, to na pewno w Szwajcarii zdobędzie wiedzę potrzebną na stanowisku, które czeka ją za dwa lata.

Po przyjeździe do Genewy Ilza postanowiła zostać z bratanicą kilka dni w hotelu, by dać jej czas na oswojenie się z obcym miastem. Wybrały się na przejażdżkę po jeziorze, kilka razy były w górach, ale najczęściej spacerowały ulicami malowniczej szwajcarskiej metropolii. Dziewczyna ochłonęła po pierwszych wrażeniach i można było zawieźć ją do pensjonatu.

Ilza wynajęła taksówkę i wraz z bagażami kazała jechać do położonej w górach miejscowości Les Avants.

Pensjonat dla panien z zamożnych domów urządzono w dawnej rezydencji z ogromnym tarasem, z którego rozciągał się piękny widok na jezioro Lemman. W otaczającym willę parku

znajdowały się dwa korty tenisowe, jedyne nowoczesne akcenty kontrastujące z barokowym, książęcym, można by rzec, przepychem.

Pani Sosbell, właścicielka pensjonatu, przyjęła Józefę bardzo serdecznie. Elegancka, dystygowana dama okazała się osobą bezpośrednią, niezwykle miłą i opiekuńczą. Po omówieniu kilku najważniejszych spraw z ciotką lizą, zawołała jedną ze swoich wychowanek i poprosiła, by zajęła się Józefą – przedstawiła ją koleżankom i pokazała pokój. Później kazała im wrócić, by pożegnać się z ciotką.

O, mój Boże! Co za trudna chwila! Najchętniej Józefa uczepiłaby się spódnicy ciotki i nie puściła jej z Genewy, ale ta zbesztła ją żartobliwym tonem:

– Mam cię prowadzić za rączkę? Przecież już dawno nauczyłaś się chodzić.

Nie było rady. Gorzej chyba tu nie będzie, tym bardziej, że ciotka prosiła właścicielkę, by nie mówiła nikomu o dotychczasowej pracy Józefy w pralni koszul. Poinformowała też panią Sosbell o postępach swojej bratanicy i udzieliła wskazówek na przyszłość, by jak najbardziej ułatwić adaptację dziewczyny do nowych warunków.

– Niech pani cały czas pamięta, że panienka nagle została milionerką i, że dopiero za dwa lata ma objąć kierownictwo firmy Schottlera wraz z swoim kuzynem. Uwzględniając te dwie okoliczności, na pewno poradzi sobie pani z Józefą. Najważniejsze, żeby nauczyła się jak najwięcej z dziedziny ekonomii i języków obcych. Historię, literaturę można potraktować bardziej pobłażliwie.

– Trudno zaprzeczyć, że przypadek Józefy przypomina raczej opowieść z krainy baśni. Nasze wychowanki pochodzą z bardzo zamożnych rodzin i nasze polecenia traktują dość lekceważąco. W zasadzie robią to, co chcą. Jak pani widzi, nie mamy tu z nimi łatwego życia, pani Gerlach.

– Pod tym względem z Józefą nie będzie pani miała kłopotów. Skromność, poczucie obowiązku i radosne usposobienie są jej wrodzonymi cechami. Czasami potrafi być opryskliwa i nazbyt wojownicza, ale proszę nie zapominać, że jeszcze kilka dni temu była całkowicie zdana na siebie i sama decydowała o tym, co robi, choć muszę przyznać, że jej opiekun, mecenas Kunze, zapewnił jej wszystko co było w jego mocy. Mój siostrzeniec, Ludwik Brunner, który za dwa lata będzie wraz z Józefą kierował firmą Schottlera, jest przerażony perspektywą współpracy z niedoświadczoną młodą dziewczyną i gdyby nie ja, stara ciotka, pewnie doprowadziłby do zakwestionowania testamentu mojego brata.

– Czas jednak na mnie. Z pewnością wkrótce odwiedzę bratanicę, przyjedzie też na pewno jej opiekun, a później być może także siostrzeniec, jeżeli wymagać tego będzie interes firmy. W każdym razie o każdej wizycie będziemy panią wcześniej informować. Na ferie zabiorę Józefę do siebie. Jeżeli uzna pani za konieczne, przyjadę tu po nią, choć, jak mi się zdaje, sama poradzi sobie w podróży zupełnie dobrze.

Pożegnanie trwało krótko, bez wybuchów płaczu i czułych słów. Józefa zaaferowana już nowym domem uroniła zaledwie kilka łez i pomachała ciotce wsiadającej do taksówki.

Józefa Hannemann, prasowaczka z pralni koszul, uboga sierota, została sama w jednym z najlepszych pensjonatów nad Jeziorem Genewskim.

Listy od Józefy do ciotki lizy kursowały tam i z powrotem niemal codziennie. Ciotka

pisła szczegółowo o wszystkim, toteż pewnego dnia Józefa dowiedziała się, że kuzyn Ludwik wrócił już z Afryki w towarzystwie pięknej jasnowłosej Szwedki i jej synka. Dama została zatrudniona w dziale zagranicznym firmy Schottlera.

Violę Senholm Ludwik poznał w Biskrze, przywiózł ją do Niemiec, pomógł wynająć mieszkanie w pobliżu fabryki, a chłopca umieścił w gimnazjum. O szczegółach ciotka nie pisała.

Józefa od razu znenawidziła nieznajomą Szwedkę, sama nie wiedząc dlaczego. W pierwszym odruchu napisała do ciotki:

– Skoro mam być współodpowiedzialna za firmę, powojno się chyba pytać mnie o zdanie, kogo zatrudnić?

W odpowiedzi ciotka napisała:

*Spróbuj na chwilę zejść z obłoków na ziemię, mój skarbie – jeżeli Ludwik i najważniejsi panowie w fabryce uznali za stosowne zatrudnienie kogoś, to ty, żółtodziobie, raczej się nie wtrącaj. Mnie, prawdę mówiąc, ta kobieta się podoba. Prawdziwa dama. A chłopiec też wygląda na dobrze ułożonego i ma zadatki na dobrego ucznia. Tobie zaś radzę nie czepiać się ludzi, których nie znasz, a którzy w dodatku przeszli ostatnio tragiczne chwile. Od Ludwika dowiedziałam się o niebezpieczeństwach, jakie groziły obojgu wskutek rozruchów w Algierii. Spróbuj wczuć się w ich sytuację, a sądzę, że Twoje czule serce powstrzyma Cię na przyszłość przed dokuczliwymi uwagami na ich temat. Za kilka tygodni masz wakacje, więc chciałabym, aby w moim domu zapanował przyjazny i serdeczny nastrój.*

*Całuję cię mocno.*

*Twoja stara ciotka*

Józefa po przeczytaniu tego listu poczuła się nieswojo. Wcale przecież nie zamierzała wtrącać się do nie swoich spraw, nie zazdrościła tej kobiecie posady w fabryce, dlaczego jednak Ludwik tak bardzo troszczy się o nią? Do Józefy nie raczył nawet kartki przysłać po powrocie z Algierii, a dla tamtej ma czas szukać mieszkania? Nieładnie! Zepsuł Józefie humor na dobre.

Ludwik towarzyszył Violi i Helmerowi w podróży do Paryża, poszedł też z nimi do szwedzkiej ambasady. Niepokój okazał się zbyteczny; uprzedzony przez ministra urzędnik miał już przygotowane paszporty i wręczył je zaraz po tym, jak Viola złożyła pisemne oświadczenie, że jej mąż Ernest Sallier został zamordowany w ich domu na przedmieściach Algieru przez rebeliantów. Jako wdowa prosi o przywrócenie szwedzkiego obywatelstwa dla siebie i syna. Padło pytanie o ojca chłopca. Odpowiedziała dokładnie to samo co wtedy, gdy się urodził, i co zostało zapisane w dokumentach: Ojciec Helmera, Fin z pochodzenia, nie był jej mężem. Urzędnik nie stawiał więcej pytań. Z nowymi dokumentami w rękę opuścili ambasadę. Viola natychmiast wysłała telegram do Kurta na podany przez niego adres w Bizercie. Czowała się już zupełnie bezpieczna i musiała uspokoić zatroskanego przyjaciela.

Teraz Ludwik mógł spokojnie porozmawiać z nią o planach na najbliższą przyszłość, o którą chciał się zatroszczyć tak, aby Kurt był zadowolony. Nie ulegało wątpliwości, że

najbardziej urządzałoby go, gdyby Viola i chłopiec byli blisko Ludwika, a jednocześnie ona nie miała poczucia, że przyjmuje jałmużnę od obcego w końcu człowieka. Najlepiej, gdy da jej pracę. Była przecież przyzwyczajona do ciężkiej biurowej pracy w Paryżu, dlaczego więc nie miałyby jej podjąć w Niemczech?

Ludwik był zadowolony ze swojego pomysłu i chciał czym prędzej podzielić się nim z ciotką Izą, bo gdyby dowiedziała się o tym od kogoś obcego, jeszcze gotowa pomyśleć, że między nim a Violą zaszło coś, o czym woli nie mówić.

Zapowiedział się z wizytą, a przy okazji wprosił na kolację. Starsza pani, na szczęście, nie podnosiła drażliwego tematu i nie robiła groźnej miny, choć w głębi duszy co chwila karciała samą siebie: – lizo, daj spokój! Co cię to obchodzi? Chłopak ma swoje lata i pewnie wie, co robi.

Oczywiście, słyszała już o tajemniczej Violi Senholm, a nawet ją widziała. Mieszkanie, które wynajął Ludwik nowo przyjętej pracownicy fabryki Schottlera, znajdowało się w pobliżu biurowca firmy, przy tej samej ulicy, przy której mieszkała pani Gerlach. Trudno się dziwić, że nowiny z fabryki szybko rozchodziły się po sąsiadach. Viola spodobała się Izie. Wyglądała na damę, spokojną, rezolutną, ale na pierwszy rzut oka kruchą i delikatną. Chłopiec też sprawiał dobre wrażenie. Koledzy z gimnazjum polubili małego Szweda, odprowadzali go do domu, bawili się z nim w parku. Ilza patrząc na dwoje jasnowłosych Skandynawów przywiezionych przez Ludwika z Afryki zastanawiała się, czy przypadkiem bratanek nie stracił głowy albo i serca pod gorącym pustynnym słońcem. Jak inaczej można wytłumaczyć szybką decyzję o wyjeździe, zatrudnienie w firmie, wynajęcie mieszkania dla Szwedki?

Chcąc znaleźć odpowiedź na frapujące pytanie, Ilza wykosztowała się na kolację, na którą Ludwik się wprosił. Kilka butelek przedniego wina powinno mu rozwiązać język. Po powrocie z Biskry nie był zbyt rozmowny, a poza tym ciotka miała tyle interesujących wiadomości o Józefie...

Przyjęła bratanka z otwartymi ramionami, w doskonałym nastroju, choć z trudem ukrywając ciekawością. Musiała przyznać, że wyglądał wyjątkowo przystojnie. Kawaler do wzięcia, jakich mało! Czy piękna Szwedka nie zawróciła mu w głowie, czy on?... I tak dalej.

– Cieszę się, chłopcze, że znalazłeś trochę czasu dla starej ciotki. Mijają tygodnie, a my prawie z sobą nie rozmawiamy. Wyglądasz znakomicie, więc nie dziw się, że jak inne kobiety, ja również szaleję za tobą.

Ludwik trzymał ciotkę za obie ręce i uśmiechał się.

– Z przyjemnością odbiję ten komplement w twoją stronę, ciociu, natomiast stanowczo sprzeciwiam się nazywaniu mnie playboyem. Pomówmy raczej o tym, co wydarzyło się w ciągu ostatnich tygodni. Co słyhać u naszej małej diablidy?

– Nie uwierzysz, mój chłopcze, ale w ostatnim liście napisała mi kilka całkiem poprawnych zdań po francusku. Trochę się jeszcze boczy, że musi tracić czas na naukę, ale już rozumiała, że nie ma innego wyjścia. Zatem wszystko jest na dobrej drodze. A jak twoja podróż? Pomogłeś Schroderowi? Przecież tam trwają walki... Czy w Biskrze także odczuwa się napiętą atmosferę?

– Właściwie nie. Oaza leży na uboczu i jak w każdym kurorcie o charakterze międzynarodowym ani turyści, ani stali mieszkańcy nie lubią zajmować się polityką.

– Tak też myślałam. Polityka to paskudna gra. A jak tam pogoda?

Pokojówka donosiła kolejne półmiski z przystawkami. Ilza nalała Ludwikowi puchar dobrego wina.

– Słyszałam, że w drodze powrotnej zatrzymałeś się w Paryżu?

– Ciekawe, że ty zawsze pytasz o sprawy, które już znasz? Powiedz od razu, że chcesz dowiedzieć się czegoś więcej o pani Senholm i jej synu – uśmiechnął się i podniósł kieliszek.

– Zgadłeś. Umieram z ciekawości i przyznam ci się, że już podpytywałam to tu, to tam, co, kto, dlaczego i skąd, ale – nie uwierzysz – uzyskałam bardzo, ale to bardzo skąpe informacje. Widziałam już tę panią Senholm i szczerze mówiąc, zrobiła na mnie wrażenie, ale... No właśnie: o tym „ale” chciałabym z tobą porozmawiać.

– Napiszę zaraz Kurtowi, że Viola spodobała się ciotce lizie, to się chłopisko ucieszy!

– Dlaczego akurat on?

– Czyżbyś zapomniała już o telegramie, który przysłał mi w przeddzień naszej wizyty u notariusza w sprawie testamentu? Wspominał coś o niejkiej Violi, nie pamiętasz?

– Ach, rzeczywiście! Zatem ona nie jest twoją, ale twojego przyjaciela... Teraz rozumiem!

– Skoro udało mi się wyjąć najgłębiej tkwiący cierń z twojego serca, mogę spokojnie opowiedzieć ci całą historię od początku. Tylko proszę cię, ciociu, nie mów nikomu ani słowa z tego, co usłyszysz. Dla Violi i jej syna mogłoby to oznaczać wyrok śmierci.

– Nie płęć głupstw! Żyjemy przecież w środku Europy.

– Polityka, ciociu, to brutalna gra, a w życiu tej kobiety odegrała bardzo ważną rolę. Czuję się odpowiedzialny za bezpieczeństwo Violi i obiecałem Kurtowi, że jej go zapewnię. I jeszcze jedno, ciociu: zrób mi przyjemność i nie przerywaj w czasie opowiadania. Gdy skończę, odpowiem ci na każde pytanie.

– Wystawiasz mnie na ciężką próbę, mój drogi, ale czy jestem ci w stanie czegokolwiek odmówić? Będę milczała.

Skończyli kolację, a Ilza kazała podać kawę przy kominku. Oboje zapalili i Ludwik mógł zacząć opowieść.

Ciotka słuchała jak urzeczona, i rzeczywiście, nie odezwała się ani razu. Dopiero gdy skończył, rzekła przejęta:

– Coś nieprawdopodobnego! Nie sądzę jednak, że w naszym spokojnym mieście pani Senholm groziło jakieś niebezpieczeństwo.

– Powtórzę ci więc ostrzeżenie, które przekazano nam w szwedzkiej ambasadzie w Paryżu: algierscy terroryści podkładają bomby w całej Europie, nie tylko we Francji. Zamachy zdarzyły się także w Niemczech i wywołały spory niepokój. Musiałś o nich słyszeć. Złość i żądza zemsty u tych ludzi nie zna granic, i nie można wykluczyć, że znajdzie się wśród nich ktoś, kto znał Salliera, i gdy trafi na ślad wdowy po nim, zechce ją zamordować. Dlatego też, bez chwili wahania wydano Violi paszport jak również chłopcu, który zresztą nigdy nie miał osobnego dokumentu. Właściwie należało poczekać na oficjalne



potwierdzenie, że Ernest Sallier został zamordowany, ale trwałoby to zbyt długo i konsul w Paryżu nie chciał ryzykować. Cała nadzieja w tym, że Kurt zdobędzie ten papier i dostarczy Violi lub szwedzkim dyplomatom.

– Właściwie dlaczego nie przyjechał od razu, tylko siedzi w tym niegościnnym kraju?

– Sam chciałbym znać odpowiedź na to pytanie, ciociu. Kurt po dawnemu nie chce rozmawiać ze mną o swoim życiu i już po pierwszych słowach na ten temat śmieje się i ucina rozmowę. Co on robi, że dziś jest milionerem, a na drugi dzień zebrze o niedopałek papierosa? Jedno wiem na pewno – Kurt postępuje zgodnie ze swoim sumieniem i kocha Violę do szaleństwa. Gdybyś ich zobaczyła razem, musiałabyś przyznać, że się nie mylę.

– A widzisz dla tych dwojga jakąś szansę na normalne życie, wygodne, wspólne życie?

– Oboje bardzo pragną być razem, czy jednak będzie to normalne i wygodne życie, trudno powiedzieć, zważywszy na usposobienie Kurta, niepoprawnego łowcy przygód. Mały Helmer jest w niego wpatrzony jak w obraz i poza nim nie widzi świata.

– Mogę ci zadać kolejne głupie pytanie, Ludwiku? Kto właściwie jest ojcem chłopca? Kurt chyba nie, bo malec nie dostałby szwedzkiego paszportu.

– Nie uwierzysz, ale jest to dla mnie również zagadka. Jakoś nie odważyłem się Violi spytać. Zmieniając temat: Viola bardzo dobrze spisuje się jako tłumaczka w dziale zagranicznym fabryki. Pracuje bez zarzutu i sprawnie, a ponieważ jest zawsze pogodna i uśmiechnięta, wszyscy ją zaraz polubili.

– Ponieważ, podobnie jak ja przed chwilą, są przekonani, że jest twoją narzeczoną.

– I bardzo dobrze. Na razie nie zamierzam nikogo wyprowadzać z błędu. Ze względu na bezpieczeństwo Violi. Rozumiesz?

– Ja owszem, ale inni? Jeżeli jednak plotki zaczną się rozszerzać, nie powstrzymasz mnie, bym powiedziała komuś do słuchu, co trzeba. Chętnie pomogłabym tej kobiecie. Masz coś przeciwko temu?

– Jesteś wspaniała, ciociu! Jeżeli chcesz, przyprowadzę kiedyś Violę i Helmera na herbatkę do ciebie.

– Dopiero zaczną się plotki! Ale co nas to obchodzi? Załatwione. Ciągle jednak ten Kurt nie daje mi spokoju; w dzisiejszych czasach uchował się taki obieżyświat! Aż nieprawdopodobne, nie sądzisz?

– Ciociu, tacy byli zawsze! Przypomnij sobie krzyżowców, wędrownych trubadurów, wielkich podróżników, jak choćby Krzysztof Kolumb czy Marco Polo. Wszyscy ci panowie... jak by to powiedzieć?

– Nie potrafili usiedzieć na miejscu. Kurt też nie potrafi. Co on tam właściwie robi? Przecież nie wędruje po pustyni dzień w dzień.

– Nie pytam go, bo i tak mi nie odpowie. Mam tylko nadzieję, że teraz, gdy mąż Violi nie żyje, Kurt zacznie myśleć o ustatkowaniu się. Jakoś nie czuję do niego żalu, że jest taki skryty. Ma w sobie coś takiego, że nie można się na niego obrazić. Potrafi się nagle roześmiać i człowiek, choćby nie chciał, też musi.

– Taki był, gdy go poznałem, kiedy w ostatnim roku wojny trafił do mojej kompanii. Zaprzyjaźniliśmy się na dobre i na złe, ale gdy próbowałem mu cokolwiek doradzać, wściekał

się od razu i zmieniał temat. Potrzebował przyjaciela, nie nauczyciela. Spotkaliśmy się kilka razy po wojnie w Paryżu, w Marsylii, w Atenach i na Cyprze. Namawiałem go, by wrócił do Niemiec, a on uśmiechał się i powtarzał: – Nie, stary! Republika Federalna jest dla mnie za ciasna. Przebiegnę ją w trzy dni i co? Zaczynać od nowa tę samą trasę? To nie dla mnie, dopóki nie jestem starym prykiem. – Później już go nawet nie próbowałem namawiać, ale za każdym razem witaliśmy się i rozstawali jak prawdziwi przyjaciele. Bardzo sobie cenię przyjaźń Kurta. Na tym chyba wyczerpaliśmy temat, ciociu. Już wiesz, że nie musisz podstarzałego bratanka tarmosić za uszy, bo prowadzi się cnotliwie, a pani Viola jest dla niego nietykalnym tabu.

– Przyjęłam do wiadomości i akceptuję wszystko, co zrobiłeś i jeszcze zamierzasz zrobić dla tej Szwedki.

– Pięknie. Teraz ty opowiedz mi o Józefie. Nie uwierzysz, ale wprost usycham z ciekawości – dodał sięgając po kieliszek dobrego wina.

– Oczywiście zdarzyło się kilka komicznych i nieprzewidzianych sytuacji, ale trzeba dziewczynę zrozumieć. Nie przyszło jej łatwo oswoić się z myślą, że nie musi martwić się o przyszłość, że może mieć tyle sukni i płaszczy, ile tylko zapragnie. Ostrożnie pomagałam jej, gdzie mogłam, i interweniowałam, jeżeli było to naprawdę konieczne. Przy stole i w towarzystwie potrafiła zachować się bez zarzutu, a to już coś, natomiast wykazuje ogromne braki w wykształceniu ogólnym. Cóż, skończyła tylko szkołę zawodową. Zauważyłam, że ma talent do języków. Potwierdziła to także pani Sosbell, bo prosiłam ją o informowanie mnie na bieżąco o postępach Józefy.

– Utrzymujesz też kontakt z jej opiekunem, mecenasem Kunze?

– Oczywiście. Wiem, że był w Genewie w sprawach urzędowych i rozmawiał z Józefą. Opowiadał mi potem, że jest zadowolona, że dobrze wygląda i najwyraźniej już przyzwyczała się do życia w pensjonacie. Inteligentna dziewczyna z naszej Józefy.

– Nasza Józefo! Gdy pomyślę, ciociu, że pewnego dnia będziemy siedzieli obok siebie w moim gabinecie, dostaję skurczów żołądka. Co za głupi pomysł miał wujek Hugo z tym testamentem?

– Pomyśl, że mogło być jeszcze gorzej, gdyby dziewczyna okazała się zarozumiałcem, gburem, a do tego brzydactwem... Dopiero miałbyś piekło. Dziękuj więc Bogu, że Józefa ma przynajmniej znośny charakter. A jestem święcie przekonana, że po dwóch latach wróci z Genewy zupełnie odmieniona, jako sympatyczna i rozsądna młoda dama. Zobaczysz.

– Szkoda, że musiałem wtedy wyjechać do Biskry. Może, gdybyśmy byli od początku razem, poznalibyśmy się lepiej.

– Tak i nie. Nie wykluczam, że doszłoby między wami do spięć i Józefa skoczyłaby ci do oczu albo – w najlepszym razie – pokazała język. Teraz, kiedy ją zobaczysz, będzie już trochę utemperowana i przestanie ci działać na nerwy. A jeżeli zależy ci na ułożeniu sobie z nią dobrych stosunków, czasu będziesz miał aż nadto, gdy zasiądziecie przy najważniejszych biurkach w fabryce, które mój szanowny braciszek zarezerwował dla was obojga. W oddzielnych biurach pewnie byłoby wam lepiej, ale skoro zostało postanowione inaczej...

– Najgorsze, że ja też muszę się uczyć nowej roli szefa całej fabryki. Powodów do starć

nie zabraknie.

– Poczekaj i nie trząś już teraz kolanami. Nie lubię rozważać kwestii na zasadzie, co by było, gdyby było. Jedno jest pewne: oboje musicie przyzwyczać się do siebie i na to nie ma innej rady.

Ludwik poszedł, a Ilza zamyśliła się i pokiwała głową. Co tu się będzie działo? Życie pisało jakby dwa scenariusze, a może tylko jeden? Ilza była ciekawa, co z tego wyniknie.

## VI

Notariusz Kunze, jako opiekun Józefy, pewnego dnia wezwał Ludwika do swojego biura i oświadczył, że plany rozbudowy fabryki, które mają być zrealizowane w czasie, gdy Józefa będzie już szefową, wymagają teraz także zatwierdzenia przez nią, nawet jeżeli ona z tego niewiele rozumie. Pan Kunze domaga się postępowania zgodnie z prawem i chce, żeby podpis jego podopiecznej znalazł się na wszystkich dokumentach dotyczących przyszłości fabryki.

Ludwik był tak zaskoczony, że nie wiedział co odpowiedzieć. Miał dyskutować z tym postrzeleńcem, jak często w myślach nazywał Józefę, o zapiętych na ostatni guzik projektach i zatwierdzonych już planach? Śmiechu warte! Co z tego, że za niecałe dwa lata będzie szefową? Czy na przykład król wyruszając na wojnę pytał o zgodę leżącego jeszcze w pieluchach następcę tronu?

– Drogi mecenasie, doceniam troskę, z jaką pilnuje pan interesów swojej podopiecznej, ale czy w tym przypadku nie wydaje się panu, że sytuacja trochę przerasta możliwości panny Hannemann?

– Gotów byłbym zgodzić się z panem, gdyby cały zapis testamentowy pana Schottlera potraktować jako groteskę. Musimy jednak podejść do tego dokumentu z należytą powagą. Zatem oczekuję propozycji, jak zamierza pan uzyskać podpis mojej podopiecznej.

– Stawia pan przede mną trudne zadanie, panie mecenasie. Doprawdy nie wiem, jak się do tego zabrać. A może dałoby się to zadanie jakoś podciągnąć pod pańskie obowiązki jako opiekuna?

– Ludwik spojrzał błagalnym wzrokiem na notariusza, ale ten zasłonił się rękoma i rzekł dobitnie:

– Nie da rady, doktorze Brunner, to sprawa szefa firmy. Ponadto jest pan krewnym Józefy i spadkobiercą majątku jej ojca. Nawet zawsze uczynna pani Gerlach nie byłaby najwłaściwszą osobą do rozmów na temat waszej fabryki.

– Pamiętaj pan, jak w czasie otwarcie testamentu, tu w pańskiej kancelarii, Józefa ze złością zareagowała, że z tą fabryką będą tylko kłopoty? Aż chciałbym teraz powtórzyć za nią – same kłopoty! Jeśli powiem moim dyrektorom, że projekt rozbudowy, który opracowali jeszcze z wujem, musi być obecnie zatwierdzony przez osiemnastoletnią, niedoświadczoną dziewczynę, pewnie pokładą się ze śmiechu. Na samą myśl, panie mecenasie, mnie też chce się śmiać.

– To lepiej niż płakać, doktorze – notariusz wyraźnie się już niecierpliwił.

– Moim zadaniem było przedstawienie warunku, a w jaki sposób pan go spełni, to mnie nie interesuje. Podpisane kopie dokumentów proszę przynieść do mojej kancelarii. Niech pan pamięta, że podpisy muszą złożyć także dwaj świadkowie, ponieważ Józefa jest niepełnoletnia. Jednym będzie pani Sosbell, a drugim? Może któraś z nauczycielek zechce nam wyświadczyć przysługę?

– Nie mówiłem? Same kłopoty! A jeżeli smarkuła uprze się i nie zechce podpisać – co mam zrobić? Nakrzyczeć i dać klapsa? Nie, panie mecenasie, to nie dla mnie. Naprawdę,

zepsuł mi pan humor do reszty – Ludwik wzruszył ramionami i ze złością zgasił papierosa w popielniczce – i tak pana nie przekonam, a muszę tę sprawę jakoś rozwikłać. Nie można by poczekać, aż Józefa przyjedzie na wakacje?

– Z przepisów wynika, że dokumenty trzeba podpisywać równocześnie. Skoro pan już złożył swój podpis, nie ma innej rady. Ze swojej strony mogę zrobić tylko tyle, że zawiadomię Józefę o pańskiej wizycie i postaram się ją przygotować odpowiednio, żeby nie robiła panu kłopotów. No, panie doktorze, niechże pan nie traktuje całej sprawy zbyt poważnie! Pierwsze lata waszego wspólnego zarządzania na pewno będą bogate w tego rodzaju niespodzianki i drobne kłopoty, ale w końcu nie macie innego wyjścia.

– Prawdę mówiąc, zaciskanie zębów nie należy do moich ulubionych zajęć. W fabryce niektórzy już wiedzą, że będę tylko w połowie szefem i dziwią się, dlaczego jeszcze kieruję moim wydziałem. Nie bardzo wiedzą, co się dzieje.

– Przecież nie musi się pan nikomu tłumaczyć. Zawsze pan może powiedzieć, że zapisy testamentowe czasami zawierają niespodzianki, jakby sam diabeł kierował ręką piszącego ostatnią wolę. To na ogół przekonuje zbyt wścibskich. Wydaje mi się, że będzie pan chciał załatwić sprawę podpisów jak najprędzej, by nie budzić kolejnych sensacji.

– Szkoda, że nie mogę wyręczyć się ciotką lizą. Bardzo żałuję, panie mecenasie – dodał i pożegnawszy się chłodno wyszedł.

Z domu od razu zadzwonił do ciotki, ta jednak jego kłopot po prostu wyśmiała.

– I po co się złościysz, mój drogi? Nie wiesz, że złość piękności szkodzi? A poza tym wszystko ci wychodzi, więc wkrótce zaczniesz się nudzić, a tak masz przynajmniej jakieś urozmaicenie. Życzę ci miłej rozmowy z Józefą i nie zapomnij pozdrowić jej ode mnie. Powiedz jej, że już nie mogę się doczekać, kiedy przyjedzie na wakacje. Masz jeszcze jakiś kłopot na sercu?

– Ten jeden wystarczy za sto, bezduszna kobieto! Polecę do Genewy samolotem, żeby mieć problem czym prędzej z głowy. Czy po powrocie mogę przedstawić ci Violę i jej syna, ciociu?

– Oczywiście, Ludwiku. Bardzo się ucieszę. Załatw, co trzeba, a gdy Józefa przypadkiem zacznie szczerzyć kły, nie ustępuj! Przyznaję od razu – nie jestem pewna jak cię przyjmie.

– W roli poskramiacza dzikich bestii jeszcze nie występowałem. Przyjemna perspektywa, nie ma co! Dodałaś mi otuchy, ciociu!

Wieczorem Ludwik zapowiedział się u Violi i, jak zwykle, zabrał z sobą kilka praktycznych drobiazgów, które na pewno przydadzą się jej w nowo urządzonym mieszkaniu.

Ona i Helmer zawsze z radością oczekiwali wizyty wieczornego gościa. Dwa pokoje, kuchnię i łazienkę Viola urządziła z wielkim smakiem, choć niczego nie przywiozła z Algierii. Mimo to każde pomieszczenie miało wyraźny, bardzo osobisty wystrój. Wszędzie było dużo kwiatów. Na meblach leżały plecione ze słomy serwetki, w kuchni zaś różne ozdoby z kolorowego papieru. Viola miała dobry gust i zręczne palce – od razu rzucało się to w oczy. Sama także wyglądała znacznie lepiej: wypoczęta, uśmiechnięta, dzieliła czas na pracę w fabryce i opiekę nad synem. Helmer szybko zaadaptował się w nowym środowisku i tylko mocno spalona twarz zdradzała, że jeszcze kilka tygodni temu tułał się wraz z matką i

Kurtem Schröderem po niegościnniej algierskiej pustyni.

Ponieważ jednak matka i urzędnicy w szwedzkiej ambasadzie surowo zakazali mu rozmawiania z kimkolwiek o tym, co robił dotychczas, Helmer nie mógł się pochwalić przed kolegami ani umiejętnością jazdy na wielbłądzie, ani uczestnictwem w karawanie, ani nocami spędzonymi pod gołym niebem w saharyjskich oazach. Na szczęście, do zaimponowania równieśnikom wystarczył sam fakt, że był Szwedem. Polubili go od razu, z czego najbardziej ucieszyła się Viola, gdyż w czasie pobytu w Algierii chłopiec nie miał przyjaciół i właściwie skazany był na samotność, zarówno w szkole jak i w domu – z racji stanowiska ojczyma.

Viola często wracała we wspomnieniach do Kurta. Zнали się tyle lat, a z każdym rokiem jej uczucia do tego człowieka stawały się wyrazistsze i mocniejsze. Traktowała go uczciwie, podobnie zresztą jak swojego męża, którego wspominała nie tylko za piekło, jakie jej zgotował w ciągu ostatnich lat. Ich małżeństwo nie zostało zawarte z miłości, jedynym uczuciem, jakie Viola żywiła do Salliera, była wdzięczność za to, że wyrwał ją z trudnej sytuacji i nie domagał się rozstania z Helmerem. Pracowała w Paryżu bardzo ciężko, udzielała wieczorami lekcji, a pieniędzy wciąż brakowało. Gdy przypadkowo poznała w ambasadzie Salliera, a ten zaproponował, że ożeni się z nią i zabierze wraz z synem do Algieru, nawet się nie zastanawiała. Nie wiedziała wtedy, że Sallier był bogaczem, ani że jego majątek pochodzi z niezbyt uczciwych źródeł. Nie przypuszczała też, że ożenił się po to, by pod przykrywką małżeństwa prowadzić swoje brudne interesy i mydlić oczy tym, którzy zaczęli go podejrzewać. Poznała Kurta Schrodera i to on pierwszy ostrzegł ją przed matactwami Salliera. Szybko zorientowała się, że właściwie nie znała swojego męża. Bała się i chętnie przystała na propozycję Kurta, by w razie niebezpieczeństwa natychmiast go zawiadomić. Nie wspomniał ani razu o swoich uczuciach, ale Viola nie miała wątpliwości, że chce ją i Helmera ratować nie dla pieniędzy, ale z wielkiej miłości. Obdarzyła go wielkim zaufaniem, chociaż naprawdę nic o nim nie wiedziała.

Ze wzruszeniem patrzyła jak Helmer przyłgął do Kurta, najwyraźniej instynktownie wyczuwając jego prawdziwe intencje. Salliera nigdy nie darzył sympatią, chociaż odnosił się do niego grzecznie i uprzejmie. Dopiero gdy w ich domu zjawiał się Kurt – zawsze na krótko, przejazdem – chłopiec odżywał.

Tylko ze względu na ogromne zaufanie do Kurta i miłość, jaką go darzyła, Viola bez zastrzeżeń zgodziła się przyjąć pomoc i opiekę Ludwika Brunnera. W pewnym sensie widziała w nim pełnomocnika mężczyzny, którego z każdym dniem kochała coraz bardziej. Pobyt w Algierii wywarł wielki wpływ na jej charakter. Przede wszystkim nauczyła się tam cierpliwości. Potrafiła czekać – jak wszyscy ludzie pustyni, którą polubiła od pierwszego spotkania. Nieskończona przestrzeń od horyzontu po horyzont nie przytłaczała jej, podobnie jak Kurta, mobilizowała do działania, dodawała otuchy, budziła nadzieję. Sahara zawsze odwdzięczała się ludziom, którzy ją pokochali, o czym Viola przekonała się w czasie ucieczki z Algieru, po napaści na dom Salliera. Czy to nie cud, że u wrót pustyni Kurt spotkał zaprzyjaźnionego właściciela karawany wielbłądów, który bez wahania pomógł uciekinierom przedostać się w głąb Algierii, w bezpieczne, nie ogarnięte jeszcze zamieszkami okolice? Nie, pustyni nie można znienawidzić!

Dzisiaj w swoim przytulnym mieszkanku w Niemczech Viola przygotowała skromny poczęstunek dla Ludwika Brunnera. W pokoiku Helmer odrabiał lekcje. Przyszedł się przywitać z gościem, z promiennym uśmiechem zainkasował tabliczkę czekolady i rad nie rad wrócił do zmagañ z wcale nie najłatwiejszymi zadaniami z algebry.

– Co pan znowu naznosił, drogi doktorze? Naprawdę czuję się zażenowana. Przyzwyczajaliśmy się z Helmerem do jedzenia suchego chleba, a pan próbuje rozpieszczać nas masłem.

– A co będzie, jeżeli Kurt zjawi się tu pewnego dnia i oskarży mnie o głodzenie podopiecznych? – Ludwik uśmiechnął się kładąc na stole karton francuskiego masła, pudełko czekoladek, haftowaną poduszkę i bony na zakupy w dużym domu towarowym. – Dziś mam jeszcze w zanadrzu dwie miłe wiadomości – dodał – pierwsza to zaproszenie do ciotki lizy wraz z serdecznymi pozdrowieniami, a druga to właściwie moja prośba, czy na najbliższy weekend nie „wypożyczyłaby” mi pani Helmera? Muszę lecieć do Genewy i chciałbym zabrać chłopca ze sobą.

– Drogi doktorze, lot przecież sporo kosztuje, nie mogę się zgodzić, żeby pan wydawał pieniądze na Helmera – rzekła nalewając herbatę i częstując się papierosem.

– Powiem otwarcie, pani Violu, potrzebuję Helmera w roli piorunochronu i gotów jestem zapłacić za tę przysługę każde pieniądze – zapewnił i pokrótce opowiedział o kuzynce Józefie i misji, z jaką się do niej wybiera. Zobaczywszy przerażoną minę Ludwika, pani Senholm musiała się uśmiechnąć.

– Doktorze, czyżby pan się bał kuzynki?

– W pewnym sensie tak. Nigdy nie wiadomo, co ta diablica wywinie. Jest urocza, potrafi też być miła, ale w stosunku do mnie jest wyjątkowo nieprzychylnie nastawiona i nie wiadomo, kiedy rzuci się z pazurami. Nie jestem pewien, jak zareaguje tym razem. Jej reakcje są naprawdę trudne do przewidzenia.

– Ostatecznie przebywa już w pensjonacie kilka tygodni, na pewno się zmieniła.

– Obawiam się, że na gorsze, a ja tak nie lubię kobiet wybuchowych i nieobliczalnych, w dodatku źle wychowanych. Od razu denerwują mnie uszczypliwe uwagi i niewyparzony język tej dziewczyny. Czy pani sobie wyobraża, pani Violo, jak ja z nią wytrzymam siedząc codziennie naprzeciwko niej i pytając o zdanie w każdej najdrobniejszej sprawie? Przecież ja zwariuję!

– Nie będzie aż tak źle. My kobiety szybciej potrafimy odgadnąć, czego się od nas oczekuje. Musi pan w to wierzyć, a sprawy ułożą się same. Chciałby pan teraz powiedzieć Helmerowi, jaką niespodziankę mu pan sprawił?

– Chętnie. Poza tym chciałem spytać, czy nie mógłby zwolnić się z lekcji w sobotę do południa, bo wylecielibyśmy wieczornym samolotem już w piątek. Helmer, pozwól do nas na chwilę – zawołał.

Chłopiec, usłyszawszy propozycję, wyskoczył aż pod sufit.

– Z glejtem od mamy mógłbym opuścić gimnastykę, rysunek i historię. Pójdę od razu spytać pana dyrektora, który mieszka tu za rogiem, i zobaczymy, czy się zgodzi.

Nie czekając na pozwolenie, wybiegł na ulicę. Ludwik popatrzył poważnie na Violę i rzekł:

– Od dawna nurtuje mnie pytanie, kto właściwie jest ojcem Helmera. Z początku inne problemy wydawały mi się ważniejsze, później nie chciałem pytać w obecności Helmera, czy nie pogniewa się pani, jeżeli zrobię to dziś? Nie chodzi o zaspokojenie ciekawości, ale polubiłem tego chłopca i sędzę, że mogę spytać o tak ważną sprawę.

Zastanawiała się chwilę. Złożyła ręce na kolanach i ze spokojem spojrzała Ludwikowi w twarz.

– Prawdę mówiąc, oczekiwałam od dawna, że zada pan to pytanie, panie doktorze. Czekałam też, że padnie ono z ust Kurta, ale mieliśmy tyle innych problemów, że uznał to pewnie za mało istotne.

– Zatem Kurt też nie wie, kto jest ojcem Helmera?

– Ani on, ani monsieur Sallier. Nawet urzędnika w ambasadzie udało mi się przekonać, żeby zarejestrował Helmera jako dziecko pozamałżeńskie i nie zadawał pytań o ojca. Chłopiec nosi nazwisko Senholm, a zachowanie tajemnicy jestem po prostu winna jego ojcu.

– Mówi pani o tym człowieku z szacunkiem – domyślam się, nań zasługuje – czemu jednak zostawił panią samą i nie troszczy się o syna?

– Eino Kewnsborg nie żyje. Nie wiedział, że ma syna, ale opowiem panu tę smutną historię od początku, doktorze Brunner, dokładnie tak, jakbym opowiadała Kurtowi Schröderowi, gdyby mnie o to zapytał. Chcę, żeby między nami nie było żadnych tajemnic, gdyż swoim wielkim oddaniem zasłużył sobie na to.

Zwyczajnie, bez zbędnego patosu Viola opowiadała o swoim spotkaniu z Eino Kewnsborgiem.

Mieszkała z rodzicami na północy Szwecji w małym miasteczku gdzie ojciec gospodarował w majątku Ekstatjar, wynajmując do pomocy kilku pracowników. Matka była nauczycielką w miasteczku. Przychodziły do niej dzieci z okolicznych wiosek i dworców. Viola od dziecka towarzyszyła matce podczas lekcji i szybko opanowała wiedzę z zakresu szkoły podstawowej i średniej. Gdy matka zestarzała się i opadła z sił, Viola często zastępowała ją w szkole, ciągle ucząc się, by w końcu w Sztokholmie zdobyć dyplom uniwersytecki. Wróciła jednak do Ekstatjar. Trwała już wojna. Od granicy z Finlandią miasteczko oddzielał gęsty sosnowy las i mokradła, które w czasie krótkiego lata można było przebyć suchą hoga. Do Szwecji dochodziły wieści o udrękach, jakie Finowie cierpieli wskutek wojny, ale o udzieleniu im pomocy nie mogło być mowy, zwłaszcza że granica była niezwykle dokładnie strzeżona. Nie powiodła się tam żadna próba ucieczki na szwedzką stronę.

Tymczasem, pewnej nocy, Viola usłyszała dochodzące zza ogrodzenia drapanie, potem bolesne jęki i nieśmiałe wołanie o pomoc. Bez wahania wzięła lampę naftową i wyszła przed drzwi, nie przeczuwając żadnego niebezpieczeństwa. Któż w Ekstatjar chciałby Senholmom wyrządzić krzywdę?

Na podwórzu, za furtką, leżał jęczący mężczyzna. Viola podeszła i pochyliła się. Nie ulegało wątpliwości, że był to zbieg z Finlandii. Z rozciętego czoła i poranionych rąk obficie



broczyła krew. Zawołała ojca.

Rannego Fina, Eino Kewnsborga właśnie, który prześladowany ze względów politycznych musiał szukać schronienia w neutralnej Szwecji, przeniesiono i ukryto w pomieszczeniach przylegających do domu. Nikt nie powinien dowiedzieć się o uciekinierze.

Wkrótce ozdrowiał. Był to młody, inteligentny i niezwykle przystojny mężczyzna. Za ocalenie życia gotów był odpracować w gospodarstwie. Mówił płynnie po szwedzku, nikt nie podejrzewałby, że jest zbiegiem, więc ojciec Violi zatrudnił go oficjalnie do prac sezonowych, dopóki nie postanowi, co robić dalej. Nie pytano go o nic, sam też o sobie nie mówił, rozmawiano tylko o sprawach bieżących dotyczących gospodarstwa.

Stało się jednak to, co musiało się stać. Ciepłe letnie noce i nie zachodzące słońca sprawiły, że Viola i młody Fin zakochali się w sobie bez pamięci. Postanowili się pobrać, gdy tylko Eino zdobędzie potrzebne dokumenty, aby małżeństwo nie ściągnęło kłopotów na Violię. Pracowali razem, planowali przyszłość i cierpliwie czekali na zakończenie wojny. Mimo to byli szczęśliwi, najszczęśliwsi w tych trudnych niebezpiecznych czasach.

Los jednak potrafi być okrutny. Pewnego dnia Eino wyszedł do lasu, by zbierać drewna na zimę. Po dwóch dniach znaleziono go martwego. Postrzelony w plecy leżał twarzą do ziemi.

Viola nie potrafiła płakać. Wiedziała jedynie, że musi natychmiast wyjechać z Ekstatjar. Była w ciąży. Ani ojciec, ani matka nie stawiali żadnych pytań, pozwolili Violi opuścić rodzinny dom i piękną okolicę, która na zawsze już kojarzyć się jej będzie ze stratą ukochanej osoby.

Helmer urodził się w Sztokholmie. Wkrótce potem zmarła matka i zaraz po niej ojciec. Do Ekstatjar Viola nie miała już po co wracać. Zrzekła się domu i gospodarstwa na rzecz jednego z kuzynów, który przeprowadził się tam z rodziną, a sama wyjechała ze Szwecji. Doradzono jej Paryż, gdzie – podobno – jako nauczycielce języków najłatwiej jej będzie znaleźć pracę. Rzeczywistość okazała się zgoła inna i gdyby nie oświadczyły Salliera w tragicznej dla Violi sytuacji finansowej, oboje z Helmerem przymieraliby głodem. Zgodziła się bez wahania, jednakże konsekwentnie odmawiała Sallierowi zgody na adopcję chłopca. Był przecież synem Eino Kwensborga i nikt obcy nie miał prawa do tytułu ojca Helmera.

– Tak właśnie wyglądała prawda o ojcu mojego syna, drogi doktorze. Pewnie oczekiwał pan jakiejś bulwersującej opowieści, a tymczasem jest to historia jednej upojnej nocy za kręgiem polarnym, w Ekstatjar.

– Dziękuję za to wyznanie, pani Violu. Wiem teraz przynajmniej, co powie Helmer, gdy pewnego dnia dowie się prawdy. Na pewno nie będzie czynił pani wyrzutów. To mądry chłopiec, i bardzo do pani podobny. Sądzę, że do ojca również.

– Myślę, że gdy dorośnie, będzie całkowicie podobny do Eino. Kończmy ten temat, bo, zdaje się, Helmer wraca. Słyszając jego długie susy, domyślam się, że pan dyrektor szkoły okazał się wyrozumiałym pedagogiem.

Nie pomyliła się. Chłopiec rozgorączkowany z emocji ledwo łapał oddech.

– Załatwiłem, mamu! Musisz tylko napisać list do dyrektora. Uff. ale się zmachałem. Tak się cieszę, panie doktorze, że chce mnie pan zabrać z sobą. Jest pan tak samo miły jak Kurt,

ale – proszę się nie gniewać – najlepszym człowiekiem na świecie jest Kurt.

– Masz absolutną rację, chłopcze. Dla ciebie i mamy Kurt jest najważniejszym człowiekiem i nigdy nie zapominaj, co dla was zrobił, bo bardzo was oboje kocha – Ludwik mówił poważnym tonem, a gdy skończył, w pokoju zaległa cisza. Syn i matka popatrzyli na siebie wzruszeni.

– Zatem, Helmerze – odezwał się Ludwik – nie bierz żadnego bagażu, prócz szczoteczki do zębów i bielizny na zmianę. W niedzielę wieczorem będziesz z powrotem u mamusi.

– Tę szczoteczkę też mógłbym sobie darować – roześmiał się, żartując. – Mamo, nie będziesz się nudzić, gdy zostaniesz sama?

– Skądże! Znajdę sobie jakieś zajęcie. Przejrzę, na przykład, twoje zeszyty. Co ty na to? O mnie możesz być spokojny.

– Jak wiedzie się w pracy, pani Violu? Wszystko w porządku?

– W najlepszym. Koleżanki początkowo patrzyły trochę podejrzliwie na to, co robię, ale już nabrały zaufania. Pewnie myślały, że jestem awanturką włóczącą się po świecie albo że jestem... – spojrzała na Ludwika – pan wie, co chciałam powiedzieć?

– Stara ciotka Ilza miała to samo na myśli, ale zmieniła zdanie, i cieszę się, że zaprosiła panią i Helmera do siebie.

Viola uśmiechnęła się i pokierowała rozmowę – jak zwykle – na temat Kurta, Algierii i tajemniczych zajęć Kurta. Ludwik uśmiechnął się.

– Być może pewnego dnia dowiem się, co też dzieje się pod tą jego blond czupryną. Próbowałem nieraz, ale zawsze bezskutecznie. Rozstaliśmy się w Bizercie, gdy zwolniono nas z brytyjskiej niewoli. Nie przypuszczałem, że zostanie w Afryce, a on uśmiechnął się tylko, gdy spytałem dlaczego, i zniknął za stertą pustych beczek po smole. Po latach spotkałem go w Marsylii. Zanim zdążył się ze mną porządnie przywitać, wcisnął mi do ręki plik banknotów mówiąc, że to zwrot pożyczki, którą przesłałem mu na konto niejakiego bankiera Trettiera. Raz wiedzie mu się lepiej, raz gorzej, ale nigdy nie usłyszałem z jego ust czegoś, co można by nazwać skargą.

– Ja też znam go właśnie takiego.

– Pół roku temu, gdy spotkałem was w Biskrze, Kurt był nie do poznania: roztrzęsiony i pełen strachu, ale to był strach o panią i Helmera, nie o siebie bynajmniej. Nie mogłem mu odmówić pomocy. Jest w nim coś, co każdego zniewala.

Znienawidzone przez Józefę lekcje układały się monotonna jak sznur koralu, jedna po drugiej, dopiero w sobotę i niedzielę mogła sobie pogadać swobodnie, bez przestrzegania sztywnych konwenansów. Nie przychodziło jej to łatwo. Próbowano zmienić jej naturę, chciano zrobić z niej damę.

Trudno, niech im będzie, niech się wszyscy cieszą, a ten zarozumiały kuzyn Ludwik osłupieje ze zdziwienia, gdy zobaczy, jaka potrafi być miła. Będzie mu na pewno głupio. Stracił w jej oczach wszystko po tym, jak przywiózł sobie kochankę z Biskry, czy Bóg wie skąd, w dodatku z dzieckiem! Zresztą jego sprawa, niech robi, co chce. Testament jest faktem, który ją obchodzi, inne rzeczy się nie liczą. Szkoda, że nie poznała ojca za życia, pewnie by go polubiła, a ichyba on ją. Wolałaby to niż cały ten bzdurny spadek, z którym są tylko

kłopoty.

Coś dobrego jednak z niego wynikło. Miała nowe suknie, dopasowane do nich zgrabne buciki i nie musiała punktualnie o ósmej stawać przy tej idiotycznej prasowalnicy, dzień w dzień, pogoda czy deszcz. Za to koleżanki były tam sympatyczniejsze niż te wyfiokowane damulki, którym tylko głupstwa w głowie, a do pracy biorą się jedynie, gdy mają na to chęć. Głupie gęsi! Skoro mają bogatych tatusiów, to myślą sobie, że im wszystko wolno. Jedna taka, córka jakiegoś fabrykanta z Nadrenii, natrzęsała się z Józefy, gdy na początku pomieszały jej się słówka angielskie z francuskimi; przy tej okazji nauczyła się paru dosadnych niemieckich powiedzeń i pewnie całą noc nie mogła spać usłyszawszy, że fabryki jej tatusia to przysłowiowe Jcocie gównu w porównaniu z firmą Schottlera, której połowa należy do pyskatej koleżanki z pensjonatu.

Ulżyło Józefie, ale po chwili naszała ją refleksja, że oddałaby całego Schottlera, gdyby tylko mogła mieć, tak jak tamta, tatusia i mamusię, choćby bez grosza w kieszeni.

Sobotnie popołudnia nie należały do najprzyjemniejszych, oczekiwanych z wytęsknieniem chwil. Pod pensjonat zajeżdżały eleganckie samochody, a rodzice zabierali swoje oddechane panienki na wycieczki po okolicy albo do mieszkających w okolicy krewnych, znajomych. Trudno byłoby oczekiwać, że ukochana ciotunia Ilza będzie przyjeżdżać co tydzień do Genewy, a oprócz niej Józefa nie miała nikogo, komu z radością zarzuciłaby ramiona na szyję.

– Trudno, nie można mieć wszystkiego – pocieszała się, gdy nadeszła kolejna sobota, a koleżanki rozjechały się już po okolicy.

Dziś jednak pokojówka zapukała do drzwi i oznajmiła, że do panny Hannemann przyjechali goście.

– Do mnie, Betty? Chyba się pani pomyliła. Kto niby przyjechał?

– Starszy pan z chłopcem.

– To nie do mnie. Nie znam nikogo takiego. Czy madame wie o tej wizycie?

– Oczywiście. Goście najpierw zgłaszają się do pani Sosbell.

– I ona zgodziła się na wizytę nieznanym. Matko święta, przecież starszy pan może być moim wujkiem! Szybko, Betty, niech pani pomoże mi się przebrać. Tę białą suknię w lila paski, proszę, i białe buciki, o, tam stoją. Wyglądam jakoś? A fryzura? Złamałam dziś rano igłę, wiedziałam, że coś się stanie. Boże, żeby tylko dobre wiadomości.

Przebrana, wytarła w pośpiechu twarz mokrym ręcznikiem:

– Gdzie są ci goście? – spytała.

– W letnim saloniku.

– Betty, z tym chłopcem musiała pani coś pokręcić. Pokojówka zaklinała się na wszystkie świętości. Wyjęła z szuflady czystą chusteczkę i podając Józefie obejrzała ją dokładnie ze wszystkich stron, poprawiając to tu, to tam sukienkę. Dziewczyna wyglądała w niej uroczo. To już nie była ta sama zalękniona, trochę dzika panienka sprzed kilku miesięcy. Potrafiła pięknie się poruszać, podobać się, zwrócić na siebie uwagę.

Niemal sfrunęła po schodach. Wreszcie ktoś do niej przyjechał! Może ktoś ze znajomych ciotki lizy przywiózł pozdrowienia od niej? Wszystko jedno. Liczy się gość!

Weszła do salonu spokojnie, tak jak ją uczono. Salonik rzeczywiście był niewielki, tyle że przylegał do dużego tarasu, z którego rozciągał się przepiękny widok na leżące w dole jezioro Leman. Podczas świąt uczennice i nauczycielki przychodziły tu na podwieczorek. Tutaj też tańczono, słuchano muzyki i podziwiano cudowne widoki.

Słońce świeciło prosto w drzwi i w pierwszej chwili Józefa rozróżniła tylko dwie sylwetki: siedzącego przy oknie szczupłego mężczyznę i stojącego obok chłopca. Hm, mężczyzna wydał jej się znajomy, ale chłopiec? Betty mówiła o starszym panu, ten zaś nie wyglądał na staruszkę.

Józefa chrząknęła, jak ją nauczono, gdy chciała zwrócić uwagę gości, którzy nie zauważyli, że już weszła. Obaj mężczyźni odwrócili się jak na komendę.

– Wielkie nieba! Kuzyn Ludwik... Ja chyba zwariuję – przerażona zakryła oburącz usta i z zakłopotaniem patrzyła na Ludwika, który wstał i zmierzał w jej stronę.

Był chyba równie zdziwiony jak ona. W pierwszym momencie był pewien, że się pomylił, ale już po pierwszym zdaniu wypowiedzianym przez śliczną dziewczynę nie miał wątpliwości, że rozmawia z Józefą Hannemann.

– Mam nadzieję, Józefo, że nie przeszkadzamy. Najpierw chciałem przekazać ci serdeczne pozdrowienia od ciotki lizy – wyjąkał.

– Dziękuję pięknie – rzekła podając mu rękę i szykując się do' przepisowego dygnięcia, ale zatrzymała się w pół ruchu.

– Skąd ten zaszczyt, że zdecydował się pan mnie odwiedzić, drogi kuzynie? – spytała pełnym zdaniem.

– Po pierwsze chciałem się spotkać z tobą, po drugie – przekazać pozdrowienia od ciotki lizy, po trzecie – przedstawić ci mojego młodego przyjaciela, Helmera Senholma, którego poznałem w Biskrze. a który wraz z matką mieszka teraz w naszym mieście. Pani Senholm pracuje w firmie Schottlera w dziale zagranicznym.

– A więc to on! W końcu to nie jego wina – mruknęła niezrozumiale pod nosem, a głośno rzekła:

– Cieszę się, Helmerze, że zechciałeś mnie odwiedzić. Chłopiec uklonił się głęboko, gdy podała mu rękę i spytała:

– Podoba ci się w Niemczech?

– Dziękuję. Podoba mi się bardziej niż w Algierii, chociaż tu w Genewie też jest pięknie.

Ludwik czuł się intruzem, gdy młodzież szybko znalazła wspólny język i nikt nie zwracał na niego uwagi. Co ta smarkula sobie wyobraża? Traktuje go jak powietrze, a on przybył tu z ważną misją. Poczekaj, aż ona skończy wymieniać po kolei nazwy szczytów widocznych z tarasu. Musiał przyznać, że szło jej znakomicie. Mówiła po francusku bez obcego akcentu, co znaczyło, że pieniądze na pensjonat nie zostały rzucone w błoto.

Ludwik zmarszczył brwi. Ci, którzy lepiej go znali niż Józefa, wiedzieli, że zaraz przystąpi do ataku. Odwróciła się przez ramię i patrząc mu chłodno w oczy spytała:

– Czy mogę zamówić dla Helmera i pana po filiżance herbaty, kuzynie?

– Nie odmówię, zwłaszcza że mamy do omówienia ważne sprawy i przy stole byłoby nam wygodniej.

Och! Ale rozmowa! Zupełnie jak z podręcznika pani Sosbell. Józefa nacisnęła dzwonek, a gdy po chwili zjawiała się pokojówka, rzekła:

– Betty, chciałabym prosić o herbatę i jakieś ciasteczka. Ponieważ z kuzynem musimy porozmawiać o sprawach zawodowych, chciałabym, żeby nam nie przeszkadzano.

Pokojówkaomal nie parsknęła śmiechem. Pracowała w pensjonacie od lat i widziała już niejedno. Przyniosła po chwili herbatę i spytała, czy może nalać.

Józefa popatrzyła wyniośle, kiwnęła ręką i rzekła, jak ją nauczono:

– Dziękuję Betty. Zrobię to sama.

Ludwik patrzył z politowaniem, a w pewnym sensie z podziwem, jak ta zielonooka piękność stara się za wszelką cenę pokazać, czego nauczono ją w ciągu kilku miesięcy pobytu w pensjonacie.

Usługiwała im przy stole z gracją, chociaż w stosunku do Helmera była naturalna i bardziej uprzejma.

– Helmerze, tego torcika musisz spróbować. Jest z kremem orzechowym, mówię ci, pyszny! Zjadłabym nawet dziesięć kawałków. Och kuzynie, a panu co mogę podać?

– Mógłbym także dostać torcik z kremem orzechowym?

– Trudno, zabraknie dla mnie. Proszę, mam nadzieję, że będzie smakować – wyraźnie ociągając się położyła ciastko przed Ludwikiem. – Do kawy chce pan cukru czy śmietanki?

– Jedno i drugie, jeśli wolno.

– A ty Helmerze? Człowieku, mówię ci, te baby tutaj szlag trafia, gdy muszą patrzeć, jak wrzucam do kawy pięć kostek cukru. Żadna słowa nie piśnie; niechby tylko spróbowała!

Zapadła cisza. Józefa udawała, że zajada się francuskimi ciastkami, chociaż wcale za nimi nie przepadała. Czekwała w napięciu, co też stanie się dalej. Tymczasem torcik orzechowy uzyskał najwyższą notę u Helmera – celujący!

W głębi serca Ludwik dziękował sam sobie, że wpadł na dobry pomysł i zabrał małego Szweda. Bez niego sytuacja byłaby jeszcze gorsza.

Sięgnął po aktówkę i, zrobiwszy na okrągłym stole trochę miejsce, rozłożył na nim jakieś dokumenty.

– To jest, Józefo, właściwy powód mojej wizyty. Na pewno dostałaś list od twojego opiekuna, w którym...

– Z którego nie zrozumiałam ani słowa – przerwała mu. – Pisał, że przyjedzie do mnie ktoś od Schottlera, ale po licha, sama nie wiem. A co to za papierzyska?

Zdenerwowany Ludwik zapalił papierosa i rozglądał się za popielniczką.

Józefa podniosła się powoli, podeszła do starego kredensu i stojąc tyłem spytała głośno i wyraźnie:

– A spytał pan już, czy pozwalam zapalić w mojej obecności? Może nie dosłyszałam?

Dopadła go wreszcie! Nauka ciotki lizy nie poszła jak widać w las, a kochany kuzynek musi mieć teraz nietęgą minę.

Na szczęście Helmer zdążył wyrwać się od stołu i stał przy balustradzie tarasu, podziwiając urocze widoki.

Ludwik czekał, aż Józefa odwróci się. Co powinien zrobić? Zrugać ją? W końcu smarkuła

winna mu choć trochę szacunku, ale nie! Nie da jej okazji do szermierki na słowa. Zaskoczy ją. Wstał, przeprosił, że jest zbyt pochłonięty sprawami zawodowymi, i poprosił o pozwolenie na zapalenie papierosa. Ukłoniła się niczym królowa, uśmiechnęła się i spytała:

– Czym teraz mnie pan zaskoczy, kuzynie?

– Szybkie pytanie – trudna odpowiedź. Szkoda, że nie przeczytałaś uważnie pisma od pana notariusza. Następnym razem korespondencję dotyczącą zakładu czytaj dokładnie, gdyż groteskowy sposób zarządzania naszą fabryką będzie wciąż sprawiał wszystkim kłopoty.

– Groteskowy, powiada pan? To niby z mojego powodu. Mój drogi kuzynie, te słowa mógł pan sobie darować.

Ludwik patrzył lekceważąco, pewien swego. Trochę się zdenerwowała, ale to dobrze, bo przynajmniej zacznie myśleć poważnie.

– Decyzji mojego ojca nie powinien pan nazywać groteskową, kuzynie – dodała.

– Cokolwiek by powiedzieć, mamy pecha, że nie rozumiemy się nazwajem, ponieważ ja myślę...

– Guzik mnie obchodzi, co pan myśli. Ja w każdym razie potrafię zrozumieć wszystko, jeśli ktoś wyraża się jasno. Decyzja mojego ojca jest jasna i, czy się to panu podoba, czy nie, oboje musimy się jej podporządkować.

Coś podobnego! Ta mała potrafi mówić rzeczowo, a nawet przekonująco.

Ludwik uśmiechnął się nieco ironicznie.

– Czy w tej szkole nie uczą przypadkiem, że czasami można być dla kogoś uprzejmym?

– Uprzejmości nie można nauczyć. Z nią trzeba się po prostu urodzić – powtórzyła mechanicznie zasłyszany gdzieś slogan.

– No dobrze, wróćmy zatem do sedna sprawy. Chodzi mianowicie o... – zaczął w miarę jasno i przejrzyście tłumaczyć powód swojego przyjazdu do Genewy. Podpis Józefy na dokumentach okazał się niezbędny. W dodatku muszą podpisać jeszcze dwaj świadkowie, by można było rozpocząć rozbudowę fabryki i uruchomić nowe wydziały produkcyjne. – To tyle – dodał. – Mam nadzieję, że wszystko zrozumiałaś i wiesz, o co mi chodzi.

Na jej ślicznej twarzy pojawił się wyraz zamyślenia. Zacisnęła chusteczkę w dłoni.

– Zrozumiałam. A jeśli nie, to co?

– Co jeśli nie?

– Jeśli nie podpiszę?

Rany boskie! Ta dziewczyna jest niemożliwa. Same kłopoty. Ludwik zdenerwowany wzruszył ramionami.

– Zmniejszy się zysk, akcje fabryki spadną na łeb na szyję i trzeba będzie zwolnić większość robotników.

– O nie! Zwolnieniom trzeba zapobiec. Podpiszę te dokumenty i skończmy już z tą całą sprawą – odpowiedziała impulsywnie.

– Mówiłem ci już, że muszą podpisać także dwaj świadkowie.

– Nic, tylko same kłopoty przez tę fabrykę. Skąd ja mam wziąć tych świadków? Madame nie ma w domu, a uczennice są za głupie, by brać je na świadków w tak poważnej sprawie.

– Ponadto, o ile wiem, nie są pełnoletnie.

– Blabla! – zezłościła się. – Ja też nie jestem, a muszę zajmować się poważnymi sprawami.

– Owszem, i właśnie dlatego potrzebni są świadkowie, a ponadto wymaga tego zapis w testamencie – rzekł wyraźnie zniecierpliwiony.

– W takim razie zawołam Betty i starego Huberta.

– Betty to pokojówka, a Hubert?

– Ogrodnik. Prezydenta Konfederacji Szwajcarskiej akurat nie mam pod ręką – Józefa cisnęła mocno zdenerwowana. Lekko ironiczny uśmiech na ustach Ludwika zepsuł jej humor do reszty.

– Szkoda, byłbym przywiózł prezydenta Republiki Federalnej. Pozostaje zatem poprosić twoich świadków. Chciałbym czym prędzej uwolnić cię od naszego towarzystwa.

– Helmer może zostać, bo go lubię.

– Aha! Mnie masz po prostu dosyć.

Lekko błada spojrzała na Ludwika poważnym wzrokiem. Wzruszyła ramionami i rzekła spokojnie.

– Matka zawsze mówiła, że krewni potrafią dokuczyć gorzej niż uprzykrzona mucha.

– Przyjemnie mi to słyszeć, kuzyneczko – z trudem powstrzymał śmiech. Wstał i podszedł do Helmera stojącego przy balustradzie, a ona z prawdziwą przyjemnością pokazała mu język, choć był już odwrócony plecami. Przynajmniej w ten sposób rozładowała złość.

Później wszystko odbyło się zgodnie z planem. Ludwik objaśnił obojgu służącym, o co chodzi. Złożyli swoje podpisy, a po nich Józefa z poważną miną zasiadła przy stole i złożyła zamaszty, starannie wyćwiczony autograf. Odetchnęła z ulgą, jak po ciężkiej pracy, podziękowała Betty i Hubertowi, którzy w pośpiechu opuszczali salon, nieco przerażeni sytuacją, w jakiej znaleźli się pierwszy raz w życiu.

– To chyba wszystko? – popatrzyła na Ludwika. – Ma pan jeszcze jakieś życzenie?

– Sądzę, że wszystko załatwiliśmy. Czy mam pozdrowić od ciebie ciotkę lizę?

– To chyba oczywiste. Proszę ucałować ją ode mnie i powiedzieć, że już nie mogę doczekać się wakacji, gdy będę mogła widywać ją codziennie. Czy Helmer będzie także w domu?

– Na pewno. W dodatku mieszka całkiem niedaleko ciotki lizy.

– Wspaniale! Proszę mi opowiedzieć o jego matce.

– Helmera? Och, to wspaniała, niezwykle miła i sympatyczna pani. Jasnowłosa i bardzo piękna.

– Ach tak! Przedtem mieszkała w Algierze? Czemu stamtąd wyjechała?

– Żeby wyjaśnić ci to szczegółowo, potrzebowałbym więcej czasu. Powiem tylko, że pani Senholm i Helmer przeżyli tam koszmarnie dni z powodu rozruchów i naprawdę potrzebują spokoju, jaki udało mi się zapewnić im w Niemczech.

– Ciotka pisała, że ta pani jest Szwedką.

– Prawda. I Helmer też. Chodź tu, chłopcze – zawołał. – Pożegnaj się z Józefą, bo musimy już iść.

Pożegnali się jak starzy przyjaciele. Rozmawiali swobodnie o planach na wakacje. Józefa

kazała także pozdrowić matkę, choć prawdę mówiąc, słowa te z trudem przeszły jej przez usta.

Z kuzynem zaś pożegnała się krótko i prawie niegrzecznie.

– Mam nadzieję, że nieprędko zjawi się pan z podobnym kramem, jak dzisiaj.

– Czy mam rozumieć, że wizyta z innych powodów sprawiłaby ci radość?

– Nie, chyba nie. Nie lubię się denerwować i to już od dawna, gdy jeszcze pracowałam w pralni.

– Oczywiście, postaram się nie przysparzać ci powodów do zdenerwowania. Zobaczmy się znowu u ciotki lizy.

– Jakoś to przeżyję. – Podała mu rękę, ukłoniła się i objęła przez ramię Helmera, odprowadzając gości aż do bramy parkowej, przy której czekała taksówka zamówiona przez Ludwika w Genewie.

– Trzymaj się Helmerze! Życzę ci przyjemnego lotu i nie zapomnij pozdrowić mojej ciotki lizy.

– Na pewno pozdrowię. Do widzenia, Józefo. Podobasz mi się. wiesz?

– Ty mnie również.

Pomachała im obu, gdy już odjeżdżali. Ostatecznie na dystans mogła być uprzejma nawet dla kuzyna. Ludwik nie potrafił oderwać od niej oczu. Z uniesionymi rękoma wyglądała uroczo.

W niedzielę obaj z Helmerem wybrali się na przejażdżkę po Jeziorze Genewskim, a wieczorem wsiedli do samolotu, który wylądował około północy na lotnisku, skąd do domu mieli już niedaleko.



## VII

Kurt Schroder po pożegnaniu z Violą i przyjacielem wcale nie poczuł się spokojniejszy. Dla niego kłopoty się nie skończyły, wręcz przeciwnie – wszystko wskazywało, że jeszcze ich przybędzie. Całe szczęście, że nie będzie musiał dodatkowo troszczyć się o Violę i chłopca. Otrząsnął się, ' zapalił papierosa i z wysoko podniesioną głową poszedł przed siebie, zastanawiając się, co robić dalej.

Wziął od Ludwika trochę pieniędzy, ale przecież zwróci mu co do feniga, tylko najpierw musi odszukać tego łobuza Trettiera, który z jego dolarami, frankami szwajcarskimi i inną walutą zaszył się gdzieś w Tunezji.

A zatem decyzja mogła być tylko jedna: kierunek Bizerta!

Pięknie, tylko jak tam dotrzeć? Nie ulegało wątpliwości, że opętani żądzą zemsty ludzie, którym wykradł żonę i syna znenawidzonego monsieur Salliera, nie zrezygnują tak łatwo. W ich oczach dopuścił się kradzieży i musi ponieść karę. Rozpuścili już na pewno szpiegów i słynnym „arabskim telefonem” uprzedzili swoich popleczników w całym kraju. Kurt nie mógł tak po prostu pójść do agencji lotniczej i wykupić bilet do Bizerty. Za kilka dni do Biskry dotrą ludzie, którzy go poszukują.

Pozostała mu tylko jedna możliwość: uciec z karawaną organizowaną przez zaprzyjaźnionego starego Mustafę, i to nie idącą głównym szlakiem do ElOuedu i Tozeur w Tunezji, ale trudną i mało uczęszczaną trasą przez Ferkane do Gafsy. Warunki pustynne wcale go nie przerażały, wręcz przeciwnie – cieszył się na spotkanie z ukochaną Saharą.

Do hotelu raczej nie powinien już wracać, gdyż każdy z napotkanych tam dawnych znajomych może mu znenacka wsadzić coś ostrego między żebra, a on, teraz gdy ma rodzinę i musi się o nią troszczyć, bynajmniej nie zamierza rozstać się z tym światem.

W arabskiej części miasta, wśród krętych uliczek, odszukał dom starego Mustafy, prawdziwego syna pustyni, którego nic nie było w stanie zdziwić, wyprowadzić z równowagi ani zaskoczyć czy też zdenerwować.

Z poważną miną starego proroka Mustafa słuchał opowieści Kurta, kiwając ze zrozumieniem głową owiniętą w turban. Nie po raz pierwszy przyszło mu ratować z opresji porywczego Niemca, więc jak zwykle – nie stawiając żadnych warunków – rzucił mu bez słowa nieco wytarty i niezbyt czysty burnus, szesz na turban i bufiaste, plisowane spodnie.

Następnego ranka przed świtem karawana wioząca nie żadne kosztowności, ale zwykłe produkty żywnościowe dla mieszkańców oaz zapomnianych przez samego Allacha, wyruszyła z Biskry na wschód. Dwanaście wielbłądów prowadziło czterech beduinów i Kurt, który nauczył się poganiania i dosiadanania tych niezwykle wytrzymałych zwierząt, i wcale nie różnił się od pozostałych poganiaczy.

Po kilku dniach dotarli do Ferkane, gdzie Kurt pożegnał serdecznie wiernego Mustafę i pieszo ruszył w stronę niedalekiej tunezyjskiej granicy, z węzełkiem kilku najpotrzebniejszych rzeczy w ręku.

W tych niegościnnych okolicach można było się nie spodziewać żadnej straży, ani

francuskiej ani tunezyjskiej. Ponadto Kurt mówił miejscowym, berberyjskim narzeczem, kłamał jak z nut, lepiej niż rodowity Arab i, prawdę mówiąc, w przebraniu wcale się od tubylców nie różnił.

W Mides, już po tunezyjskiej stronie granicy, szczęśliwie udało mu się złapać ciężarówkę, którą zabrał się do Gafsy. To pustynne miasto w niczym nie przypominało Paryża ani nawet Biskry czy choćby ElOuedu i Kurt czuł się tu wreszcie bezpieczny. Z prawdziwą ulgą zrzucił z siebie poplamiony burnus i szczelnie okrywający jego blond głowę popielaty szesz. Rozpakował z zakurzonego zawiniątka lekkie ubranie w kolorze safari i po kąpieli w tureckiej łaźni publicznej wyszedł odmieniony nie do poznania. Dziwnie wyglądał z opalonym tylko do połowy czołem, kilkudniowym zarostem i nie obcinanymi paznokciami u rąk ale w tłumie gafsańczyków nie zwracał niczyjej uwagi.

Wraz z innymi wsiadł do rozklekotanego pociągu z Gafsy do Sfaxu, by po kilku przesiadkach w Susse i Tunisie dopiero po tygodniu dotrzeć do leżącej daleko na północy Bizerty.

Stary drań Trettier na widok całego i zdrowego drania Kurta Schrósera omal nie popłakał się z radości.

Na powitanie Kurt poklepał poufale obwisły brzuch grubasa, wyciągnął zza pazuchy brandy i oparłszy się o biurko w prywatnym gabinecie znanego wszystkim łobuzom bankiera, spytał:

– Co słyhać?

– O sporo! Ale niewiele dobrego, za to same kłopoty i niebezpieczeństwa.

– Dla mnie? Mam je gdzieś! Najważniejsze, że Viola i chłopiec są już bezpieczni w Paryżu, a może nawet w Niemczech.

– To dobra nowina, ale ostrożność i jeszcze raz ostrożność! Nawet w Niemczech ta kobieta musi bardzo uważać. Słyszałem, że w Biskrze już wiedzą, że przekazałeś żonę Salliera jakiemuś Niemcowi i szaleją ze złości, że wystrychnąłeś ich na dudka.

– Dlaczego zawzięli się na Violę Sallier i chłopca? Przecież ci dwoje nie zrobili nic złego.

– Podejrzewają, że madame wie, kto napadł na jej dom, i chcą ją zmusić do milczenia. Boją się, że władze francuskie wkrótce zdławią rozruchy, a więc czasu na dokonanie zemsty rebelianci mają niewiele. Dlatego spieszą się i postawili na nogi wszystkich swoich zwolenników. Na pewno słyszałeś, a jeżeli nie, to ci powiem, że ci szaleńcy wzmogli w ostatnich dniach ataki terrorystyczne nie tylko we Francji, ale także w Niemczech i Holandii. Boją się, że madame nie jest jeszcze całkiem bezpieczna. Co tu można zrobić, przyjacielu?

Kurt kiwał się na biurku i ze zdenerwowania gniótł w palcach nie zapalonego papierosa. Mimo opalenizny widać było, że jest śmiertelnie blady i przerażony. On, który nie wiedział co to strach i gotów był stawić czoła każdemu niebezpieczeństwu, drżał teraz jak liść osiki, bojąc się o życie ukochanej osoby, której ze względu na dzielącą ich odległość nie mógł w żaden sposób pomóc. Zrozpaczony spojrzął na Trettiera:

– Co radzisz, przyjacielu?

– Przede wszystkim trzeba ostrzec madame, że musi być ostrożna.

– Ale jak to zrobić?

Gestem, jakby ofiarował Kurtowi królestwo, wskazał na staromodny aparat telefoniczny.

– Wystarczy zadzwonić.

– Człowieku, co ty pleciesz? Można tak po prostu zadzwonić do Niemiec?

– Tunezja jest wolnym krajem, a my Tunezyjczycy lubimy Niemców i cieszymy się, że chcą z nami handlować.

– Pardon, nie wiedziałem, że twoje serce bije już po tunezyjsku. Pod tym względem to chyba mnie pobiłeś, stary łajdaku – poklepał go po ramieniu Kurt.

Naradzili się krótko, co powiedzieć przez telefon i do kogo zadzwonić. O tej porze najprościej będzie zastać Ludwika w jego biurze.

– Rozmowa będzie trochę kosztować, stary, ale sądzę, że na moim koncie zostawiłeś mi jeszcze co nieco?

– O to możesz być spokojny. Interesy idą całkiem niezłe, a skoro już o tym wspomniałeś, musisz czym prędzej ruszyć do południowego^ Maroka, a ściślej mówiąc do Rio de Oro.

– O tym potem. Teraz załatwimy ten telefon do Niemiec. Kurt nie mógł uwierzyć, że na jego oczach rzeczywistość zamieniła się w bajkę. Po kilku minutach w aparacie zgłosiła się po niemiecku „centrala w zakładach Schottlera! Poprosił o połączenie z Ludwikiem. Był tak zdenerwowany, że usłyszawszy głos przyjaciela przedstawił się tylko i zaczął bełkotać coś niezrozumiale.

– Kurt, uspokój się i mów po niemiecku – przerwał mu Ludwik.

– Słyszysz mnie wyraźnie, Ludwiku?

– Słyszę. Mów, czego potrzebujesz.

– To ważne. Viola musi być bardzo ostrożna. Nie wolno jej samej nigdzie wychodzić, zwłaszcza wieczorem. Chłopcu także.

– Masz jakiś konkretny dowód na to, że grozi im niebezpieczeństwo?

– Jestem w Bizercie u Trettiera, który słyszał coś na ten temat aż tutaj. Błagam cię, uważaj na Violę. Nigdy ci tego nie zapomnę.

– Uspokój się, stary. Znowu widzisz duchy w biały dzień. Obiecuję ci, że zrobię dla Violi wszystko, co jest konieczne dla jej bezpieczeństwa.

pracuje u mnie w fabryce, chłopiec chodzi do szkoły i oboje mają się dobrze. Pisałem ci o tym w liście. Nie dostałeś go?

– Trettier chyba dostał, ale ja dopiero co tu dotarłem po trwającej kilka tygodni wędrówce przez pustynię. Ja też muszę być ostrożny, rozumiesz? Posyłaj listy na adres Trettiera, pozdrów Violę. Dziękuję ci, stary, to wszystko.

Odłożył słuchawkę i patrzył na staromodne cudo, jakby wciąż nie mógł uwierzyć, że rozmawiał z Ludwikiem. Nagle wybuchnął nieopanowanym śmiechem. Rzucił się na oniemiałego Francuza i okładał go z radości po wydatnym brzuszysku, aż nieszczęśnik zajęczał z bólu.

– Co robisz, wariacie? Chcesz mnie wyprawić na tamten świat? – Trettier usunął się, zręcznie lawirując między meblami, i stanawszy za biurkiem, wyciągnął plik listów – Przeczytaj je i na nich wyładuj swoją radość, głuptasie.

Wieczorem spotkali się w willi Trettiera, pięknie położonej nad samym morzem, i

rozmawiali o tym, co razem zrobili i co jeszcze mogą zrobić.

Poznali się przed laty, gdy Kurt dostał się do brytyjskiej niewoli w ostatnim roku wojny. Zaprzyjaźnili się od razu, a potem byli dla siebie współnikami w interesach, kumplami w zabawie, kompanami, towarzyszami doli i niedoli.

Francuz miał głowę na karku i niezwyklego nosa do interesów. Był typowym domatorem, podczas gdy Kurt nie potrafił usiedzieć w jednym miejscu nawet tygodnia. Razem tworzyli więc całkiem udany duet. Niezależni od nikogo, razem ryzykowali; raz przegrywali, raz zdobywali ogromny majątek, który potem nagle topniał do zera i trzeba było zaczynać wszystko od nowa. Handlowali czym się dało, jednak rzadko kiedy ryzykując przemyt. Zdobywali szybko informacje, gdzie któregoś towaru zabrakło. Wiedzieli, gdzie było go w nadmiarze, więc nic łatwiejszego jak zorganizowanie przerzutu i zgarnięcie zysku. Trzeba pamiętać, że w zniszczonej wojną Europie nie było prawie niczego.

Działali wspólnie i wzajemnie pilnowali się, by nie popaść w kolizję z prawem. I udawało się. Nikt naprawdę nie wiedział, kim są, z kim prowadzą udane interesy, a kto ich oszukuje. Jedynie ich konta bankowe powiedziałyby całą prawdę, gdyby ktoś miał do nich dostęp.

Trettier nie lubił ruszać się z miejsca, Kurt zaś chętnie wziął na siebie rolę komiwojażera. Pokochał północną Afrykę. Zjeździł ją wzdłuż i wszerz, w każdym zakątku znał kogoś; nawet w najodleglejszej oazie mógł liczyć, że spotka się z kimś, kto go zna, choć nikomu o sobie nie mówił, zachowując jak najdalej idącą anonimowość.

Obaj z Trettierem trzymali się z daleka od polityki. Raz tylko otarli się o nią bliżej, gdy wmieszali się w sprawę Salliera, ale szybko uporali się z zapewnieniem jego żonie bezpieczeństwa i więcej nic o polityce słyszeć nie chcieli.

– Mówiąc zupełnie poważnie, Trettier, jestem już na tyle stary, by wreszcie pomyśleć o nieco spokojniejszym trybie życia. Jakiś własny pokoik, kuchnia, łazienka, żona, rodzina... Przecież nie będę o lasce i z siwą brodą błąkać się po pustyni.

– Chcesz zawinąć do zacisznej przystani, stary draniu, a interesy?

– Przyłóż rękę do serca, jeżeli je wymacasz pod jedwabną koszulą i warstwą tłuszczu, grubasie, przyznaj szczerze, że zgarnęliśmy już dość szmalu, żeby wreszcie urządzić się wygodnie. Mógłbyś otworzyć porządny bank, a ja tuż obok jakieś biuro handlowe, powiedzmy w Tangerze lub innym równie ciekawym miejscu. Do powrotu do Niemiec jeszcze nie dojrzałem. Podlewanie kwiatków na balkonie, wieczorem partyjka skata, raz w tygodniu z żoną do kina i ślęczenie przed pudłem telewizora... brr! To nie dla mnie. Sądzę, że Violi Senholm (tak się ona teraz nazywa) też by to nie odpowiadało. Jestem głęboko przekonany, że ona mnie rozumie i pójdzie za mną wszędzie.

– Jeżeli ta kobieta, niestety nie znam jej osobiście, jest na tyle szalona, że zakochała się w tobie, to wcale się nie zdziwię, gdy zacznie się włóczyć tam gdzie ty. Ale mogę się mylić, bo kobiety przeważnie lubią mieć dom i miejsce, do którego mogą wracać. Włóczegostwo, twoje od lat ulubione zajęcie, na pewno nie będzie odpowiadać żadnej.

– Chyba masz rację. Rozejrzę się za jakąś rezydencją. Co sądzisz o południowej Francji? Miałbym blisko do mojej ukochanej pustyni.

Pewnego dnia, gdy zostaniemy już prawdziwymi przedsiębiorcami, możemy nawiązać współpracę z poważnymi firmami, jak choćby z Schottlerem, która w połowie należy do mojego przyjaciela Ludwika Brunnera. Wyobrażasz sobie nas obu w roli biznesmenów? Musimy o tym pomyśleć, Trettier. Załatwimy jeszcze tę Saharę Zachodnią, a potem zobaczymy. Polecę chyba samolotem do Maroka. W Casablance złapię jakiś pojazd lub karawanę do ElAioun.

Dalsza rozmowa potoczyła się już zwyczajnym trybem. Omówili dokładnie plan transakcji, obliczyli ryzyko i zyski. Nie ulegało wątpliwości, że wyprawa warta była zachodu.

– No, wszystko jasne. Powodzenia i żadnych kłopotów, stary!

– Bez nich się nie obejdziesz, ale jak już powiedziałem, będzie to moja ostatnia tak wielka wyprawa. Muszę i chcę wreszcie uporządkować moje życie osobiste. Mam rodzinę, kobietę, którą kocham, i wierz mi: nie będzie łatwo włączyć się po pustyni myśląc ciągle o bliskich. Moje plany na przyszłość już znasz. Będziemy dalej współpracować, ale w sposób bardziej ucywilizowany – spokojniejszy i bezpieczniejszy. Cóż, nie jestem już tym młodym narwańcem, którego poznałeś piętnaście lat temu w jenieckim obozie. Ile to właściwie mam lat? Policzmy szybko: wtedy miałem dwadzieścia cztery. Mniejsza z tym... Najgorsze jest to ciągle zamartwianie się o Violę. Dlaczego nie dadzą jej spokoju? Wiem doskonale, że była dla Algierczyków niezwykle dobra, serdeczna i uczynna. Jak można ją teraz za to prześladować?

– Oni sądzą, że zna współpracowników Salliera, a ten drań miał niejedno na sumieniu i nie bez powodu został zamordowany.

– Jestem pewien, że Viola nic nie wiedziała o ciemnych sprawkach męża ani też nie знаła jego kompanów.

– A słyszałeś kiedyś, żeby w polityce liczyły się sentymenty? Twój przyjaciel zaopiekuje się Violą, a gdy załatwisz już tę sprawę w Rio de Oro, po prostu polec do Niemiec i zajmij się nią sam. W każdym razie nie pokazujcie się razem w Algierze ani gdziekolwiek między Oranem a Bońe. Coś mi się zdaje, że moje serce zaczyna skłaniać się ku Tangerowi. Może wszyscy troje tam się spotkamy?

## VIII

Mijały tygodnie. Viola przyzwyczała się już do nowych warunków. Spokój, poczucie bezpieczeństwa, ciekawa praca i opieka nad Helmerem sprawiły, że była naprawdę szczęśliwa i nie liczyła upływającego czasu.

Inaczej było z Józefą. Każdy dzień do upragnionych wakacji wydawał jej się wiecznością, ale w końcu musiał nadejść.

Madame Sosbell uzgodniła z Izą Gerlach, że Józefa wróci do domu sama. Miał to być dla niej egzamin i właścicielka pensjonatu była pewna, że jej wychowanka zda go pomyślnie.

Ciotka chętnie przystała na propozycję, zwłaszcza że perspektywa długiej podróży do Genewy i z powrotem wcale jej się nie uśmiechała. Nie była już młódką, chociaż kiedy urządziła pokój dla Józefy w swoim mieszkaniu, jakoś na swój wiek nie zważała. Młoda dama musiała mieć wszystko, czego tylko zapragnie. Ciekawe, jak się zachowa, gdy zobaczy swoje nowe gniazdko? Ciotka zadawała sobie to pytanie wybierając się na dworzec po Józefę (madame Sosbell odradzała podróż samolotem).

Ilza poinformowała Ludwika o terminie i godzinie przyjazdu kuzynki, ale z góry wiedziała, że nie pojedzie na powitanie. Niech sobie smarkula nie wyobraża, że jest Bóg wie kim. Jeszcze jej się w głowie przewraca, a poza tym Ludwik i tak miał dość innych, ważniejszych zajęć.

Ciotka przyjęła oświadczenie siostrzeńca ze spokojem, a zmieniając szybko temat spytała, czy po zaskakującym telefonie Schródera z Tunezji otrzymał jeszcze jakieś inne wiadomości. Nie było żadnych.

– A jak pani Senholm przyjęła pozdrowienia z Afryki?

– Była bardzo, bardzo wzruszona. Oczywiście, nie wspomniałem ani słowem o niebezpieczeństwie, o którym mówił Kurt. Po co ją niepotrzebnie denerwować!

– Dobrze zrobiłeś. W końcu nie mieszkamy w zwariowanym Algierze, choć i tam też, jak czytałam, już się uspokoiło. Zatem, nie pójdziesz przywitać się z Józefą. Nie nalegam, bo sądzę, że wiesz, co robisz, a poza tym ona raczej nie tęskni za widokiem twoich zabójczych oczu. Ponadto mężczyźni potrafią zepsuć spontaniczną radość, jaka zawsze towarzyszy spotkaniu dwóch kobiet.

– Warto zapamiętać na przyszłość twoją naukę, cioteczko. Rozumiem, że mam się u ciebie nie pokazywać, dopóki mnie nie wezwiesz.

– Pojętny jesteś. A swoją drogą: czy nie uważasz, że powinieneś wykorzystać wakacje Józefy na pokazanie jej fabryki? Twojej i jej, o ile dobrze pamiętam.

– Raczej się nie wykręcę, skoro się uparłaś. Porozmawiam z mecenasem Kunze. Na razie jeszcze on decyduje, a nie Józefa.

– Tak, tak, mój drogi. Zadzieraj nosa, póki możesz! Broń Boże, żadnej spontaniczności, dobrej woli, odrobiny serca!

– Stawiasz mi wysokie wymagania, cioteczko – uśmiechnął się. – Kiedy przyjeżdża nasza księżniczka?

- Dziewiętnasta trzydzieści trzy. Muszę się spieszyć, bo nie zdążę na dworzec.
- Mogę cię podwieźć.
- Uchowaj Panie Boże! A nuż przypadkiem narażę cię na spotkanie z małą diablicą?

Taksówkarze dziś chyba nie strajkują.

Gdy chwilę później Ilza Gerlach wyszła z domu, z radością zauważyła stojącą opodal taksówkę. Kierowca siedział w samochodzie zaparkowanym naprzeciw domu, w którym mieszkała Viola Senholm. Z uśmiechem otworzył drzwi i spytał:

- Dokąd pani sobie życzy, madame?.
- Na dworzec, proszę.

Dopiero gdy ruszyli, uświadomiła sobie, że nazwała ją „madame”. Co za maniery! W tych stronach rzadko kto zwraca się tak do kobiet. Prawdziwy dżentelmen z tego kierowcy, nie ma co!

Ruch na mieście był, jak zawsze o tej porze, dość spory i taksówkarz wyczyniał istne cuda, zręcznie lawirując między maruderami. Wsparta oburącz o fotel Ilza obiecywała sobie solennie, że na pewno nie poprosi tego taksówkarza, by zaczekał i odwiózł ją i Józefę do domu. Przed dworcem podał sumę za kurs nienaganną francuszczyzną, ale uśmiechnął się kokieteryjnie i powtórzył po niemiecku.

Wysiadając Ilza spytała mimowolnie:

- Przypadkiem nie jest pan Włochem?
- Si, si, signora!

Do licha! Zaraz się okaże, że drab mówi także po rosyjsku. Może to jeden z tych szpiegów przetrzuconych ostatnio do Niemiec, o których rozpisyją się gazety? Szkoda czasu. Gdyby nawet, to sprawa policji, a nie starej ciotki.

Pobiegła prosto na peron, gdzie za kilkanaście minut miał wjechać międzynarodowy pociąg z Genewy. Rozejrzała się z zainteresowaniem dookoła. Może czeka ktoś ze znajomych, a może znajdzie się wolne miejsce na ławce? A cóż to? Za budką telefoniczną czał się... Ludwik! Jednak nie wytrzymał i przyszedł, ale skoro nie chciał się przyznać, niech mu będzie, że go nie widziała. Spadłaby mu perła z korony, gdyby naraziła na szwank jego męską dumę.

Najważniejsze, żeby ta smarkula jakoś porządnie wyglądała i zachowała się jak należy. Niech Ludwik wreszcie zauważy i przyzna, że jej nie doceniał. Cóż, nie okaże się przecież Pigmalionem, który chciałby wyrzeźbić kobietę swoich marzeń, i na pewno nie uklęknie przed nią któregoś dnia i nie poprosi o miłość jako ten, który wychował ją, tak jak sobie życzył. Ale byłaby to scena warta każdych pieniędzy!

Ilza nie patrzyła w stronę kryjówki Ludwika, zwłaszcza że zapowiadany pociąg wjeżdżał już na peron. Frankfurt, Bazylea... Jest wreszcie wagon z Genewy.

Elegancko ubrana Józefa machała radośnie przez okno, zeskoczyła z wysokiego stopnia i z otwartymi ramionami podbiegła do ciotki. Bez nakrycia głowy... Pan „Pigmalion” ukryty za budką musiał dostrzec w tłumie jej miedzianorudą czuprynę. Dobrze mu tak!

Józefa wyciągała ciotkę w oba policzki i ukradkiem otarła chusteczką łzy radości kręcące się w jej pięknych zielonkawych oczach.

Wreszcie była w domu, wreszcie miała przy sobie kogoś bliskiego, kogo naprawdę kochała.

– Och, ciociu! Tak się cieszę, że przyszłaś.

– Jakże mogłam nie przyjść, drogie dziecko. A gdzie masz walizki?

– Mam tylko neseser. Resztę nadałam na bagaż.

– A to smarkula! Patrzcie jaka zaradna. Ogromnie się cieszę, że znowu przyjechałaś. W Zielone Świątki nie zdążyłam nacieszyć się tobą, ale teraz mamy aż pięć tygodni dla siebie. Jak podobało ci się w podróży?

– Piekielnie dłużył się czas. Wyjechałam z Genewy o piątej rano, na szczęście udało mi się chwilę zdrzemnąć w pociągu – paplała bez przerwy, prowadzona pod rękę przez ciotkę.

Ilza nie byłaby sobą, gdyby nie skręciła naumyślnie obok budki telefonicznej, za którą chował się Ludwik. Czmychnął w ostatniej chwili na drugą stronę, omal nie rozbijając sobie nosa. Depcząc mu niemal po piętach obie kobiety obeszły budkę dookoła.

– Czemu tak kluczymy, cioteczko?

– Patrzę, gdzie mniejszy tłum. A więc jesteś zadowolona z podróży. Nie bałaś się trochę?

– Skądże! Dla mnie pociąg to teraz pestka, a świat jest taki piękny!

– uśmiechnęła się rozmarzona.

– Niestety, moja droga, podobnego zdania jest niewielu ludzi, ale ja, mimo sześćdziesiątki na karku, zupełnie się z tobą zgadzam. Znajdź twój bilet bagażowy i daj go tragarzowi. Poszukamy jakiegoś spokojniejszego taksówkarza, bo ten, który wiozł mnie na dworzec, omal mnie nie zabił – uśmiechnęła się i z zadowoleniem patrzyła, jak Józefa rozmawia z bagażowym i objaśnia, gdzie będzie czekać na swoje walizki.

Przyszły na postój taksówek, a po chwili zjawił się tam tragarz z walizkami Józefy na pasach. Ciotka musiała się uśmiechnąć, zobaczywszy naprzeciwko w tłumie Ludwika skradającego się z rozłożoną gazetą w rękę. Stał tak blisko Józefy, że musiał słyszeć jej rozmowę z bagażowym. – Słuchaj, słuchaj, doktorku! Może się czegoś nauczysz – mruknęła Ilza sama do siebie i rozejrzała się po taksówkach czekających na pasażerów.

Trzeci z rzędu kierowca – grubasek, wyglądał na spokojniejszego. Kiwnęła, a on natychmiast zajął się walizkami.

– Józefo, zapłać bagażowemu, proszę.

Dziewczyna z uroczym uśmiechem na ustach spełniła prośbę ciotki, a gdy usiadły obok siebie, rzekła:

– Cioteczko, a nie mogłybyśmy przejechać obok pralni? Nie będziemy się zatrzymywać, ale chciałabym tylko rzucić okiem i podziękować Panu Bogu, że już tam nie muszę wracać.

– Oczywiście, dziecko. Doskonale cię rozumiem. Zobaczyc wypisane na ścianie *Mane, tekell, fares* nie każdemu się zdarza.

– Nic nie kapuję! – Józefa pociągnęła nosem. – Jest tyle rzeczy, których nie rozumiem, cioteczko – dodała, ale ciotka zajęta tłumaczeniem kierowcy, dokąd ma jechać i w którym miejscu zwolnić, w ogóle jej nie słuchała.

– Chce pani odebrać bieliznę z pralni?

– Skądże! Chcemy tylko przejechać obok, ale i tak pan nie zrozumie dlaczego.



Kiwnęła ręką, a taksówkarz ruszył w kierunku wąskich uliczek starego miasta. Przez nieco zaparowane szyby prasowalni Józefa próbowała rozpoznać koleżanki, z którymi dzień w dzień spędzała po osiem godzin prasując męskie koszule. Było wesoło, choć czasami ręce i nogi mdlały ze zmęczenia.

Józefa złapała ciotkę za rękę, westchnęła i szepnęła tak cicho, że ledwie Ilza mogła zrozumieć:

– Teraz jest jednak znacznie lepiej. Dziękuję ci, Boże, z całego serca za wszystko, co mnie spotkało.

– Masz rację, dziecko, Jemu zawsze trzeba dziękować. Możemy jechać do domu?

– Tak, ciociu. Nie mam zamiaru wchodzić do pralni. Pewnie dziewczętom byłoby żal, gdyby zobaczyły, że wiedzie mi się lepiej niż im.

Ilza pokiwała tylko głową i przekazała taksówkarzowi polecenie.

Gdy przejeżdżali obok kamienicy, gdzie mieszkała Viola Senholm, ciotka chciała Józefie pokazać ten dom, ale nagle zauważyła, że taksówka, którą jechała na dworzec stoi dokładnie w tym samym miejscu, naprzeciwko bramy wejściowej. Zdziwiona spytała kierowcę, czy przeniesiono tu postój. Grubas nic o tym nie wiedział.

– Coś mi się w tym wszystkim nie podoba.

– Co takiego, ciociu?

– Nic dla ciebie, drogie dziecko, ale zaraz muszę z domu zatelefonować. Trzeba zrobić porządek. – Ilza była zdenerwowana, choć dokładnie nie wiedziała dlaczego. Taksówkarz, Włoch mówiący po francusku, coś chyba jednak kręcił.

Kierowca wystawił walizki Józefy pod drzwi, zainkasował pieniądze i szykował się do odjazdu, gdy Ilza podeszła nagle do niego, przytrzymała za rękaw i rzekła po cichu:

– Mógłby pan spojrzeć na tego taksówkarza czekającego po przeciwnej stronie. Jeżeli go pan zna, to wszystko w porządku, ale jeżeli nie, to proszę wrócić tu – będę czekała na klatce schodowej.

Grubas bez słowa przeszedł na drugą stronę ulicy. Po chwili wrócił i zadzwonił do drzwi.

– Nie znam tego człowieka. Zapisałem numer jego taksówki i zaraz zadzwonię do naszej centrali. Co jeszcze mógłbym dla pani zrobić?

– Niech pan zapisze numer mojego telefonu 34278 i proszę mnie poinformować, czy wszystko jest w porządku. Jeżeli nie, proszę nie podejmować żadnych kroków. Ma pan dziesięć marek na telefon.

– Okradł panią ten drań?

– Na szczęście nie, ale wiózł mnie przed godziną na dworzec tak, że o mało ducha nie wyzionęłam. Odpłacę łobuzowi pięknym za nadobne.

– Rozumiem. Za kwadrans na pewno się odezwę.

Józefa z pomocą żony dozorecy przeniosła walizki do windy i nie zwracała uwagi na ciotkę.

W mieszkaniu przywitały się jeszcze raz niezwykle serdecznie, a Ilza, zdenerwowana, co chwilę zerknęła w stronę telefonu. Pokazała bratanicy pokój, który dla niej urządziła. Okrzykom zachwyty nie było końca.

– Och, ciociu! To naprawdę wszystko dla mnie?

– A dla kogóż by, głuptasie? Myślisz, że wysiłałabym się tak, na przykład, dla Ludwika? Chcę cię uprzedzić, że zwrócisz mi wszystko co do grosza, gdy zostaniesz tą „milionerką” i przeprowadzisz się do willi Schottlerów.

– Muszę tam zamieszkać, ciociu? Sama w takim dużym domu, a tu jest tak przytulnie jak u mojej mamy.

– Po co się martwisz na zapas? Przyjdzie czas, to przyjdzie rada. Oho! Dzwoni telefon.

– Odebrać, ciociu?

– Nie, nie. To na pewno do mnie.

Gruby taksówkarz poinformował, że numer, który zapisał, nie jest zarejestrowany w stowarzyszeniu. Sprawę trzeba wyjaśnić i jeden z kolegów już się tym zajął.

Ilza podziękowała i poprosiła o wiadomość, gdyby coś ważnego się zdarzyło. Stała zamyślona przy telefonie, podczas gdy Józefa w innym pokoju żywo rozmawiała o czymś z pokojówką. Bez chwili wahania ciotka zadzwoniła do Ludwika i pokrótce poinformowała go o swoich spostrzeżeniach.

– Rozumiesz coś z tego, Ludwiku?

– Szczerze mówiąc, nic, ciociu. Jeżeli facet jeździ na czarno, to sprawa policji podatkowej, a nie nasza.

– Albo głupi, albo ślepy! – zdenerwowała się Ilza. – Na szczęście twoja stara ciotka ma jeszcze dobry wzrok i potrafi kojarzyć. Nie wierzysz? Pewnie myślisz, że nie widziałam cię na dworcu, jak śledziłaś Józefę zza budki telefonicznej i rozłożonej gazety. Ha! Zatkanęło cię, co? A teraz zastanów się, czy nie mam racji z tym taksówkarzem, i przypomnij sobie, o czym Kurt mówił ci przez telefon z Tunezji. Ten człowiek odezwał się po francusku, a gdy go zagadnęłam, przeszedł na włoski, wygląda na południowca i znowu stoi pod domem, w którym mieszka Viola Senholm. Rozumiesz wreszcie, dlaczego się denerwuję?

Ludwik tylko jęknął zniecierpliwiony, więc ciągnęła dalej:

– Coś tu nie gra, ale to twój problem, a nie mój. Gdybym jednak znowu coś zauważyła, i tak zadzwonię. Jutro wieczorem zapraszam ciebie i Józefę na kolację, abyście mogli uzgodnić, kiedy pokażesz jej fabrykę. Rozmawiałaś już z mecenasem Kunze?

– Twój pomysł od razu przypadł mu do gustu.

– Szkoda, że to nie ty nań wpadłeś. Może uwierzyłabym wtedy, że już dorosłeś do samodzielności, ale ty wolisz, żeby stara ciotka prowadziła cię za rączkę.

Próbował zaprotestować, ale roześmiała się głośno i odłożyła słuchawkę. Resztę wieczoru miała już tylko dla Józefy.

Następnego ranka Józefa uprosiła ciotkę, by pozwoliła jej pójść samej pod męskie gimnazjum i przywitać się z Helmerem, gdy będzie wychodził na przerwę obiadową. Stała w samo południe przed głównym wyjściem potrącana przez potok ruchliwych żaków i usiłowała w tłumie dostrzec swojego młodego przyjaciela. Chłopcy ze starszych roczników od razu zwrócili na nią uwagę.

– Ciekawe, który to znalazł sobie taką rudą narzeczoną? – spytał bezczelnie jeden z maturzystów, trącając w bok kolegę.

Józefa najpierw pokazała mu język, ale gdy obaj wybuchnęli śmiechem, nie wytrzymała.

– Kurduplu zasmarkany! Metr pięć w kapeluszu, a narzeczone mu w głowie! Idź ryc anatomię żaby i nie zaczepiaj spokojnych ludzi.

– Ho, ho, Rudi! Ale ci się dostało!

– Skarbie, a może ci pomóc w odszukaniu twojego wymarzonego? – zaczepił ją inny dryblas.

Obrzuciła go lekceważącym spojrzeniem i bez słowa łokciem uderzyła w okolice żołądka torując sobie drogę w tłumie, bo właśnie dostrzegła Helmera.

– To ja, nie poznajesz mnie? – spytała łapiąc go za rękę. Helmer już miał cisnąć jakieś przekleństwo, bo nie lubił, gdy zaczepiali go nieznajomi, ale spojrzawszy w roześmianą twarz Józefy, rzucił tornister na ziemię i złapał ją za rękę.

– Józefa! Ja chyba zwariuję!

– Patrz, jaką przygruchał sobie ten żółtodziób – usłyszała za swoimi plecami. W odpowiedzi odwróciła się gwałtownie, pokazała zaczepiającym język i objęła Helmera przez ramię.

– Chodź, ci idioci nie pozwolą nam spokojnie zamienić słowa. Cieszysz się, że przyszedłam?

– Szalenie! Długo zostaniesz?

– Całe pięć tygodni. Kiedy rozpoczynasz wakacje?

– Sześć dni wkuwania i na odpoczynek!

– Bomba. Grasz w tenisa?

– Trochę. W Algierze mieliśmy kort w ogrodzie i grałem z mamą.

– Umiesz pływać?

– Jak ryba!

– Wspaniale! Mamy więc pięć tygodni: ty nauczysz mnie pływać, a ja ciebie grać w tenisa. Jak czuje się twoja mama? – Józefa uważała za stosowne spytać, choć nie miała na to specjalnej ochoty.

– Dziękuję. Wszystko w porządku. Ma wiele pracy i wraca do domu dopiero późno wieczorem.

– A co z twoim obiadem?

– Jemy razem, gdy mama wróci z pracy. Wiesz, ta wycieczka do Genewy była wspaniała, a nocny lot czymś niezapomnianym. Wujek Ludwik cały czas mi wszystko tłumaczył. Sama przyznasz, że to bardzo fajny facet. Opiekuje się mamą i mną tak samo jak Kurt.

– Ach taaak! – skwitowała. – A kto to jest Kurt? Nie znam go.

– To długa historia. Opowiem ci kiedyś, gdy pójdziemy na kąpielisko.

– Zgoda. Jutro czeka mnie ciężki dzień, bo kuzyn Ludwik będzie mi pokazywał fabrykę. Trudno, skoro połowa ma być moja... Wolałabym jednak oglądać ten cały kram z kimś innym.

– Ależ wujek Ludwik najlepiej wszystko wie! Gdybyś go słyszała, jak opowiadał mi w samolocie...

Szli rozmawiając jak dobrzy przyjaciele, którzy spotkali się po wielu latach. Pod domem

Helmer zmarszczył nagle czoło, złapał Józefę za rękę i rzekł półgłosem:

– Ty, ta taksówka znowu stoi pod naszymi drzwiami. Kierowca spytał mnie przedwczoraj, od kiedy tu mieszkamy. Co go to obchodzi, małpiszona?

– Rozmawiałeś z nim?

– Skądże! Powiedziałem, że nie wolno mi rozmawiać z nieznajomymi, a ten znowu przyjechał.

Józefa dostrzegła, że kierowca, młody mężczyzna wyglądający na południowca, przygląda im się z zainteresowaniem. Wychylił się przez otwarte okno w drzwiach i spytał po niemiecku z wyraźnie obcym akcentem:

– Szuka pani taksówki, mademoiselle?

– Dziękuję, nie! – odwróciła się na pięcie, a odprowadziwszy Helmera do drzwi, rzekła: – Pędź na górę, zamknij dobrze drzwi i nikomu nie otwieraj.

Wepchnęła chłopca za drzwi i energicznym krokiem, z pogardliwą miną, przeszła obok taksówkarza. Zanim wróciła do mieszkania ciotki lizy, zapomniała już o zajściu i nawet do głowy jej nie przyszło, żeby komukolwiek o tym wspomnieć. Dopiero kilka dni później uświadomiła sobie, jaki wielki błąd popełniła.

Przedpołudnie tego dnia, kiedy Ludwik oprowadzał ją po fabryce, zapamięta chyba na zawsze.

Kłopoty zaczęły się już w samochodzie. Wprawdzie poprzedniego wieczoru gdy oboje spotkali się na kolacji u ciotki lizy, ze względu na obecność starszej pani, a właściwie dzięki niej, atmosfera była zupełnie znośna. Dziś jednak byli skazani wyłącznie na siebie.

Józefa rozsiadła się w samochodzie bez żadnych ekscesów. Ani nie popełniła żadnej gafy, ani nie palnęła jakiegoś głupstwa, ale Ludwik miał wrażenie, że lada chwila z czymś wyskoczy.

I rzeczywiście. Jechali ruchliwą ulicą, gdy nagle Józefa wychyliła się przez okno i wrzasnęła na całe gardło: – Helmer! Zatrzymać się! Do jasnej cholery, niechże pan stanie.

Ludwik odruchowo nacisnął na hamulec, przerażony, że chłopcu coś się stało, na co jadący z tyłu kierowca zareagował: – Ty durny baranie! – Zanim zdążył ochłonać, zobaczył już tylko zadartą spódnicę Józefy lawirującą między samochodami, gdyż na przejściu dla pieszych paliło się akurat czerwone światło. Trudno, mogło się skończyć znacznie gorzej niż tylko zainkasowaniem „durnego barana”. Co sobie ta smarkuła wyobraża? Że jest jej prywatnym szoferem?

A jej akurat zależało, czy kuzyn Ludwik był w dobrym, czy w złym nastroju!

Wokół męskiego gimnazjum panował gwar jak na rzymskim Kapitolu. Józefa rozpychając się łokciami dogoniła Helmera, wzięła go za ramię i ciągnęła w stronę samochodu Ludwika, któremu na szczęście udało się zaparkować tuż za rogiem.

Chłopiec uklonił się grzecznie siedzącemu za zasuniętą szybą i kipiącemu ze złości Ludwikowi.

– Szczęść Boże, wujku Ludwiku. Jedzie pan do fabryki?

– Taki mam zamiar, jeżeli oczywiście ta młoda dama zechce z powrotem wsiąść do samochodu.

– Pozdrów moją mamę i powiedz jej, że wrócę dziś później, bo po lekcjach idziemy z Józefą na pływalnię.

– Załatwione. Baw się dobrze. Jedziemy. To jest miasto i nie można parkować tam, gdzie się pannie Józefie żywnie podoba.

– Ho! Kuzyn Ludwik dziś w kiepskim humorze! Może lepiej od razu zabiorę się na basen, bo żeby pan wiedział – wcale nie mam ochoty na oglądanie tej fabryki. – Poklepała Helmera po ramieniu i dodała z uśmiechem: – Wolę już pływanie z tobą, choć znowu powiesz, że zachowuję się w wodzie jak ołowiana kaczka.

Wsiadła do samochodu z miną obrażonej księżniczki, wzruszyła ramionami i mruknęła: – Można jechać.

Ludwik nie wiedział, czy się złościć, czy śmiać. Postanowił milczeć, a całą złość wyładował na pedale gazu i hamulcach, co Józefa z obojętną miną natychmiast skwitowała: – Takiej jazdy nie wytrzyma nawet najlepsze auto!

Nie wytrzymał Ludwik.

– Gdy spotkaliśmy się pierwszy raz u twojego opiekuna, starszy pan wielokrotnie upominał cię, żebyś zamknęła buzię. O to samo proszę cię teraz ja, albo... Weź to sobie poważnie do serca.

Zapadła grobowa cisza. Po chwili Józefa obrzuciła go piorunującym spojrzeniem i wycodziła:

– Mój drogi, z damą się w ten sposób nie rozmawia.

– Zgadzam się, z damą nie, ale z...

– Kuzynie! – przerwała mu. – Jest pan ode mnie nieco starszy i być może trochę więcej umie, ale bezczelny, jak wtedy z tymi durnymi mankietami, wcale pan być nie musi. Tyle tytułem wstępu i proszę powstrzymać się od wszelkich komentarzy i odzywać się tylko w sprawach fabryki, którą pana zdaniem powinnam poznać.

Oparła się dumnie wyprostowana z tak rezolutną miną, że Ludwik aż musiał zacisnąć zęby. – Cholerna smarkuła! – syknął. Udała, że nie dosłyszała.

– Co jest? Nie słyszę odpowiedzi – pochyliła się i próbowała spojrzeć mu w oczy. – A może nie jest panu na rękę, że interesuję się tym, co w spadku zostawił mi ojciec? Akurat przypomniał mi się cytat z Goethego doskonale pasujący do mojej sytuacji.

– Józefo, chyba nie zamierzasz... – próbował jej przerwać.

– Zamierzam. Po to chodzę na lekcje literatury, żeby z nich korzystać.

Ludwik miał nadzieję, że nie zdążyła się nauczyć całego Goethego na pamięć, więc rzekł:

– Trudno, posłucham.

Wyprostowała się jak przy tablicy i zacytowała: – „Gdy coś po ojcach odziedziczysz, zrób wszystko, by to posiadać” – Rozumie pan coś z tego, kuzynie? W moim przypadku „zrobić wszystko” to udowodnić, że zasłużyłam na ten spadek, nie zmarnować go, i poznać cały ten kram. Jasne?

– Chyba jasne – odparł wyraźnie odprężony.

Spokojnie objaśniał podstawowe zasady funkcjonowania fabryki i przedstawił plan jej zwiedzania.

– Zaczniemy od biura szefa fabryki, które na razie nie jest używane, a w którym będziemy razem pracować.

– Trudno mi to sobie wyobrazić.

– Potem przedstawię cię najbliższym współpracownikom, odwiedzimy najważniejsze biura, pracownie i...

– Matkę Helmera także?

– Oczywiście. Pani Senholm pracuje w dziale zagranicznym tutaj, w biurowcu. Pójdziemy też do hal produkcyjnych. Jedno przedpołudnie naturalnie nie wystarczy, żeby pokazać ci wszystko, ale uzgodniłem z twoim opiekunem, że po kolei wprowadzę cię w cały proces technologiczny.

Ku wielkiej radości Ludwika nie odezwała się. Serce biło jej jak młot, gdy uświadomiła sobie ogrom czekających ją zadań. Boże, żeby chociaż ciotka Ilza była tu teraz! Ale nie. Starsza pani uśmiechnęła się tylko na jej prośbę i rzekła: – O nie, skarbie! Umiesz chodzić? No to idź sama.

Trudno. Przeżyła już tyle niespodzianek, przeżyje i tę.

Ludwik zaparkował przed głównym wejściem, wysiadł i pomógł Józefie. Była wyraźnie blada, aż zrobiło mu się jej żal. Wyglądała uroczco i pierwsza myśl, jaka Ludwikowi przyszła do głowy, to ta, że przynajmniej przyszła „współniczka” nie jest maskarą, którą wstydziłby się przedstawić współpracownikom.

Zaprowadził Józefę do windy i wjechali na drugie piętro, gdzie znajdowało się biuro Hugona Schottlera. Pokazując jej klucz od windy, uśmiechnął się:

– Ty także dostaniesz jeden, a oprócz tego do biurowca i naszego biura.

– A jeśli któryś zgubię?

– Hm, dorobi się zapasowy i po kłopotcie.

W biurze wuja Ludwik oparł się o stylowe biurko i rzekł wesołym tonem:

– Za rok przy tym biurku usiądziesz naprzeciwko mnie, a ja naprzeciwko ciebie.

– Wszystko wydaje się takie nieprawdopodobne – zamyśliła się. Ludwik tymczasem nacisnął klawisz automatycznego dyktafonu i poprosił sekretarkę, żeby zawiadomiła panów dyrektorów, że panna Józefa Hannemann jest już w fabryce i prosi wszystkich do gabinetu.

Nie wiedziała, że ciotka Ilza uprzedziła już ich i prosiła, żeby byli dla Józefy wyrozumiali i pomogli jej w tej trudnej chwili. Gdy w ciągu najbliższych minut około dziesięciu panów w różnym wieku stawiało się w biurze, każdy z bukietem pięknych kwiatów w ręku, Józefa wprost oniemiała z wrażenia.

Blada, z lekko drżącymi rękoma przyjmowała nieoficjalne powitanie swoich przyszłych współpracowników. Jej zachowanie było bez zarzutu. Gdy starsi zwłaszcza panowie pochylali się, by pocałować ją w rękę, dyskretnie cofała ją wykonując przy tym iście księżęce dygnięcie. Przywitała się z wszystkimi po kolei. Oparta o futrynę wielkich rzeźbionych drzwi, odezwała się tak cicho, że aby zrozumieć jej słowa, niektórzy musieli wstrzymać oddech.

– Dziękuję panom za przemile przywitanie. Skoro taka była wola mojego ojca i będziemy razem współpracować, bardzo liczę na panów pomoc, zwłaszcza na początku. Wiem, że muszę jeszcze nauczyć się bardzo wielu rzeczy i dlatego już dziś proszę: pomóżcie mi

panowie!

Sukces na całej linii! Dyrektorzy jak jeden mąż byli zdecydowani pomóc uroczej szefowej, kiedy tylko będzie trzeba.

Ludwik również był zadowolony z Józefy. Nie spodziewał się, że zachowa się tak poprawnie, wręcz był przygotowany na kompromitację lub drobny skandal.

Wzniesiono toast przygotowany przez Ludwika. Dziś zamierzał pokazać kuzynce tylko najważniejsze wydziały, a uroczyste powitanie urządzi dopiero w terminie przewidzianym w testamencie. Panowie dyrektorzy, mogli więc wrócić do swoich zajęć.

Kwiaty wstawiono do wazonów, a Józefa z Ludwikiem przeszli się po biurowcu. Wszędzie Józefę przyjmowano bardzo serdecznie, a ona wręcz instynktownie wyczuwała, co ma robić, co komu powiedzieć.

Stojąc naprzeciwko Violi Senholm, zawahała się przez chwilę. Od razu pomyślała, że ta śliczna kobieta musiała także na Ludwiku zrobić wielkie wrażenie, ale gdy podały sobie ręce, a Józefa wspomniała o Helmerze, napięcie opadło. Viola zamieniła także kilka słów z Ludwikiem i wróciła do swojego biurka.

Idąc korytarzem Ludwik trzymał Józefę lekko za łokieć. Spojrzała na niego i rzekła niby od niechcienia:

– Pan chyba bardzo lubi panią Senholm.

– O tak! Zdażyliśmy się nawet zaprzyjaźnić. Przy najbliższej okazji opowiem ci, w jakich okolicznościach ją poznałem.

– Hm! Z pewnością nie była to odpowiedź, jaką Józefa chciała usłyszeć. Bez wątpienia Ludwik zakochał się w pięknej Szwedce, no cóż, pasowali do siebie wiekiem, a Helmer potrzebował ojca. Chłopiec lubił Ludwika i zasłużył sobie na prawdziwą, kochającą się rodzinę.

Nie potrafiła się już skupić na zakładzie i prawdę mówiąc, niewiele z tego zapamiętała. Odetchnęła z ulgą, gdy z naręczem kwiatów siedziała już w samochodzie i mogła wrócić do kochanej cioteczki lizy.

Ludwik wysadził ją pod domem, a gdy ruszył z powrotem do fabryki, zauważył taksówkę, o której mówiła ciotka. O dziwo, gdy kierowca dostrzegł nadjeżdżający samochód, włączył silnik i ruszając z kopyta zniknął na najbliższym skrzyżowaniu, nie zważając na zapalone czerwone światła.

Józefa z radości rzuciła się ciotce na szyję i opowiadała z zachwytem o tym, jak mile i serdecznie przyjęto ją w fabryce. Najbardziej w pamięć zapadła jej rozmowa z panią Senholm.

– Nie rozumiem, dlaczego tak się zdziwiłaś?

– No wiesz, ona jest przecież... no tak myślę, że ona i kuzyn Ludwik... i tak dalej – plątała się, w ogóle nie patrzyła na ciotkę. Niby oglądała śliczny bukiet goździków, ale ciotka od razu zrozumiała, że za słowami Józefy kryło się coś, czego się domyślała, a dziś po raz pierwszy zostało nieśmiało wypowiedziane.

## IX

Na zakończenie tego bogatego we wrażenia dnia ciotka postanowiła zaprosić na kolację Ludwika, by jeszcze raz w spokoju mogli porozmawiać o fabryce.

Józefa siedziała wyraźnie spięta, ale ani ona nie przerywała Ludwikowi, ani on nie reagował nerwowo na jej drobne potknięcia.

– Zatem jesteś zadowolony, że nasza Józefa zrobiła w fabryce dobre wrażenie.

– W każdym razie w niczym nie przesadziła – odpowiedział Ludwik na spostrzeżenie ciotki. – Dzisiaj właśnie poczęstowała mnie cytatem z Goethego...

– Coś ty powiedział? – zdziwiła się Ilza.

– Nie przesłyszalaś się, ciociu: z Goethego! Tych cytatów jest sporo, ale ja chciałbym się jej zrewanżować Schillerem: „Człowiek rozwija się, stawiając sobie szczytne cele”. On chyba najlepiej wyjaśnia dzisiejsze zachowanie Józefy w fabryce, rokujące dobre nadzieje na przyszłość – uklonił się w stronę kuzynki, która patrzyła na niego spod oka, mając najwyraźniej ochotę pokazać mu język. Zrobiłaby to niechybnie, gdyby nie obecność ciotki lizy.

– Myślałam, że będzie gorzej, ciociu. Do pralni też przychodzili różni ludzie i zdarzały się incydenty, ale pracownicy w fabryce byli dla mnie wyjątkowo mili. Chyba mi nawet trochę współczuli, że będę musiała znać się na tych wszystkich skomplikowanych sprawach i urządzeniach. Wiesz, te dymiące kolumny, ogromne zbiorniki i taśm) produkcyjne już z daleka wzbudzają strach, a gdy pomyślę, że będę musiała przyjrzeć im się z bliska... brr! Biuro to pestka – podobne są wszędzie, ale produkcja? Fabryka Schottlera to gigant. O, taka malutka się czułam, gdy Ludwik zaprowadził mnie pod ogromne chłodnie kominowe – między jej wyciągniętymi palcami zmieściłaby się moneta jednofenigowa – a śmierdzi tam jak w piekle! Wiadomo – chemia.

– Mój nieboszczyk mąż zawsze mówił, że z najgorszego smrodu można zrobić największe pieniądze. Józefa wspomniała mi, że przedstawiła ją także matce Helmera – dodała Ilza patrząc bacznie na reakcję Ludwika.

Nawet nie drgnął, za to Józefa poruszyła się niespokojnie i spojrzała na kuzyna.

– Dziękuję, ciociu, że poruszyłaś ten temat. Właśnie zamierzałem dziś wieczorem opowiedzieć Józefie o pani Senholm i Helmerze. A propos, w sprawie, o której do mnie dzwoniłaś, nic nowego się nie zdarzyło? Widziałem dziś rano tę taksówkę. Znowu stała pod domem Violi. Mogę teraz zacząć opowieść o Algierii?

Ilza potaknęła głową, zaciągając się papierosem. Ludwik też zapalił, a Józefa zajadała się czekoladkami. Słuchała coraz uważniej i po każdym kolejnym zdaniu musiała zmieniać swoją opinię o pięknej Szwedce. Jej losy to jakby żywcem zrealizowany scenariusz filmowy!

Gdy Ludwik skończył, Józefa uderzyła się dłonią w czoło.

– Kuzynie, muszę panu szybko coś powiedzieć. Gdy wczoraj wracałam z Helmerem, pod jego domem stał taksówkarz... – opowiedziała szczegółowo, co wiedziała od chłopca, i o tym, że kierowca ją zaczepił.



– Jeżeli ten facet coś knuje, to powinniśmy uprzedzić Helmera, by był ostrożny, nie sądzicie?

– Dobrze mówisz, Józefo. Zauważyłam tę taksówkę tego dnia, gdy jechałam po ciebie na dworzec. Ludwiku, co powinniśmy zrobić?

– W żadnym razie nie chciałbym niepokoić pani Senholm. Chyba należy zawiadomić policję. Taksówkarz jeździ nielegalnie, więc mogą go przy okazji zidentyfikować.

– To dobry pomysł. A Józefa jutro uprzedzi chłopca. Być może robimy z igły widły, ale ostrożności nigdy za wiele. Na pewno Kurt Schröder nie dzwoniłby z Bizerty, gdyby niebezpieczeństwo nie wydawało mu się realne. W gazetach znowu dziś piszą o zamachu bombowym w Essen czy w Dusseldorfie na szczęście, nie było ofiar w ludziach.

– Czy pani Senholm ma przynajmniej telefon? – spytała Józefa. Ludwik podał jej numer, który napisał na serwetce.

– Zadzwoń do Helmera i powiem mu, że jutro rano pójde z nim do szkoły. Co mnie obchodzi, że te żółtodzioby zaczepiają mnie i śmieją się, że szukam narzeczonego? Pójde i już. Co myślicie?

– Świetny pomysł, drogie dziecko. Zadzwoń natychmiast – rzekła Ilza. Józefa pobiegła do przedpokoju. Ze szczątków rozmowy dolatujących do salonu wynikało, że nie mówi młoda dama, ale wesoła młoda prosta dziewczyna.

„Nie marudź, a słuchaj, bo mam ważną wiadomość. Co? Jesteś jedną nogą w łóżku? To ja wyjmij, stań na baczność i słuchaj, gdy rozmawiasz z damą. Co? Że niby nie jestem? Jeszcze ci udowodnię, krasnalu! Życzę ci, żebyś nie musiał wkuwać tylu bzdurnych rzeczy co ja, bo łeb by ci pękał i musiałbyś zamówić sobie obręcz u kowala. Wyglądałbyś jak beczka bez piątej klepki! Nie dyskutuj ze mną, tylko słuchaj: pójde jutro z tobą do szkoły. Po co? Zaraz ci powiem. Ciotka Ilza śpi aż do południa, a ja nudzę się w domu. Zabawię się w niańkę i zaprowadzę cię wprost w otwarte ramiona twojego belfra. To do jutra. Przekaż twojej mamie pozdrowienia ode mnie. „

Rozpromieniona wróciła do ciotki i Ludwika.

– Uff! Jakoś się z nim uporałam, ale co jeżeli jego matce też grozi niebezpieczeństwo?

– Jutro rano zabiorę panią Senholm spod domu i zawiozę do fabryki. Stamtąd zadzwonię na policję. Dziękuję ci, Józefo, za zajęcie się Helmerem. To był naprawdę bardzo dobry pomysł.

– Nie chwali się dnia przed zachodem słońca, drogi kuzynie. Mademoiselle Renoir, która uczy nas algebry i innych podobnych bzdur, twierdzi, że jestem głab. Dobrze, że przynajmniej pan jest innego zdania – rzekła Józefa spoglądając to na ciotkę, to na Ludwika.

Ilza kiwała tylko głową, Ludwik zaś patrzył na kuzynkę zupełnie odmiennym wzrokiem. Czyżby zauważył, że jest niezwykle urocza? Ciotka była pewna, że tak. Zarozumiały siostrzeniec ma jeszcze cały rok na zmianę swojej opinii i oswojenie się z myślą, że dzień w dzień, tydzień w tydzień i dłużej będzie musiał z tą pełną temperamentu osobką siedzieć przy jednym biurku. Patrzyła na Ludwika bez cienia współczucia.

Następnego ranka wszystko odbyło się zgodnie z planem. Józefa już o siódmej stała pod domem Helmera i rozglądała się uważnie raz w jedną, raz w drugą stronę. Podejrzanego

taksówkarza nie było.

Helmer wyglądał na trochę zmęczonego. Narzekał na nadmiar pracy, zwłaszcza pisemnych wypracowań, i marzył, by wreszcie zaczęły się wakacje.

Przed szkołą gimnazjaliści ze starszych klas z minami władców świata, którzy tylko dlatego jeszcze nim nie rządzą, że jacyś belfrowie uparli się przepytwać ich z bzdurnych wiadomości, ustawili się w szpaler i trącając się łokciami, jak jeden mąż patrzyli na nadchodzącą Józefę.

Helmer poczerwieniał jak burak, przełożył tornister do lewej ręki, a wzięwszy Józefę pod ramię, rzekł:

– Chodź i nie zwracaj uwagi na ich idiotyczne docinki.

– Gdyby głupota sprawiała ból, ci musieliby wyć, jak na torturach – cisnęła głośno i popchnęła Helmera za bramę. – Trzymaj się, stary. W południe znowu przyjdę po ciebie. Wskoczmy na lody. Cieszysz się?

– Masz wątpliwości? Cześć!

Spojrzenia, jakim Józefa obrzuciła maturzystów, mogłaby jej pozazdrościć mityczna Meduza.

Ludwik podjechał o w pół do dziewiątej pod dom Violi Senholm i czekał aż wyjdzie do pracy. Taksówkarza nie było, nie działo się też nic, co mogłoby go zaniepokoić.

Viola otworzyła bramę i stanęła zdziwiona. Uśmiechnęła się i podała Ludwikowi rękę przez otwarte okno w samochodzie.

– Dzień dobry, szefie! Czekają pan na mnie? Pewnie coś nabroiłam, a nie chce mnie pan zrugać przy wszystkich.

Ludwik wysiadł, otworzył jej drzwi i rzekł obojętnym tonem:

– Wyjechałem za wcześnie i pomyślałem sobie, że mogę panią podrzucić do fabryki, skoro przejeżdżam po drodze.

– Ależ trafiła mi się gratka! Dziękuję, szefie. – Wsiadła, a gdy ruszyli rzekła niespodziewanie: – Wczorajsza krótka wizyta panny Hannemann w fabryce zrobiła na mnie wielkie wrażenie. Młoda dama jest bardzo miła i bezpośrednia, i wszystko wskazuje na to, że wyrośnie na prawdziwą piękność. Przez rok jeszcze się zmieni, a panu wszyscy będą zazdrościć tak ładnej i mądrej współpracownicy.

– Dziękuję, że próbuje mnie pani podtrzymać na duchu. Ja nie widzę przyszłości zbyt różowo. Sposobu wystawiania się i myślenia nie można zmienić w tak krótkim czasie, nawet uczęszczając do najlepszych szkół.

– Drogi doktorze, czy naprawdę nie zauważa pan postępów? Przecież dziewczyna dopiero pół roku obraca się w innym świecie, a poza tym chyba nie spodziewa się pan, że będąc szefową fabryki musi od razu zachowywać się tak, jakby od urodzenia nie robiła nic innego, zwłaszcza że będzie tylko w połowie szefową – dodała z uśmiechem. – Mój syn jest zachwycony Józefą. Mówi, że jest bombowa, co w jego żargonie oznacza najwyższy stopień akceptacji.

Ludwik słuchał, zagryzając dolną wargę aż do bólu, i nie wiedział co odpowiedzieć, ale na szczęście dojechali już do fabryki.

Umówił się, że odbierze Violę po pracy i razem wrócą do domu.

Zdziwiła się, ale nie powiedziała ani słowa. Podziękowała i pobiegła do windy, którą wjechała na drugie piętro, gdzie znajdowało się jej biuro.

Ludwik tymczasem wrócił do samochodu i pojechał do centrum, na posterunek policji, gdzie opowiedział oficerowi dyżurnemu o swoich obserwacjach. Złożył krótkie oświadczenie o związkach pani Senholm z Algierią, o pełnym niepokoju telefonie Kurta z Bizerty. Uzyskał zapewnienie, że wskazane mieszkanie będzie pod stałą obserwacją, a podejrzany taksówkarz, jeżeli się zjawi, zostanie przesłuchany.

Uspokoiwszy się nieco, Ludwik wrócił do zakładów Schottlera i czekał, aż Viola skończy pracę.

– Niech pan nie czeka, szefie. Przecież mogę wrócić sama, tak jak w inne dni.

– Dziś nie, pani Violu. Być może mam szczególny powód, żeby panią odwiedzić, ale powiem o tym w stosownej chwili. Nie teraz. Proszę mi zaufać, i zrobić to, co uważam za konieczne.

Około piątej Viola wysiadła pod swoim domem, a ponieważ na ulicy nie działo się nic szczególnego, Ludwik odjechał spokojnie do swojego mieszkania.

O dziwo, Helmera nie było w domu. Czyżby wyszedł jeszcze raz? Może z kolegami na podwórko. Chociaż nie, bo przecież zostawiłby karteczkę na stole. Zdenerwowana dziwnym zachowaniem Ludwika, teraz nieobecnością Helmera, podeszła do okna.

Zadzwoił telefon. Podbiegła natychmiast. W słuchawce rozległ się głos pani Gerlach zapraszający ją uprzejmie na filiżankę herbaty. To też jakaś niespodzianka! Viola nie mogła odmówić, by nie urazić starszej pani.

– Dziękuję bardzo, pani Gerlach. Czekam na Helmera, bo wyszedł z domu, ale zostawię mu wiadomość, że jestem u pani. Przebiorę się i zaraz przyjdę. Proszę? Mam się nie przebierać? Pani Gerlach, zaczynam się niepokoić. Czy coś się stało... z Helmerem?

Ilza ucięła krótko, żeby nie wymyślać głupstw i przyjść, to się wszystkiego dowie.

Drżącymi rękoma Viola napisała na kartce wiadomość dla Helmera, że jest u pani Gerlach i on ma natychmiast tam przyjść, gdy tylko wróci. Biegła po schodach, później po ulicy, aż pod dom, gdzie mieszkała starsza pani.

## X

Józefa zgodnie z zapowiedzią czekała na Helmera przed szkołą w samo południe. Maturzyści i tym razem musieli skomentować zjawienie się rudowłosej piękności, i nawet trzykrotne pokazanie im języka wcale ich nie zniechęciło.

– Chwała Bogu, że nie dociera do waszej świadomości fakt, że jesteście po prostu śmieszni, bo ze wstydu pewnie poodpadałyby wam uszy. Bierzcie się do lekcji chłopcy, albo złapcie sobie psa i po kolei pocałujcie go pod ogonem.

Uff! Wygląda na damę, a jaka rezolutna! Popatrzyli na siebie i odwrócili się plecami. Rozeszli się, zanim Helmer wyszedł z bramy.

– Co się stało, że jesteś dziś dla mnie taka dobra i marnujesz swój czas? Nie masz ważniejszych spraw?

– Ty jesteś najważniejszy, wielki wodzu! Za pięć dwunasta – to znaczy za kilka dni wakacje – i muszę dopilnować, żebyś nie leniuchował.

– Prawdę mówiąc, rzeczywiście nie chce mi się już wkuwać.

– Komu to mówisz! W pensjonacie też nie dawali nam spokoju do ostatniej chwili.

Byli już pod domem. Taksówki nie było w pobliżu. Józefa odetchnęła z ulgą. Wepchnęła chłopca za drzwi i odwróciła się na pięcie, by zdążyć na obiad do ciotki lizy.

Co to, u licha? Z bramy doleciało jakby wołanie Helmera, ale natychmiast ucichło. Zdawało jej się?

Pchnęła z całej siły ciężkie drzwi wejściowe, a tego co działo się później, nie była w stanie opowiedzieć nawet wieczorem, gdy już całkowicie ochłonęła.

Zobaczyła dwóch mężczyzn trzymających Helmera. Jednym z nich był z całą pewnością taksówkarz, drugi, zupełnie do niego podobny, próbował powalić wierzgającego chłopca na ziemię i owinać mu głowę w jakąś brudną szmatę. Bez chwili wahania Józefa podbiegła do stojącego tyłem napastnika, pochylonego nad Helmerem, i wymierzyła mu siarczystego kopniaka, tak mocnego, że zbir zachwiał się i poleciał jak worek kartofli, padając na twarz. Taksówkarz odwrócił się z wykrzywionymi ustami. Józefa zastanawiała się, czy zaatakować go pięściami, czy nogą, ale widząc, że drugi podnosi się z ziemi, użyła obu rąk i obu nóg wymachując dosłownie na oślep, bo zamknęła oczy. Padały tylko głuche ciosy, nikt nie krzyczał.

Na parterze nikt nie mieszkał. Wołanie o pomoc na nic by się nie zdało, Józefa walczyła więc zażarcie. Szans nie miała, ale chodziło przecież o Helmera i nie mogła ustąpić.

Taksówkarz, trafiony celnie w łydkę, zaklął szpetnie po niemiecku, a widząc, że kumpel słania się i trzyma za głowę, powiedział do niego coś po francusku. Helmer skulony pod schodami zrozumiał ich rozmowę i wrzasnął:

– Mamę zostawcie! Ona nic nie wie! Ja też nie wiem! Na pomoc!

– Jestem tu, Helmer! Zrzuć tę szmatę z głowy i pomóż mi – jęknęła. W tym momencie taksówkarz uderzył ją w plecy i mocno złapał w pól, usiłując wypchnąć za drzwi na ulicę.

– Ludzie! Na pomoc! Mordercy! Ratunku! – krzyczała na całe gardło, gdy drugi zbir

próbował zatkać jej usta dłonią.

W porze obiadowej na ulicy nie było nikogo. Kątem oka zobaczyła stojącą po przeciwnej stronie znajomą taksówkę. – Wielki Boże, oni na pewno chcieli porwać Helmera.

– Boże, pomóżże mi chociaż ty! – modliła się czując, że opada z sił, a jeszcze szamocząc się i wierzgając nogami. Powoli traciła przytomność.

Nagle ktoś chwycił ją pod ramię i oparł zdecydowanym ruchem o ścianę. – Już wszystko w porządku – usłyszała męski głos mówiący f po niemiecku. – Proszę się oprzeć i nie ruszać. Zараż pani udzielię pomocy.

Otworzyła oczy i zobaczyła dwóch barczystych policjantów szamoczących się na chodniku z napastnikami.

Nadjechała policyjna karetka i w mig z taksówki wyciągnięto trzeciego zbira. Skuci kajdankami jak pokorne owieczki wsiadali do okratowanego samochodu. Jeden z policjantów podszedł do Józefy i Helmera, który zdążył już z bramy wyjść na ulicę.

– No, panienko, miała pani szczęście, że zjawiliśmy się w porę. Mam nadzieję, że skończyło się na siniakach.

– To dopiero okaże się jutro. Ale Helmer... on krwawi! Ci dranie go poranili. Boże, jak to dobrze, że panowie zdążyliście.

– Byliśmy tu już od godziny, proszę pani. Pan doktor Brunner uprzedził nas, więc urządziliśmy zasadzkę. Szukaliśmy tych łobuzów od dawna. To Algierczycy. No, chłopcze, zobaczymy co z tobą.

Józefa, niczym nastroszona papuga kakadu, nie odstępowała Helmera na krok.

– Mieszkasz w tym domu? Założę ci opatrunek i wezwę lekarza.

– Broń Panie Boże! – wtrąciła Józefa. – Licho wie, czy te wściekłe bestie nie zastawiły w mieszkaniu jakiejś pułapki. Chodźmy lepiej do mnie. Mieszkam u pani Gerlach, to tuż za rogiem. Możesz iść, Helmer?

– Uff! Co tu się działo? Wszystko mnie boli.

– Zagoi się. Oprzyj się na mnie. Idziemy do mojej ciotki.

– A mama?

– O mamę troszczy się kuzyn Ludwik. Wiedzieliśmy, że coś może wam się przytrafić, ale nic nie mówiliśmy, żeby nie martwić twojej mamy.

Helmer uśmiechał się nieco zakłopotany, że musi iść prowadzony przez policjanta i Józefę, ale mocno utykał, a rana na głowie krwawiła tak mocno, że strużki krwi spływały mu po twarzy. Józefa chciała je zetrzeć, ale policjant złapał ją za rękę.

– Niech pani nie dotyka rany. Zakrzepnięta krew to najlepszy opatrunek tymczasowy. Lekarz zrobi resztę. Trzymaj się mnie, chłopcze, idziemy.

– A kim pan jest? – Helmer najwyraźniej nie doszedł jeszcze do siebie.

– Policjantem – twoim przyjacielem i obrońcą.

– To oni już nic nie mogą mi zrobić?

– Są za kratkami. Nic ci nie grozi, młody człowieku. Policjant prowadził Helmera, a Józefa podniósłszy z ziemi tornister i podarty zakiecił chłopca, szła obok.

– Pan wie, dlaczego to zrobili, panie policjancie? – spytała.

– Nazywam się Ehrlicher, proszę pani. Wiemy, kim są te łobuzy. Musieli schować się w domu. zanim pan Brunner nas zawiadomił. Właśnie wczoraj złapaliśmy jednego fanatyka w Dortmundzie, gdy chciał rzucić bombę na francuskiego turystę. Zupełnie powariowali, proszę pani. Jak takimi metodami chcą pomóc swojemu narodowi?

Ciotka Ilza krzyknęła z przerażenia na widok pokrwawionego Helmera, ale nie wpadła w histerię. Zacisnęła tylko zęby i wycedziła: – Przekłęte dranie!

Wezwano lekarza, który obejrzał Helmera i opatrzył mu ranę na głowie. Józefa dzwoniła do fabryki, aby zawiadomić Ludwika o zajściu, ale nie było go w biurze i nikt nie potrafił powiedzieć gdzie jest, ani kiedy wróci.

Gdy odwoził Violę po południu do domu, nie wiedział nic o zajściu, które zdarzyło się w południe.

Na szczęście rana Helmera była tylko powierzchowna, a prócz kilku siniaków, lekarz nie stwierdził żadnych obrażeń.

Ciotka popatrzyła na Józefę, podparła się pod boki i rzekła krótko a zdecydowanie: ' "

– Marsz do wanny! Jako bohaterka nie wyglądasz imponująco: siniaki na kończynach i guz na czole. Suknia nadaje się tylko do pieca, a jeden z wysokich obcasów, z których byłaś taka dumna, pozostał pewnie jako trofeum na placu boju.

Józefa popatrzyła na siebie, potem spojrzała w lustro i wybuchnęła śmiechem.

– Jak ja wyglądam, ciociu! Czy dalej jesteś przekonana, że z tego da się zrobić prawdziwą damę? Hm, dobrze, że Ludwik... Gdzie ten człowiek się szwęda? Nie ma w biurze nic do roboty? Już sobie wyobrażam, że w przyszłości będzie się wałęsać, a całą robotę zwali na mój łeb.

– Znów zapomniałaś, że masz wyrażać się jak dama.

– Aha! Zaraz usłyszę, że jestem głupia i nic nie rozumiem.

– Nie ode mnie. Jestem głodna, a Helmer chyba też, więc nie marudź i szoruj do łazienki.

– Ciociu, jak ty traktujesz bohaterkę? – uśmiechnęła się i objęła lizę za szyję. – Szkoda, że cię tam nie było! Jednego kopnęłam w... no, dobrze w siedzenie i od razu kopyrtnął, a drugi, jak dostał w łydkę, to aż zawył. A mnie po prostu w brzuchu skręcało ze złości.

– Moim zdaniem, bohaterkę raczej nie skręca ze złości w brzuchu, one czują przypływ odwagi w sercu – uśmiechnęła się ciotka głaszcząc Józefę po włosach. – Musimy poczekać na powrót pani Senholm. Nie będziemy dzwonić do niej do fabryki, bo się biedaczka zdenerwuje. Zatelefonuję do domu około piątej.

Właśnie po tym telefonie Viola zdenerwowana i blada zapukała do drzwi mieszkania lizy Gerlach.

Staruszce aż lzy stanęły w oczach, gdy zobaczyła, jak piękna Szwedka objęła uratowanego syna i, całując go serdecznie, tuliła do siebie i pocieszała. Widać było, że ci dwoje, tak ciężko doświadczeni przez los ludzie, przeżyli niejedno nieszczęście tylko dzięki ogromnej miłości, która ich łączyła.

Gdy Viola już trochę ochłonęła, ciotka opowiedziała jej o wszystkim, co zdarzyło się od czasu, gdy zaniepokojony Kurt zadzwonił z Bizerty, jak potem ona sama, a także Józefa i Ludwik bacznie obserwowali, co dzieje się wokół niej i Helmera.

– Och, a czemu mnie nie uprzedziliście? Nie zostawiłabym syna ani na chwilę.

– Po pierwsze Kurt Schröder nie chciał, żeby panią niepokoić, więc inaczej musieliśmy zadbać o bezpieczeństwo. Po drugie, niech pani pomyśli – co najwyżej zmusiłaby pani tych fanatyków do zmiany planu, bo do rezygnacji – na pewno nie. A tak przynajmniej trafili za kratki i może być pani spokojna.

Viola nie znajdowała słów uznania dla Józefy za wszystko, co zrobiła dla Helmera. Dziękowała jak najserdeczniej umiała, mocno ściskając jej podrapane i posiniaczone ręce.

Dziewczyna czuła się zakłopotana i uśmiechała się niezręcznie.

– Proszę pani, to przecież nie tylko moja zasługa. Kuzyn Ludwik zawiadomił policję i to oni zrobili najważniejsze. A swoją drogą Ludwik mógłby wreszcie się pokazać, nawet jeśli już jego pomoc nie jest potrzebna. Herbata stygnie, a po podwieczorku na pewno poprawią nam się nastroje.

W końcu przyszedł, a gdy opowiedziano mu o zajściu, również gotów był okrzyknąć Józefę bohaterką, czemu zdecydowanie się sprzeciwiła: była młodą, rezolutną, zdrową dziewczyną, więc co? Miała stać i płakać?

Ludwik siedział na fotelu obok leżącego na kanapie Helmera i co chwila zerkał na Józefę, jej zdaniem, zbyt wyzywająco. Zrobiła kwaśną minę i popatrzyła na niego z ukosa.

– Nie chcę się wtrącać, kuzynie, ale byłoby dobrze, gdyby pan przyzwyczał się informować sekretarkę, że wychodzi i zostawia wiadomość, gdzie można pana w razie potrzeby znaleźć. Boję się, że w przyszłości, gdy będę mieć do pana jakąś ważną sprawę, mój drogi kuzyn przepadnie jak kamień w wodę. Plum! – wciągnęła policzki i zrobiła głupią minę.

Ludwik błądząc myślami zupełnie gdzie indziej nie był przygotowany na ripostę, ba, nie byłby w stanie jej udzielić! Patrzył na Józefę oczarowany, pełen podziwu, że zdobyła się na odwagę i dzielnie stawiała oprór dwu bandytom. Chętnie powiedziałby jej coś miłego, ale diablica gotowa go wyśmiać, rzucić poduszką, a kto wie czy na dokładkę nie pokazałaby mu języka. Lepiej nie ryzykować, przemilczeć przytyk i uwagę na temat przyszłej współpracy, i uśmiechnąć się słodko. Nie wiedział, że ten uśmiech zdradzał już coś, co działo się w jego sercu, a czego on nie dopuszczał w najśmielszych nawet planach.

Rozmawiał z Violą o jej sytuacji. Powtórzył dokładnie każde słowo, które Kurt wymienił w rozmowie telefonicznej, a także zapewnienia policji, że nie przestaną ochraniać pani Senholm i jej syna, dopóki podejrzani osobnicy nie trafią za kratki. Od dawna są w kontakcie z policją francuską i istnieją duże szanse, że najgroźniejsi terroryści nie mają już żadnej swobody działania.

Ludwik prosił Violę, by szybko napisała do Kurta list, aby mógł go jeszcze zawieźć na lotnisko i wysłać wieczornym samolotem do Paryża. Niech napisze mu o wszystkim, uspokoi go, ale niech nie liczy na rychłą odpowiedź, bo przecież nie wiadomo, gdzie teraz Kurt się włóczy. Trettier na pewno mu przekaze list. Sam zresztą też do niego napisze.

Viola patrzyła na Ludwika ze łzami w oczach.

– Drogi doktorze, tak bym chciała, żeby Kurt przestał wędrować po całym Maghrebie. Gdybym wiedziała dlaczego to robi, może bym potrafiła go przekonać, a tak pozostaje mi tylko czekać, aż znowu przypadkiem znajdzie dla mnie godzinę, czy dzień.

– Musimy pogodzić się z tym, że on po prostu taki jest, pani Violo. Ileż razy próbowałem porozmawiać z nim, poradzić mu, pomóc albo przynajmniej namówić do zwierzeń – na nic! Jestem jednak pewien, że Kurt jest niezwykle uczciwym człowiekiem i pod względem moralnym nie można mu niczego zarzucić. Na razie moje zapewnienie musi pani wystarczyć i niech go pani nie namawia, żeby wrócił do Niemiec. Wiem, że przyjedzie, ale dopiero wtedy, gdy sam zechce i uzna, że nadszedł właściwy moment. Mówię jednak zupełnie otwarcie, pani Violo: na tak zwane spokojne, mieszczańskie życie u boku Kurta niech pani nie liczy.

– Wiem, drogi doktorze. Ponadto obawiam się, że będę musiała wybierać między nim a Helmerem, bo przecież nie mogę zmuszać chłopca do tułania się z nami po świecie. Panie Ludwiku, gdyby zaszła taka potrzeba, czy mogłabym zostawić syna pod pańską opieką?

– Obiecuję to pani, tak jak obiecałem Kurtowi.

Ciotka Ilza czuła się tego wieczoru odstawiona na boczny tor, ale nie był to powód do obrażania się, wręcz przeciwnie; z przyjemnością obserwowała obie pary. Józefa została w sąsiednim pokoju z leżącym na tapczanie Helmerem, głaskała go czule po przewiązanej bandażem blond czuprynie i zabawiała rozmową. – Jak prawdziwa troskliwa matka! – pomyślała Ilza. – Obudził się w niej kobiecy instynkt, a więc „dzika” Józefa powoli się oswaja.

Kilka dni później, gdy emocje po tragicznych wydarzeniach już opadły, Józefa poszła z dawno zapowiadaną wizytą do swojego opiekuna.

Przed wejściem do kancelarii miała wielką ochotę dokuczyć aroganckiemu sekretarzowi i rzeczywiście – nie mogła się powstrzymać przed dodaniem do miłego pozdrowienia „wołowego cycka” Już nabierał powietrza, żeby zrewanżować jej się „głupią kozą”, gdy podniosła palec do góry i ostrzegła: – Tylko spróbuj, a zobaczysz! Nie jestem już prasowaczką, ale delikatną młodą damą.

– Akurat to widać!

– Kup sobie okulary, niedojdo!

Z panem Kunze przywitała się już jak na prawdziwą damę przystało, uprzejmie i serdecznie, jak zawsze zresztą. Musiał przyznać, że w ciągu kilkumiesięcznego pobytu w Genewie dokonał się prawdziwy cud.

– Usiądź, dziecko, i poopowiadaj o sobie. Jesteś zadowolona z nowego miejsca i nowego otoczenia?

– Niech mi pan wierzy, że nie było dnia, w którym nie dziękowałabym Panu Bogu za to, że jest dla mnie tak dobry. Świat jest cudowny, mimo że muszę piekielnie dużo się uczyć, a do tego cały czas uważać, by nie palnąć jakiejś gafy.

– Czego nauczysz się za młodu, na starość jak znalazł.

– Właśnie chciałam pana o coś prosić, panie Kunze. Z nikim innym jeszcze o tym nie rozmawiałam.

– Mów śmiało. Zobaczymy, czy potrafię spełnić twoją prośbę. Józefa zastanawiała się chwilę, gniotąc nerwowo chusteczkę, w końcu popatrzyła na notariusza i uśmiechnęła się z pewnym zakłopotaniem.

– Kilka dni temu. kuzyn Ludwik pokazał mi fabrykę, mówiąc, że był to pański pomysł.



Muszę przyznać, że nie byłam zachwycona, chociaż panowie dyrektorzy przyjęli mnie nadzwyczaj miło. Wie pan, znacznie lepiej rozmawiało mi się z robotnikami. Ściskaliśmy sobie ręce, żartowaliśmy i było wspaniale.

– Cieszę się, drogie dziecko. Jesteś inteligentna i poradziłaś sobie znakomicie bez niczyjej pomocy.

– Hm, kuzyn Ludwik próbował objaśniać mi różne skomplikowane rzeczy, ale ja nic, a nic z tego nie kapowałam. Pytać jednak nie chciałam. Tak sobie pomyślałam, że w przyszłości, gdy będę szefową, muszę coś wiedzieć o tej nieszczęsnej fabryce, bo przecież nie będę biegła za kuzynem i pytała o każdy drobiazg. To byłoby idiotyczne.

– Obawiam się, że tego uniknąć się nie da, drogie dziecko.

– Pomyślałam, że gdyby pan się zgodził, mogłabym w Genewie znaleźć kogoś, kto potrafiłby mnie nauczyć czegoś o fabryce, ale w taki sposób, aby kuzyn Ludwik się o tym nie dowiedział. Chyba w Szwajcarii znajdzie się taki specjalista, choć niekoniecznie musi on znać tajemnice firmy Schottlera. Myśli pan, że byłoby to możliwe?

– Patrzcie, patrzcie! Zaczynam podejrzewać, że twój ojciec kierował się przecuciem, gdy nieznamym dziewczynie przekazywał tak wspaniały podarunek. Hm, muszę przemyśleć twoją propozycję. Wydaje się interesująca i cieszę się, że chcesz się uczyć czegoś więcej. Nie chcesz naprawdę, żeby kuzyn o tym wiedział?

– W żadnym wypadku! W każdym razie nie teraz. Poczęstowałam go niedawno cytatem z literatury o dziedzictwie po ojcach, to on, małpizjon głupi, zrobił taką minę, jakby gryzł cytrynę. A później sam przyłazł z cytatem, że człowiek rozwija się, gdy ma jakiś szczytny cel. Ja mam ten cel i zobaczymy, kto tu kogo prześcignie!

Notariusz uśmiechnął się dobrotliwie i pogłaskawszy Józefę po włosach rzekł:

– Sądzę, że jako twój prawny opiekun, mam prawo decydować, czego powinnaś się uczyć. Zostanie to między nami, a gdy znajdę w Genewie odpowiedniego informatora, skontaktuję cię z nim. Ostatecznie stać nas na zapłacenie temu panu honorarium jakiego by nie zażądał.

– Pięknie! Kuzyn Ludwik padnie ze zdumienia, gdy przekona się, że nie jestem wcale taka zielona, jak myśli – klasnęła w dłonie uradowana.

– Chyba zemdlenie pana Brunnera nie jest jedynym celem twojej inicjatywy? – zaśmiał się starszy pan.

– Nie jedynym, ale istotnym – rzekła bez zastanowienia. – A przy okazji: niech pan nie wspomina o tym ciotce lizie. Ale mam jeszcze jedną prośbę, a boję się, że pan mnie źle zrozumie. Ja naprawdę nie chcę zadzierać nosa, proszę mi wierzyć.

– Mów jaśniej, dziecko, bo naprawdę nie wiem, o co chodzi.

– O dziewczęta z pralni. Przejeżdżałam tamtędy z ciotką, ale nie weszłam do środka. No, wie pan, noszę teraz eleganckie suknie, dobrze mi się powodzi, uczę się, a wszyscy są dla mnie bardzo mili. Tym dziewczętom byłoby żal, nieprawdaż? Starszy pan przytaknął uśmiechając się.

– I dlatego chciałabym, żeby pan jeszcze raz posłał im po pół funta sękacza i moje najlepsze pozdrowienia. Niestety, wydałam już kieszonkowiec na jakieś drobiazgi potrzebne

mi w Genewie i do pierwszego zęby w stół! – uśmiechnęła się nieco zażenowana, a wyglądała przy tym czarująco.

Notariusz zanotował sobie coś na kartce i nie patrząc na Józefę spytał.

– A może dać ci zaliczkę?

– O nie! Naprawdę. Dopóki jestem u ciotki, niczego nie muszę kupować. Mam wykupiony bilet do Genewy i jakieś dziesięć marek drobnych.

– To dobrze. Załatwię tego sękacza, a o informatorze napiszę ci do Genewy.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę o pensjonacie, o koleżankach, natomiast o bójce z Arabami Józefa nie wspomniała ani słowem, ponieważ Ludwik prosił, żeby o zajściu jak najszybciej zapomnieć i nie mówić nikomu.

Pożegnali się bardzo serdecznie, a starszy pan odprowadził swoją podopieczną aż do drzwi wiodących na korytarz. W tej sytuacji Brunonowi dostał się tylko krótki, ale wiele mówiący grymas.

## XI

Kurt Schröder załatwił już interesy w ElAïoun w Sacharze Zachodniej i przywędrował do Tetonau na północy Maroka. Nie wiadomo, czy spowodowała to świadomość, że ostatni raz organizuje saharyjską wyprawę, ale podróż wcale go nie bawiła, wydawała mu się męcząca i nudna, a jazda na wielbłądzie chyba pierwszy raz w życiu nie sprawiała mu żadnej radości. Od wyjazdu z Bizerty towarzyszył mu dziwny niepokój, tym bardziej dokuczliwy, im dalej znajdował się od chociażby śladów cywilizacji. Marzył o znalezieniu telefonu, a kołyszący chód wielbłąda, czy ślamazarna jazda rozklekotanym autobusem wprost doprowadzały go do szału.

W Tetouanie, niczym spragniony wielbłąd u wodopoju, Kurt rzucił się do telefonu, a gdy w słuchawce usłyszał znajomy głos starego nieponia Trettiera, odetchnął z wyraźną ulgą. Kilka zwyczajowych pytań i odpowiedzi z obu stron, a gdy padły słowa o dwóch listach lotniczych z Niemiec, Kurt rzekł krótko: „Przyjeżdżam!” i chciał odłożyć słuchawkę, ale powstrzymał go płaczący głos Trettiera po drugiej stronie telefonu.

– Powiedz przynajmniej, łobuzie, czy interes się udał?

– Udał się – mruknął Kurt. – Mój zysk leży już na koncie w Madrycie.

Najchętniej poleciałby do Tunisu już dziś, ale musiał poczekać do następnego ranka. Wciśnięty w nowiutki smoking spędził wieczór w eleganckiej hotelowej restauracji, ale ani ogniste tańce brzucha, ani wyszukane dania nie były w stanie poprawić jego nastroju. Portierowi, który przyniósł mu bilety lotnicze, wręczył tak sowity napiwek, że zdumionemu aż fez przekreślił się na głowie.

Nazajutrz rano dwaj przyjaciele ściskali się i obejmowali w domu Trettiera, jakby sprawdzali, czy w czasie rozłąki nie ubyło im żeber. Kurt pochwalił się udaną misją w Rio de Oro. Zarobili na transakcji więcej niż przypuszczali i to na razie musiało Trettierowi wystarczyć, gdyż Kurt porwał oba listy z Niemiec i zaszył się z nimi w kącie drugiego pokoju.

Opalony jak Murzyn, wychudły jak pies, opadł zmęczony na fotel. Od którego listu zacząć? Od ukochanej kobiety, czy od Ludwika? Otworzył kopertę zaadresowaną ręką przyjaciela. Dla Violi potrzebować będzie więcej czasu i spokoju, by nacieszyć się każdym jej słowem.

*Drogi stary lisie! Tylko jeden Bóg wie, kiedy mój list trafi do Twoich rąk, ale chcę Cię zawiadomić, że wczoraj (popatrz dobrze na datę u goryl) policja aresztowała trzech Algierczyków, członków terrorystycznej grupy siejącej postrach w całej Europie. Jak do tego doszło, napiszę Ci za chwilę, . a teraz musisz zadowolić się moim zapewnieniem, że Viola i Helmer czują się dobrze i nic im się nie stało.*

Opisał po kolei przebieg wypadków od chwili, gdy ciotka Ilza zauważyła podejrzanego taksówkarza, aż po dzień, gdy kuzynka Józefa uniemożliwiła porwanie Helmera jako

zakładnika, by wymusić na Violi zeznania interesujące terrorystów.

*Teraz, gdy są już za kratkami, niebezpieczeństwo zostało zażegnane, ale to nie moja zasługa lecz Józefy, więc jej należą się Twoje podziękowania. Gdyby nie jej odwaga i zdecydowanie, kto wie, czy nie doszłoby do nieszczęścia.*

*Czy nie sądzisz, stary włóczęgo, że nadszedł już czas, byś ty zajął się Twoją rodziną i osiadł wreszcie na stałe? Nikt nie oczekuje od Ciebie, że nagle staniesz się mieszcuchem, ale na jakieś ustabilizowane życie chyba Cię stać?*

*Viola jest zadowolona z pracy w dziale zagranicznym, a ja z niej. Helmer uczy się dobrze ^rośnie i z dnia na dzień ma coraz jaśniejsze włosy i cerę. O dziwo, bardzo przypadli sobie do gustu z moją kuzynką Józefą.*

*Okiełznaj wreszcie swoją pustynną fantazję i pędź przez lądy i oceany wprost w ramiona tych, którzy Cię kochają.*

*Twój przyjaciel Ludwik*

Kurt zbladł i zaniepokojony popatrzył na Trettiera, który taktownie udawał, że ma coś pilnego do załatwienia przy swoim biurku.

Westchnął ciężko, odłożył list Ludwika i sięgnął po ten od Violi. Czytał, głęboko wzruszony, piękne słowa, których dotychczas nigdy jeszcze od niej nie słyszał. Tęskniła, prosiła, by nie zostawiał jej zbyt długo samej. Doceniała wszystko co dla niej i Helmera zrobił, ale chciałyby wiedzieć, na co może liczyć w przyszłości.

Kurt wzruszony przyłożył szeleszczący papier, pokryty pismem ukochanej osoby do ust, bez żadnego wstydu. Schował go pieczołowicie do portfela, a list Ludwika rzucił Trettierowi na biurko:

– Przeczytaj i powiedz, co o tym myślisz.

– Po niemiecku? Nie jestem uczoną papugą.

– Racja, jesteś niedouczonej żabojadem. Przeczytam ci ten list na głos, po francusku. Nadstaw dobrze ucha, stary draniu, i podziwiaj.

Trettier rzeczywiście kręcił z podziwu głową słysząc o napadzie na Helmera i sposobie, w jaki chłopca uratowano.

– No i co powiesz? – spytał Kurt na koniec.

Sacrebleu! – zaklął po francusku i dotknął dłonią spoczonej łysiny, patrząc z przerażeniem w oczach na Kurta.

– Wyglądasz, jakbyś chciał zemdleć, stary draniu! Na szczęście sprawa jest załatwiona i ani Violi, ani Helmerowi już nic nie zagraża. Co za ludzie! Cholerne wściekłe psy. Jak można zaatakować niewinnego chłopca, by załatwić swoje brudne polityczne porachunki? – Kurt, zdenerwowany, drapał się po blond czuprynie. – Nie sądzisz, że po tym wszystkim nie mogę tu dłużej zostać? Wracam do Niemiec. Pieniędzy mam dość, ty zresztą też, więc nie rób takiej miny, jakbyś miał się rozplakać.

– Chcesz zostać mieszcuchem? Chyba sam w to nie wierzysz.

– Na pewno nie takim, jak sobie wyobrażasz, co to codziennie wychodzi o ósmej do

biura, a wieczorami albo czasem pójdzie do kina, albo zasypia wszędzie, niekoniecznie tutaj. „Afryka dla Afrykańczyków” – nie słyszałeś tego hasła? Co powiesz na południową Francję? Rzucę się na owoce cytrusowe.

– Byle nie zbyt energicznie, chyba że chcesz handlować od razu przecierem.

– Stary nicponiu, już zwietrzyłeś interes i wiem, że się przyłączysz. Daktyle, figi, morele, owszem, ale wyłącznie suszone. Z drzew nie zamierzam ich zbierać. Koniec z Afryką, wielbładami i bezkresną pustynią – ostatnie zdanie Kurt wymówił powoli, z nostalgią, jakby żegnał się z czymś, co od lat kochał, ubóstwiał: z Saharą i jej tajemnicami. – A więc, klamka zapadła – dodał.

„Hurtownia owoców południowych – Schröder and Trettier”. W Marsylii, czy gdzie indziej na Lazurowym Wybrzeżu?

– O, czyżbym się przesłyszał? Monsieur Trettier również zostawia Afrykę dla Afrykańczyków i przenosi się do Marsylii?

– A co ja tu pocznę bez ciebie? Co się stanie z Afryką, gdy ciebie zabraknie? – narzekał grubasek.

– Pozostanie nadal cudownym kontynentem, chociaż z pewnością nie tak spokojnym jak dawniej. Ktoś podłożył dynamit, a ja mam serdecznie dosyć beczek z prochem. Jak ja mogłem żyć bez porządnej willi gdzieś pod Cannes lub Marsylią?

– Zdrajca, drań i łobuz! Wypijmy za twoje plany, stary. Niech ci się wszędzie wiedzie. Koniec z tańcami brzucha i urokami Orientu.

Józefa wróciła do Genewy. Pożegnanie z ciotką lizą nie przyszło jej łatwo. Jeszcze dziś, otulona w zimowy płaszcz, czuła ciepło gorących uścisków ciotki. Tuż przed wyjazdem wybrały się do nie zamieszkałej od śmierci Hugona willi Schottlerów. Józefa aż oniemiała z wrażenia, że można mieszkać w takim luksusie i przepychu. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że za rok będzie to jej dom.

– Ciociu, czy naprawdę muszę się tu wprowadzić? Nie lepiej byłoby przeznaczyć tę piękną willę na muzeum? Sama w tyłu pokojach... Co wieczór kłaść się spać w innym pomieszczeniu, nie, to nie dla mnie. Wolalabym pozostać w twoim mieszkaniu.

– Nic z tego, dziecko! Rozkaz to rozkaz, a skoro tak życzył sobie twój ojciec, nie pozostaje ci nic innego jak pogodzić się z losem. Gdy tu zamieszkasz, dom nie będzie tak pusty. Zaangażuje się służbę, ustawi kwiaty, a jeżeli będzie ci mało, możesz trzymać tu jeszcze sforę psów, kotów i innych zwierzaków sikających po kątach.

– Ale i tak będę tu przeraźliwie samotna – rzekła rozglądając się po przestronnych pokojach i nagle uśmiechnęła się radośnie: Ty, ciociu, musisz zamieszkać tu ze mną! Potrzebuję przecież damy do towarzystwa. Jak mogłabyś zostawić młodą, niedoświadczoną dziewczynę samą w tak ogromnej willi? To wręcz nie wypada.

– Patrzenie ją! Nie wypada... A jeżeli nie zechcę zamieszkać z tobą, to mnie zmusisz?

– Jeżeli nie zechcesz po dobroci... Możesz, oczywiście, zatrzymać swoje mieszkanie, kiedy ja wyjadę, wrócisz sobie do niego, ale nie zostawiaj mnie tutaj samej. Błagam, ciociu! – prawie ze łzami w oczach patrzyła na ciotkę.

Ilza pogłaskała ją po głowie.

– Skoro tak prosisz... Ale gdy tylko wyjdiesz za mąż, pozwolisz mi wrócić do mojego przytulnego mieszkania. Obiecujesz?

– Ja za mąż? Chyba cię zaćmiło, ciociu. A któżby mnie chciał? Wszyscy mężczyźni są głupi, a zadzierają nosa jakby pozjadali wszystkie rozumy. Jeżeli powiem coś nie tak albo mi nie wyjdzie, nabijają się i kręcą znacząco głową. Wyjść za takiego? Nigdy! Wolę zostać starą panną.

Ilza bawiła się znakomicie. Portret mężczyzn kreślony przez Józefę pasował jak ulał tylko do jednego z nich: Ludwika Brunnera! No, no, coś tu się święci.

– To się jeszcze okaże. W najbliższych tygodniach spotkam się tu z mecenasem Kunze, więc powiedz mi przynajmniej, które pokoje mogę mieć do swojej dyspozycji.

– Wszystkie, ciociu! Zostaw mi tylko jeden malutki i osobną łazienkę. Bardzo chciałabym wreszcie mieć łazienkę wyłącznie dla siebie.

– Hm! Ja akurat nie muszę szwędzać się po wszystkich pokojach. Nic z tego, szkrabie. Chcę mieć tylko malutki pokoik i wreszcie łazienkę tylko dla siebie – uśmiechnęła się i uszczypnęła Józefę w nos. – Porozmawiam o tym z panem Kunze, bo on musi zdecydować, ile pieniędzy można przeznaczyć na urządzenie domu, a nie ty, smarkata! Jeżeli chcesz coś zmienić w pokojach, masz do tego pełne prawo.

– Naprawdę? Pracznka urządza pokoje... No nie! Niczego nie zmieniać! Chciałabym mieć przynajmniej te piękne meble, które wstawiłaś do mojego pokoiku w twoim mieszkanku. Reszta może zostać tak jak jest teraz. Spytaj proszę, ciociu, mojego opiekuna, czy będę mogła sobie kupić dwa rozkoszne jamniki, gdy zamieszkać w willi.

– Widzę już te piękne perskie dywany pogryzione przez twoje pełne temperamentu czworonogi, chociaż nie jestem w gruncie rzeczy przeciwniczką trzymania psów w domu. Będziemy o tym rozmawiać, także z Ludwikiem, który kiedyś mieszkał w tej willi i jeszcze trzyma w niej jakieś swoje graty. Twój ojciec nie chciał, aby siostrzeniec mieszkał tu z tobą, i chyba miał rację.

– Tego by brakowało, żebym codziennie musiała spotykać się z tym zarozumialcem nawet przy śniadaniu. Dość, że będę go tolerować przez cały dzień w biurze.

– Aż tak nie lubisz kuzyna Ludwika? – spytała patrząc spod oka na reakcję Józefy.

– Czy w ogóle ktoś go lubi? Może gdyby nie był moim krewnym, traktowałabym go bardziej wyrozumiale, ale w tej sytuacji? Absolutnie!

– Jasno i zdecydowanie – uśmiechnęła się Ilza. – Byłaś i pozostaniesz nieugięta, czy tak? A może być spróbowała pokazać, że stać cię na wspaniałomyślność jak prawdziwą, dobrze wychowaną panienkę?

Józefa zamyśliła się, a po chwili wzruszyła ramionami i rzekła:

– Jest dla kogo wysilać się?

– Chociażby dla mnie, żeby sprawić mi radość. Nie możesz przecież każdemu mówić prawdy prosto z mostu tylko dlatego, że akurat masz na to ochotę albo jesteś w złym humorze.

– Ciociu, dla ciebie jestem zawsze miła, dla Helmera również, i dla mojego opiekuna. Głupi Bruno z kancelarii pana Kuncego zaczyna mnie, więc nie mogę pozostać mu dłużna,

ale do pani Senholm, sama przyznasz, od początku odnosiłam się grzecznie.

– O ile sobie przypominam, miałaś wielką ochotę wziąć ją na rogi. Dlaczego? – spytała Ilza nie patrząc na Józefę. Udawała, że przygląda się rąbkowi welurowej zasłony, który gniotła w rękę. Nie czekając na odpowiedź, dodała: – No, moja droga, będziesz musiała głęboko sięgnąć do kiesy; zasłony się rozsypują, a okien w willi jest sporo.

– To dobrze, przynajmniej będę miała na co wydawać te cholerne pieniądze – rzekła zadowolona, że nie musi odpowiadać na poprzednie, kłopotliwe pytanie ciotki. Chwyciła zasłonę i obojętnym tonem spytała:

– Dlaczego właściwie kuzyn Ludwik się nie żeni?

– Wielkie nieba! Też wymyśliłaś sobie zmartwienie. W końcu to jego problem, a jak długo go znam, to na ten temat nie usłyszałam od niego ani słowa. Widocznie starokawalerskie życie mu odpowiada. Chcesz zobaczyć jeszcze kuchnię i pomieszczenia gospodarcze?

– A muszę, ciociu? I tak nie umiem gotować, więc szkoda czasu. Chociaż ze złości czasami gotuję, a wtedy wszystko idzie mi jak z płatka.

– Lepiej, żeby młodej damie kipiał ryż niż gdyby sama miała kipieć ze złości. Zanotowałam sobie wszystko, czego sobie szanowna panienska życzy, a czasu mam dość, żeby dopilnować, by zostało zrealizowane. Zobaczysz, jak szybko tu wrócisz. Dwa, trzy razy przyjedziesz na ferie, a potem już jako świeżo upieczona szefowa fabryki Schottlera.

– Jeżeli mam być szczerą, to tego dnia obawiam się najbardziej. Prasowanie koszul szło mi znacznie lepiej – pociągnęła nosem i obiema rękoma odgarnęła gęste włosy, patrząc na uśmiechającą się ciotkę. – Dobrze ci się śmiać, ale to ja, zwykła praczka, będę musiała cały czas uważać, żeby nie palnąć jakiejś gafy i, broń Boże, nie unieruchomić ogromnej fabryki.

Ciotka chwyciła w pełną garść włosy Józefy i rzekła:

– Cała jesteś jak one: zwichrzone, dzikie, zachwycające i niezwykle... Chodźmy, muszę jeszcze upiec ciasteczka, bo nie będziesz miała nic na podróż.

Józefa objęła ciotkę, a całując ją w oba policzki, spytała po cichu:

– Chyba nie chciałaś powiedzieć, że moje włosy są piękne?

– Nie tylko one, ale całe dziewczę jest piękne. To chciałam powiedzieć, a teraz nie marudź, bo jestem głodna, a jak nie wypiję herbaty o określonej godzinie, to do końca dnia mam zepsuty humor.

Kilka dni później Józefa była już w Genewie i szybko zapomniała o wakacjach, choć ciągle jeszcze któraś z dziewczyn wracała do wspomnień. O swojej awanturze z terrorystami opowiedziała już pierwszego dnia, budząc zrazu podziw koleżanek, a potem także zazdrość, bo żadna z nich nie mogła pochwalić się równie bohaterским wyczynem. Potem wróciła szara codzienność i nawał zajęć.

## XII

Ludwik, któremu Józefa zdążyła jeszcze przed wyjazdem kilka razy zaleźć za skórę, nie okazał ani odrobiny żalu, że nie będą się widywać, ale gdy tylko wsiadła do pociągu, ogarnął go tak zwany „świński nastrój”, jak mawiają wojskowi.

Stał przy oknie w swoim mieszkaniu i bez celu gapił się przez okno. Bezwiednie zaczął wodzić palcem po zaparowanej szybie i kolejny raz wyszedł mu portret albo sylwetka dziewczyny do złudzenia przypominające Józefę. Zabierał się za „zamalowywanie” następnej szyby. Cofnął się o krok, uśmiechnął, coś poprawił i nagle stwierdził, że za plecami stoi stary lokaj Bruno. Wrzasnął przerażony.

– O Boże! Paniczu, pali się? – lokaj też się przestraszył.

– Okna umyć! Sto lat już chyba nie widziały szmaty i można na nich pisać. O! – podszedł i energicznym ruchem starł swoje rysunki czystą chusteczką, a podsuwając ją Brunonowi pod nos, warknął. – *t* Sam zobacz!

– Za pozwoleniem, ta nasza sprzątaczką to jednak brudas.

– Możesz jej to powtórzyć i dołączyć pozdrowienia ode mnie.

– Poza tym...

– Poza tym nic więcej. Starczy na dziś, zwłaszcza że o sprzątaczkę trudniej niż o głównego księgowego.

– Wydaje mi się, że...

– Bruno, jesteśmy tego samego zdania, więc nie ma o czym mówić. Nawet w czasie wojny okna w bunkrze były czystsze, by nikt nie wypisywał na nich głupstw.

– Ale mi się wydaje, że ktoś dzwoni, proszę pana – Brunonowi udało się wreszcie dojść do słowa.

– To idź i zobacz, komu zachciało się przerywać mi poobiedni odpoczynek.

Gdy staruszek podreptał do drzwi, Ludwik dokładnie sprawdził, czy na szybach nie zostały ślady po wizerunkach Józefy.

Z korytarza doszedł go głos, który skądś wydawał mu się znajomy, ale zanim zdążył go zidentyfikować otworzyły się drzwi i stanął w nich... Kurt, promieniejący niczym bóg Słońca, we własnej osobie, i z rozwartymi ramionami podchodził do Ludwika.

– Masz mnie tu, stary!

– Kurt, nicponiu! Ty tutaj? – objęli się serdecznie i długo poklepywali po ramionach, tak mocno, że zwykły człowiek dawno by już doznał wstrząsu mózgu. Stary Bruno pomyślał od razu, że o myciu okien raczej nie będzie mowy, a trzeba rozejrzeć się, czy w barku jest wystarczający zapas whisky. – Chłopie, aleś mi sprawił niespodziankę! Czarny jak Murzyn, a chudy jak pies...

– Powiedz jeszcze, że twardy jak stal, a zdzielię cię w kark. Nie do wiary! Ja w Niemczech, w twoim mieszkaniu! Co u Violi? Byłem pod jej domem, ale nikt nie otwiera. Jak chłopiec? Wszystko w porządku?

– W najlepszym. Siadaj, a Bruno przyniesie coś konkretnego. Viola pilnie pracuje u



Schottlera, a Helmer ma jeszcze wakacje i wybrał się z kolegami na przejażdżkę rowerową. No, mów, co u ciebie?

– Długo albo krótko?

– To drugie proszę.

– Więc słuchaj: koniec z włóczęgą, szybko ślub i wyjazd z Violą na Riwierę, gdzie znajdziemy sobie willę, w której oprócz kilku tygodni wakacji będziemy mieszkać na stałe.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, stary, że wreszcie zdecydowałeś się na osiadły tryb życia.

– Pieniądzy mam jak lodu, a tułaczka już mi obrzydła, w końcu ciągle o samo. Mógłbym się wybrać na inny kontynent, ale raz, że jestem już na to za stary, a dwa – dla Violi włóczenie się po świecie nie byłoby wskazane – rozpoczął swoją opowieść, z której Ludwik po raz pierwszy dowiedział się, co Kurt naprawdę robił przez tyle lat w Afryce.

Okazało się, że głównie podejmował niezbyt ryzykowne wyprawy na Saharę handlując drobiazgami. Zaprzyjaźnił się z mieszkańcami oaz, gdzie zawsze mógł liczyć na pomoc w razie niebezpieczeństwa. Wraz z Trettierem, doskonałym znawcą Afryki, który spod ziemi zdobywał interesujące informacje, handlowali na skraju pustyni towarami, których brakowało bądź na północy, bądź na południu, zarabiając krocie na różnicy cen. Teraz grubas Trettier również wyniósł się z coraz bardziej niebezpiecznego Maghrebu i zamierza osiąść w Europie.

– To wiesz już najważniejsze i chyba nie wątpisz, że wywozłem z Afryki czyste ręce? Handel narkotykami, bezwzględnie najopłaczniejszy w krajach arabskich, nigdy nas nie interesował, zwłaszcza że mieliśmy wszędzie zaprzyjaźnionych handlarzy, którzy dobrze płacili za normalne towary. Trzymaliśmy się z daleka od polityki i dlatego nie mieliśmy wrogów, słowem: siedzę przed tobą czysty jak anioł po kąpieli!

– Stary nicponiu. Nie znajduję słów na wyrażenie radości, ale sam najlepiej wiesz, co czuję. Zadzwoń zaraz do Violi, ale muszę powiedzieć jej prawdę, bo jeszcze biedaczka pomyśli, że znów zdarzyło się nieszczęście.

Kurt podszedł do jego fotela i podsłuchiwał, co mówi przez telefon.

– Halo! Pani Violo, mówi Ludwik. Niech pani natychmiast wraca do domu: mamy gościa. Chyba nie muszę mówić, kto przyjechał? Wiedziała pani? Siedzi tu i podsłuchuje. Proszę przyjechać do mojego mieszkania. Zaraz zadzwonię do sekretarki, żeby podstawiono pani służbowy samochód. Tak, powtórzę to Kurtowi – odłożył słuchawkę i uśmiechnął się.

– Co miałaś mi powtórzyć? – zaniepokoił się Schröder.

– Że jest ogromnie szczęśliwa, słysząc, że przyjechałeś.

– Pięknie. Ile to potrwa, zanim dojedzie?

– Jakieś dziesięć minut. Zniknę gdy tylko Viola przyjdzie, bo nie mam wątpliwości, że gotów jesteś wyrzucić mnie z własnego mieszkania. Wolę odejść dobrowolnie.

– I dobrze zrobisz. Tymczasem możemy jednak jeszcze porozmawiać. Co nowego u ciebie, u tej małej, u ciotki?

– U mnie nic, a mała... – Ludwik spojrzał, czy na szybach nie zostały jakieś ślady – ... jest już w Genewie i uczy się, co w przyszłości bardzo jej się przyda.

– Nie spocznesz, dopóki nie przytniesz jej do szablonu prawdziwej damy, która w

dotadku zachowuje się jak wielka księżna, co?

– Wiesz przecież, że była prasowaczką, a wkrótce ma zostać szefową firmy Schottlera. Wuj miał absolutnie rację, gdy kazał ją najpierw wysłać na dwa lata do Genewy, a i tak jestem przekonany, że to za mało i spodziewam się niemało trudności, gdy będziemy musieli oboje współpracować.

– Masz szczęście, że dziś już nie pisze się atramentem.

– Dlaczego? Nie rozumiem do czego zmierzasz.

– Rzucanie do siebie kałamarzami działa i odprężająco, i odświeżająco na rozpalone głowy – Kurt uśmiechnął się i ciągnął dalej – w Genewie zrobią z niej prawdziwą damę, a szkoda, bo ja wolałbym poznać ją taką jaka była dotychczas. Wyobrażasz sobie, jak bardzo jestem jej wdzięczny za uratowanie moich najbliższych od nieszczęścia? Szkoda również, że jest już bogata, bo oddałbym jej połowę mojego majątku, a nawet cały, gdyby zażądała.

Ludwik wstał i położył ręce na ramionach przyjaciela, który nagle przybrał poważną minę.

– Doskonale cię rozumiem, stary, ale na pewno znajdziesz inny sposób na podziękowanie Józefie. Powiem ci tylko na koniec, bo już podjechał mój służbowy samochód, że ciotka Ilza czuje się znakomicie. Będę w swoim gabinecie. Gdybyście chcieli mnie widzieć to wrzaśnij tylko, jak wtedy w okopach, gdy darłeś się jak potępieniec.

Wyszedł, a Kurt wlepiął pełen miłości i tęsknoty wzrok prosto w drzwi. Otworzyły się.

Patrzyli na siebie bez ruchu jak urzeczeni. Viola, blada jak chusta, uśmiechała się, ale cała radość wprost tryskała z jej pięknych, jasnych oczu.

– Powoli, jakby bał się przestraszyć ją ogromem swoich uczuć, szedł ku niej, położył ręce na ramionach i pochylił głowę tak, że dotknęli się czołami. Po cichu, ledwo dosłyszalnym głosem rzekł:

– Za to, że cię widzę, dotykam, wiem, iż jesteś moja – za to wszystko dziękuję Bogu z całego serca.

– Kocham cię, Kurt – tylko tyle zdołała wykrztusić.

Objął ją i przytulił mocno. Ich usta zwały się w namiętym pocałunku, pierwszy raz po tylu latach prawdziwej, a jakże tragicznej miłości. Wreszcie są razem, złączeni planami i tęsknotą za wspólną przyszłością.

– Violu, droga do twojego serca była dla mnie i długa, i ciężka, ale w końcu doszedłem, i nie ma takiej siły na świecie, która zdołałaby odebrać mi ciebie. Kocham cię!

Pochyliła głowę, a łzy szczęścia i spełnionych nadziei popłynęły strużkami po jej policzkach. Całował najpierw te łzy, potem oczy. Tyle słów wystarczyło, by wzajemnie mogli wypowiedzieć ogrom miłości, która ich łączyła.

### XIII

Józefa uczyła się, aż jej w głowie huczało od nadobowiązkowych zajęć, na które się zapisała, by skorzystać z pobytu w pensjonacie jak najwięcej. Mecenas Kunze oczywiście spełnił przyrzeczenie i znalazł w Genewie specjalistę, który wprowadziłby Józefę w tajniki funkcjonowania fabryki chemicznej. Doktor Stubeli zjawiał się dwa razy w tygodniu w pensjonacie madame Sosbell i przedstawiał przyszłej właścicielce fabryki Schottlera przebieg procesów technologicznych, z którymi prawdopodobnie zetknie się w praktyce. Uzgodniono, że o tych zajęciach nie dowie się nawet ciotka Ilza, bo gotowa w rozmowie z Ludwikiem przypadkiem się wygadać. Do najbliższych ferii pozostało już niewiele dni i Józefa nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie odpocznie trochę, a przede wszystkim uściśnie ukochaną cioteczkę.

Był chłodny i wietrzny jesienny dzień, gdy pokojówka Betty zawiadomiła Józefę, że przyjechali goście. Dzisiaj? W powszedni dzień? Pewnie kuzyn Ludwik, może z Helmerem? Serce zabiło jej niespokojnie, zbladła i czuła, że drżą jej kolana. Przede wszystkim spokój. O co znowu chodzi? Pewnie trzeba podpisać jakieś dokumenty, ale pan Kunze uprzedziłby listownie o przyjeździe Ludwika. A może to tylko kurtuazyjna wizyta? To mu się dostanie małpisonowi! Nie, w końcu nie wypada mi dokuczać. Wiadomość o wizycie nie poprawiła jej złego nastroju ani trochę.

Betty przepytywana o gości zdradziła wreszcie, że pan jest bardzo opalony, a towarzysząca mu dama jest blondynką.

Józefa dalej nie wiedziała, o kogo chodzi. Mniejsza z tym. Madame Sosbell zgodziła się na wizytę, więc nie ma się o co martwić. Ubrała się w granatową prostą sukienkę, w której było jej bardzo do twarzy.

Niepewnie otworzyła drzwi saloniku, gdzie czekali goście, i dostrzegła stojącego przy oknie nieznanego i siedzącą w fotelu damę. Boże! Przecież to mama Helmera!

Podbiegła do niej i przywitała się.

– Och, pani Senholm! To wspaniale, że pani mnie odwiedziła. Jak się pani miewa? Co u Helmera?

– To ona, Violu? – usłyszała tubalny głos od okna.

Viola skinęła, a Józefa nim się obejrzała, została porwana w silne męskie ramiona i mocno przytulona do piersi.

– Dziewczyno, za pani odwagę i zdecydowanie będę wdzięczny do końca życia!

Nie wiedziała, co się dzieje. Opalony nieznanomy przytulał ją raz po razie, patrzył roziskrzonymi oczyma i pochylał blond głowę, całując Józefę po rękach jak jakąś księżnę.

– Pani Senholm! – wyrwała się i zza pleców Violi patrzyła z wyrzutem na Kurta. – Co to za jeden?

– Kuzyn Ludwik opowiedział pani naszą historię. To jest Kurt Schröder, który uratował mnie i Helmera z opresji, gdy mieszkaliśmy w Algierze.

– Musi być pani szczęśliwa, że ten pan przyjechał. Ale dlaczego akurat mnie ściska i

całuje po rękach? – uśmiechnęła się przypomniawszy sobie, jak obejmował ją i podrzucił jakby była workiem siczki.

– Niech pani o nic nie pyta. Jestem pani winien dozgonną wdzięczność.

– Tylko za co? Wcale pana nie znam – zaśmiała się i próbowała wyrwać rękę, które znowu trzymał i próbował pocałować. Nie puszczał.

– Już pani wie, jak się nazywam. A dziękuję za wyrwanie z rąk algierskich fanatyków dwojga najdroższych mi osób: Violi i Helmera. Niech pani żąda ode mnie czegokolwiek, spełnię każde pani życzenie. Chętnie i ze szczerego serca.

– Co bypan powiedział, panie Schröder, gdybym najpierw poprosiła o uwolnienie moich rąk?

– Och, wy kobiety! Człowiek chce oddać wam całe serce, całą duszę, wznosi się na wyżyny, a tu nagle dostaje prztyczka w nos! – Kurt puścił rękę Józefy, ale zaraz przytulił ją do piersi. – A teraz słucham, jakie jest pani pierwsze prawdziwe życzenie, moja bohaterko?

– Widzę, że nie da mi pan spokoju, ale to będzie już drugie życzenie: proszę nie nazywać mnie bohaterką. Nawet pan sobie nie wyobraża, z jaką przyjemnością kopnęłam tego Araba w... hm! Zapomniałam, że jesteśmy w pensjonacie.

– Rozumiem. A więc, nie bohaterko, ale cholernie odważna dziewczyno, jakie jest pani życzenie? – Kurt kiwał się przed Józefą na końcach butów.

– Niech pani powie cokolwiek, Józefo, bo on nie ustąpi – roześmiała się Viola.

– Już wiem! – zawołała i wyciągnęła rękę na całą szerokość. – Chcę taaką wielką bombonierę przewiazaną wstążką.

– Jakiego koloru?

– Fioletową ze srebrem.

– Nadzienie?

– Różne, najchętniej z orzechami.

– Załatwione. Będzie ciężka jak młyński kamień, ale poradzę sobie. Czy nie ma pani innych życzeń, młoda damo?

– Miałabym, ale nie na dzisiaj, a poza tym pan nie ma wpływu na ich spełnienie – uśmiechnęła się kokieteryjnie i obiera rękoma przeciagnęła po włosach.

Kurt patrzył jak urzeczony.

– Dziewczyno! Nie chciałbym być w skórze tego, kogo te włosy urzekną.

– Nie pleć głupstw, Kurt. Myślę, że zabraliśmy pannie Józefie dość cennego czasu. Chciałeś ją tylko uściskać, omal jej nie udusiłeś, znasz jej życzenie, więc możemy jechać dalej. Ja również chciałam bardzo serdecznie podziękować i ucałować za wszystko, co dla mnie i Helmera pani zrobiła. Przekazuję też pozdrowienia od ciotki lizy i mojego syna. Oboje nie mogą się już doczekać noworocznych ferii, a ja jestem winna pani kilka wyjaśnień. Otóż wyjeżdżamy z Kurtem na Riwierę i na Lazurowym Wybrzeżu kupujemy dom. Mąż chce mieć jak najwięcej słońca. Ze względu na szkołę Helmer zostanie w Niemczech, a pani kuzyn Ludwik zgodził się nim zaopiekować.

– Świetny pomysł. A więc Helmer zostanie z nami? Mogę go zabrać do tego wielkiego domu, gdy już tam zamieszkać. Nie będę przynajmniej sama, a ciotka Ilza też się ucieszy,

gdy ktoś trzeci będzie tłukł się po pustych pokojach.

– Już teraz bardzo pani dziękuję, Józefo. Na pewno będziemy spotykać się często. Nie wytrzymam zbyt długo bez chłopca, ale będę o wiele spokojniejsza wiedząc, że zostawiłam go pod dobrą opieką.

– Pozwólcie, że jeszcze raz serdecznie podziękuję – Kurt kręcił się niespokojnie nie mogąc ustać w miejscu. Gotów był paść na kolana i dziękować obu kobietom, którym tak wiele zawdzięczał, a przede wszystkim samemu Panu Bogu, że pozwolił mu je spotkać w swoim życiu.

Nazajutrz rzeczywiście przyniesiono do pensjonatu bombonierę wielkości koła od karety, przewiązaną zgodnie z życzeniem Józefy liliowosrebrną wstęgą. Tak sobie była praczka wyobrażała szczyt luksusu, na jaki sobie ktoś bardzo bogaty może pozwolić.

Z wielkim nabożeństwem odwiązała wstęgę i na oczach zachwyconych koleżanek otworzyła ogromne pudło pełne słodoczy. Kręciły z niedowierzaniem głowami. Chyba jednak trzymająca się nieco z boku Niemka ma w rękawie jakieś atuty, o które nikt by jej nie podejrzewał.

Mecenas Kunze użył swoich dyplomatycznych talentów i udało mu się wkręcić do fabryki Schottlera inżyniera Stiibeliego, by przyjrzał się specyfice zakładu, a później swoje uwagi przekazał Józefie.

Dziewczyna czasami miała już naprawdę dosyć. Prasowanie koszul wydało jej się zajęciem dziecinnie prostym, chociaż i tam trzeba było wiele umieć, wiedzieć, a nieraz też porządnie pogłównkować.

Zaciskała zęby i ślęczała w każdej wolnej chwili nad notatkami inżynierachemika, chcąc zasłużyć na jego częste pochwały. Nie tylko doktor Stiibeli chwalił inteligencję i sumienność Józefy, ale również madame Sosbell była zadowolona ze swojej wychowanki i cieszyła się, że przed każdymi feriami może pani Gerlach przekazać pomyślne informacje.

Ciotka Ilza dostrzegła zmiany, ale zauważyła też spontaniczne reakcje Józefy, która w jej towarzystwie nie starała się utrzymywać fasonu prawdziwej damy.

– Ciociu, nie da się tak od razu wykorzenić nawyków, które wyssałam z mlekiem matki – tłumaczyła się dziewczyna, gdy ciotka zwracała jej uwagę.

– Ależ, dziecko, ja nie czynię ci zarzutów. Broń Boże! Jestem z ciebie bardzo zadowolona, nawet jeśli czasami diabełek siedzący w tobie trochę niekiedy podokazuje. Naprawdę, jesteś już piękną, porządnie wychowaną panienką.

– Myślisz, ciociu, że kuzyn Ludwik jest podobnego zdania? Obserwuję go uważnie, a gdy palnę jakąś gafę, to on się krzywi, jakby wypił szklankę octu. A ja – zerknęła na ciotkę spod oka – robię to specjalnie, żeby go zezłościć. Ma wtedy iście kretyńską minę! – zachichotała, a ciotka Ilza robiła nadludzkie wysiłki, by też nie wybuchnąć śmiechem.

Rzekła poważnym tonem:

– Może zamiast „kretyńską” lepiej byłoby powiedzieć „zakłopotaną minę”?

– Można by, ale nie oddawałoby to w pełni sensu. Kiedy niedawno byłam w fabryce, chciałam sama się trochę rozejrzeć, a przy okazji pokazać Helmerowi, co jest za bramą, weszliśmy do biurowca i stanęliśmy pod drzwiami jego przyszłego biura. Dziwnie to brzmi:

Biuro Szefa, a za biurkiem ja! No nic, i wiesz, na kogo natknęliśmy się na korytarzu? Oczywiście! Na nadętego jak paw kuzyna Ludwika! Podniósł groźnie brew i spytał, czy może mi w czymś pomóc, bo zna na pewno lepiej fabrykę niż ja. Zabrzmiało to jak słowa jego królewskiego imiennika, Ludwika XIV:

– Dziecko, nie jestem aż tak wykształcona, żeby zrozumieć twoje wyszukane aluzje.

– „Państwo to ja”, ciociu! Podziękowałam mu pięknie, popchnęłam Helmera i poszliśmy w drugą stronę. Co on sobie myśli? Za kilka miesięcy, ja też będę miała prawo powiedzieć „państwo to ja”, no – tak... połowa państwa, powiedzmy. Ciociu! – spoważniała nagle.

– Co ja zrobię, jeżeli nie podołam temu wszystkiemu i nie spełnię oczekiwań ojca? – przytuliła się do policzka ciotki lizy. – Trudno będzie usiedzieć spokojnie cały dzień, grzecznie odpowiadać i pytać, udawać, że znam się na wszystkim, uff! Skóra mi cierpie.

– Nie przesadzaj. Wydoroslejesz w końcu, a prawdę mówiąc, szkoda. Pozwól teraz, że wezmę w obronę Ludwika. Jak myślisz, czy jemu, choć jest znacznie starszy od ciebie i lepiej orientuje się w fabryce, nowa sytuacja nie przysparza więcej zmartwień niż tobie? Od lat pracował ciężko i pomagał twojemu ojcu postawić fabrykę na nogi, a teraz musi oddać jej los w ręce pięknej co prawda, ale absolutnie niekompetentnej dziewczyny. Czy jemu jest lekko? Postaw się na jego miejscu! Ja jestem pewna, że nawet gdybyś, jak ty to mówisz, narobiła mu w firmie bigosu, nie usłyszałabyś ani jednego obraźliwego słowa. To spokojny, dobrze wychowany i zawsze opanowany chłopak. Ponadto bardzo poważnie podchodzi do życia i chociażby z tego względu należy mu się więcej sympatii niż okazywałaś mu dotychczas.

Zapadła cisza. Józefa nie odezwała się ani słowem. Zdenerwowana kręciła kokardką na bluzce ciotki tak długo, aż wreszcie została jej w ręku. Siedziała przytulona do ciotki, a teraz odsunęła się lekko przestraszona.

– Oderwałam ci kokardę. Muszę ją przyszyć, ciociu?

– Oczywiście, ale najpierw odpowiedz cokolwiek na moją prośbę.

– No, cóż. Jak zawsze, masz rację. Ale kuzyn Ludwik od samego początku wprawiał mnie w zakłopotanie, stawiał w niezręcznej sytuacji, był podejrzliwy i nieufny, i trudno mi się z nim porozumieć. Zazdroszczę Helmerowi, że tak łatwo znajduje z Ludwikiem wspólny język, a ja nawet nie potrafię mówić mu po imieniu. Najchętniej zwracałabym się do niego per panie doktorze, a przecież spodobał mi się już wtedy, gdy podglądał mnie przez szybę w pralni. Hm! On naprawdę jest przystojny, nie sądzisz, ciociu?

– Przecież nie zaprzeczę, ale na Boga, zostaw tę drugą kokardę, bo też mi ją urwiesz.

– Przepraszam, ciociu! – przytuliła się i spojrzała na ciotkę jak skarcony szczeniak. – Co ja poradzę, że nie lubię kuzyna Ludwika?

– Próbowалаś chociaż go. polubić? Nie, więc spróbuj, a potem powiedz, czy dalej go nie cierpisz, czy też zmieniłaś zdanie. – Ilza mówiła spokojnym, obojętnym tonem, by nie wprawiać siostrzenicy w jeszcze większe zakłopotanie. Józefa podeszła do okna i stanęła odwrócona plecami. W dopasowanej do szczupłej figury sukience wyglądała przeuroczo. Przeciągnęła znowu palcami po swojej bujnej fryzurze i cichutko, zwlekając nieco, szepnęła:

– Nie wiem, ciociu, co ty na to powiesz, ale mnie się zdaje, że ja Ludwika kocham.

Ilza wstrzymała oddech. Nie wiedziała co powiedzieć, by broń Boże nie zniszczyć

czegoś, co nieśmiało przebijało się na światło dzienne. Równie cicho jak Józefa, odpowiedziała po chwili:

– Zachowaj, dziecko, tę wiadomość dla siebie i poczekaj. Prawdziwe życie dopiero zaczyna się dla ciebie, a ja mogę cię zapewnić, że zawsze będę ci służyła radą i pomocą. Zawołaj teraz Helmera. Czas na kolację, a jestem już głodna jak wilk.

– Och, a ja to nie? – odwróciła się i cały urok cichego wyznania przysł nagle, a Józefa, jakby nic się nie stało, wrzasnęła przez uchylone drzwi od korytarza: – Helmer! Wszarzu, chodź na kolację!

– Będzie gotowana szynka? – doszedł jego głos skądś z głębi mieszkania.

– Pytanie do kuchni! Przy okazji powiedz, że ja też chcę szynki. Po chwili Helmer zjawił się w salonie i od drzwi wyliczał na palcach.

– Jajecznicza, opiekane ziemniaki, gotowana szynka i przysmak dla krów.

– Co na końcu? – 7 – zdziwiła się ciotka. – Powiedz to w jakimś ludzkim języku.

– Uczeni ludzie mówią na to sałata masłowa, ogrodnicy – sałata głowiasta, a starzy górale – głąbiki. Tak czy inaczej, dla mnie jest to zielenina dobra dla przeżuwaczy.

W wesołym nastroju zasiedli do stołu, a ciotka nie mogła się nacieszyć apetytem swoich dwojga domowników i swobodną rozmową, jaka wywiązała się między nimi. Przypomniała sobie smutne wieczory i samotnie spożywane kolacje po tym, jak zmarł jej mąż.

Krótkie ferie zimowe szybko dobiegły końca, ale przed wyjazdem Józefy do Genewy ciotce udało się zaprosić Ludwika na pożegnalną kolację. Z napięciem obserwowała zachowanie tych dwojga.

Doszło oczywiście do drobnej sprzeczki i Ludwik siedział naburmuszony, bo cokolwiek by Józefie nie powiedział, o cokolwiek spytał, zawsze padała szorstka, żeby nie powiedzieć niegrzeczna, odpowiedź. Zauważył też, że za każdym razem, gdy się odzywał, Helmer kopął ją pod stołem w kostkę, czerwienił się, patrzył na Ludwika i zaraz spuszczał nos do swojego talerza. Tego już było za wiele.

– Czy naprawdę musisz, Józefo, reagować niegrzecznie i szydzić z moich wypowiedzi? O co ci chodzi? Jak wyobrażasz sobie naszą wspólną pracę, jeżeli mam codziennie wysłuchiwać twoich kąśliwych uwag i niewybrednych żartów?

Oho! Zaczyna się – pomyślała Ilza. Była już pewna, że oboje mówią co innego, niż naprawdę myślą.

Józefa patrzyła na Ludwika z otwartą buzią, ale już po chwili zmarszczyła czoło i odezwała się, wyraźnie jednak stracisz pewność siebie:

– Chyba się przesłyszałam? Nie znoszę zarozumiałych ludzi, a pan mógłby im świecić przykładem. Jak wyobrażam sobie przyszłość? Wielkie nieba, świat się chyba nie zawali. Jest pan najmądrzejszym, oczywiście najlepiej zorientowanym człowiekiem w fabryce, więc jakoś pan przeżyje, nawet gdy czasami chlapnę jakieś głupstwo. Ostatecznie to nie ja napisałam ten bzdurny testament, no nie?

– Proszę cię, Józefo. Jutro wyjeżdżasz do Genewy i nie zobaczymy się przez kilka miesięcy. Nie mogłabyś przynajmniej spróbować być dla mnie choć trochę miłsza, chociażby dlatego, że jesteśmy kuzynami? – Ludwik zmienił taktykę; wyciągnął rękę i popatrzył

blagalnym wzrokiem na Józefę.

Poczuła się jeszcze bardziej nieswojo, a po pobladłych policzkach popłynęły jej nagle dwie strużki łez. Pociągnęła nosem i zakłopotana rozejrzała się wokół siebie.

– Mogłabym prosić o serwetkę? Chusteczka gdzieś mi się zapodziała, zamiast leżeć w kieszeni spódnicy.

Ludwik roześmiał się i podał jej swoją śnieżnobiałą chusteczkę, próbując również wytrzeć jej łzy.

– Nie mówiłem tego aż tak poważnie, żeby zmusić cię do płaczu.

– Niech pan da spokój, kuzynie. Jest mi żal, że muszę rozstać się z ciotką Izą i Helmerem.

– To oczywiste. I tylko tyle?

Ilza zdążyła wstać od stołu, dała znak Helmerowi i razem wyszli niepostrzeżenie do salonu, gdzie czekała już kawa dla ciotki i sok pomarańczowy dla chłopca.

Ludwik wstał, a podszedłszy do Józefy, stanął z tyłu i położył jej ręce na ramionach.

– To jak? Spróbujemy w przyszłości być dla siebie choć trochę miłsi? Obiecuję, że już nigdy nie będę poprawiać twoich potknięć ani udzielać ci napomnień.

– Przecież to na moją niekorzyść, kuzynie. Ja muszę i chcę się uczyć, aby panu dorównać.

– Zatem zacznij od najważniejszego: ja mówię ci po imieniu, ty ciągle zwracasz się do mnie przez pan, i to ma być równość? Ostatecznie jesteśmy kuzynostwem, nie mówiąc już o tym, że wkrótce będziemy współpracownikami – mówił bardzo ciepłym głosem, lekko naciskał ramiona Józefy, a nachyliwszy się rzekł: – Nie jestem do ciebie wrogo usposobiony, dziewczyno, wręcz przeciwnie.

– Czy mówienie przez ty nie zostanie uznane za brak dobrego wychowania?

– W żadnym wypadku.

– A jak się wścieknę, to jak pana zwymyślam?

– Moim zdaniem, prościej wymyśla się komuś po imieniu, niż oficjalnie przez pan – uśmiechnął się i dotknął jej włosów w kolorze stopionej miedzi. Nie zauważyła, jak zamknął na chwilę oczy. Miał wrażenie, że przyjemne elektryczne prądy płyną z jej włosów do jego dłoni. Otrząsnął się jednak szybko i spytał:

– To jak będzie?

– Kuzynie, będę się starać i nie będę ci więcej dokuczać, ani też deptać po odciskach, ach, znowu powiedziałam nie tak jak trzeba. A więc będę się starać, aby między nami zaistniała harmonia – uśmiechnęła się tryumfująco, że znalazła właściwe określenie.

Pstryknął ją palcem w czoło i spytał:

– Jak to ciotka Ilza mówi na ciebie? Spryciara? Przybij na zgodę, spryciaro!

Szybko podała mu swoją smukłą dłoń.

– Na zgodę, kuzynie!

Popatrzyła na niego odważnie, ale pod jego więcej mówiącym niż słowa spojrzeniem, szybko opuściła wzrok.

Przytrzymał jej dłoń dłużej niż należało, a gdy wreszcie się uwolniła, natychmiast pobiegła do salonu, gdzie w towarzystwie ciotki i Helmera, zamieniła się w beztroską,



gadaliwą panienkę.

Ludwik zamyślony stał przy stole zwlekając z dołączeniem do reszty domowników. Rzekł półgłosem sam do siebie: – Zobaczysz, moja mała, między nami wszystko ułoży się zupełnie inaczej!

## XIV

Wielki dzień, w którym Józefa miała zostać szefową fabryki Schottlera, wreszcie nadszedł.

Najwięcej serca w jego przygotowanie włożyła Ilza Gerlach. Dokładnie omówiła z Ludwikiem przebieg planowanych uroczystości, a przede wszystkim dopilnowała, aby poustawiano kwiaty nie tylko w willi, ale także w nie używanym do tej pory biurze Hugona Schottlera.

Mecenas także zapowiedział swój udział, przez co ceremonia miała zapewniony charakter oficjalny.

Po raz ostatni ciotka wybierała się na dworzec, by powitać powracającą z Genewy Józefę. Tym razem Ludwik również znalazł™ jakąś wymówkę, próbując w zastępstwie wysłać Helmera.

Ciotka, przyzwyczajona do różnych niespodzianek, gdy zobaczyła Józefę wysiadającą z pociągu, zaniemówiła. Wrażenie było piorunujące. Elegancka od stóp do głów dama była wprost nie do rozpoznania, gdyby nie żywe, serdeczne spojrzenie jej zielonkawych oczu.

W obcisłej garsonce, ze starannie upiętymi do podróży włosami, bez kapelusza, w zamiszowanych rękawiczkach i dobranych do koloru bucikach wyglądała jak modelka z żuraala.

– To naprawdę ty, Józefo? – przywitała ją Ilza patrząc z dystansu to na twarz, to na całą sylwetkę.

– Nie da się ukryć, ciociu. Przemknęłam przez Paryż i stąd ta wystrzałowa garderoba.

– Co takiego zrobiłaś?

– Ubrałam się w Paryżu od stóp do głów, kapujesz? Cześć, Helmer! Chłopie, rośniesz jak na drożdżach, a włosy jeszcze bardziej ci zbiały. Jak ci leci? Masz jakieś wieści od mamy?

– Wszystko gra, Józefo – rzekł, jakby nie był pewien, że rozmawia z tą samą dziewczyną, z którą poprzedniego lata kąpał się w basenie i jeździł rowerem po okolicy. – Ależ ty wyglądasz! – dodał nieśmiało.

– Spróbuj tylko powiedzieć, że ci się nie podobam! – zaśmiała się jak dawniej, ale wcale nie przestała wyglądać jak dama. – Musimy odebrać bagaże. Tym razem z Genewy zabrałam wszystko i obawiam się, że do taksówki się nie zmieścimy. Helmerze, bądź tak dobry i poszukaj gdzieś wózka.

– Już się robi! Najlepszy bagażowy w tym kraju – do usług szanownej pani! – uklonił się młody Szwed i zniknął.

– To ty byłaś w Paryżu? – zdołała wykrztusić po kilku głębokich oddechach ciotka Ilza.

– No pewnie! W Genewie też przecież mówiłam po francusku, co za różnica. Dostałam od pana Kunze trochę pieniędzy na zakupy! Jak się czujesz, cioteczko? Wyglądasz mi na trochę zdenerwowaną.

– Zdenerwowaną? Dziecko, ja najpierw muszę ochłonąć ze strachu! Co oni tam z tobą zrobili? Odprowadziłam na pociąg smarkulę, a odbieram paryską modniśnię, prawdziwą damę!

Józefa przytuliła się i szepnęła ciotce na ucho:

– Nie całkiem prawdziwą, ciociu. Ja tylko tak wyglądam. Co z kuzynem Ludwikiem? Już go bolą zęby, gdy pomyśli, co go czeka, albo też ćwiczy kwaśne uśmiechy?

– Chyba ani jedno, ani drugie. Chodzi tylko ostatnio trochę zdenerwowany.

Szły powoli w stronę wyjścia i bystre oko ciotki, jak na zawołanie, wypatrzyło Ludwika przemykającego za kiosk z gazetami. Widziała go krótko, ale najwyraźniej był równie zaszokowany wyglądem Józefy jak ona. Dobrze mu tak! Ona już przynajmniej wie, że w eleganckim opakowaniu wróciła ta sama, kochana Józefa.

– Jeżeli mam być szczerą, ciociu, to z powodu jutrzejszych uroczystości też jestem zdenerwowana. Żarty się skończyły i ze starą Józefą muszę skończyć raz na zawsze.

– Ani mi się waź! Zostaw ją przynajmniej dla mnie, bo taką cię kocham i chcę, żebyś zawsze była sobą.

– Kochana cioteczko, czy ty naprawdę myślisz, że w innej fryzurze nagle stałam się kimś innym? – roześmiała się głośno. – Kazałam się tak uczesać na jutrzejszą intronizację. Przecież na codzien nie będę udawała władczyni imperium.

Po przybyciu do willi Józefa przywitała się ze służbą, podziękowała za przystrojenie domu kwiatami i poprosiła wszystkich o pomoc w prowadzeniu go.

Ilza była zachwycona. Józefa rozmawiała ze służącymi, jakby nie robiła nic innego, jakby codziennie angażowała personel.

Pokoje Józefy, z których jeden umeblowano sprzętem przeniesionym z mieszkania ciotki, wzbudziły jej szczerą zachwyty. Objęła ciotkę i wycalowała zupełnie jak dawniej.

– Jesteś zadowolona z moich dokonań, dziecko?

– Ogromnie, ciociu! Sama nie wymyśliłabym nic lepszego. A gdzie będzie mieszkał Helmer?

– Na poddaszu! Uparł się, że chce zająć dwa znajdujące się tam pokoje, i Ludwik pomógł mu je urządzić, tak jak chłopiec sobie życzył. Zadowolony, napisał od razu list na trzy strony i wysłał go matce.

– To kuzyn Ludwik był tu w willi? I jak mu się podobają zmiany, które zarządziłyśmy? Te nowe zasłony welurowe są fantastyczne.

– Nareszcie jestem pewna, że to ty wróciłaś z tego pensjonatu! Ciągłe mi się wydaje, że ta śliczna dama, to nie moja Józefa.

– Czy jest dziś szansa na zjedzenie kolacji? Śliczna dama jest głodna jak sfora wilków i biada kucharce, jeśli zapomniała ugotować szynkę! Helmer! Dowiozłeś bez szwanku wszystkie moje bagaże?

– Coś ty tam nabrała, dziewczyno? Tragarze aż stękają, takie to ciężkie! Właściwie, to liczyłem już na kolację... Choroba! A może ty przestałaś już jadać? – przestraszył się wiecznie zgłodniały nastolatek.

Józefa pstryknęła go w nos i zapewniła, że szynka już się gotuje.

Wieczorem zadzwonił Ludwik. Ciotka ucieszyła się, bo Józefa natychmiast cała stanęła w pasach, gdy powoli, z gracją szła do telefonu.

Rozmowa wyglądała jednak nieco dziwnie.

– Kuzyn Ludwik! Cieszę się, że zadzwoniłeś od razu – odezwała się westchnąwszy

najpierw głęboko.

– To przecież oczywiste, Józefo. Chętnie bym przyszedł, ale pomyślałem sobie, że pierwszy wieczór chcesz spędzić z cioteczką sama. Jeżeli pozwolisz, to przywitam się z tobą jutro podczas uroczystości.

– Skoro tak uważasz, to nie mam nic przeciwko temu.

– Czy to znaczy, że chciałabyś, bym przyszedł już dziś?

– Hm, powitanie byłoby może mniej uroczyste, ale za to bardziej rodzinne. Oficjalnych uścisków dłoni będę miała jutro aż nadto, ale skoro nie można inaczej...

– A mógłbym przyjechać teraz?

– Byłoby mi miło, kuzynie.

– Za pięć minut jestem!

Józefa usłyszała, jak rzucił słuchawkę, i wyobraziła sobie, jak biega po mieszkaniu. A niech biega! Lepiej niż miałyby biegać ona.

Zrobiła słodką minę i wróciła do salonu, gdzie ciotka z Helmerem żywo o czymś dyskutowali.

– Kuzyn Ludwik wpadnie na chwilę. Nie gniewasz się, ciociu, że się zgodziłam?

– Dziewczyno, to ty rządzisz w tym domu, a nie ja. Chcesz kawy, czy jak Helmer – gorącego mleka?

– Mleka! Do tego funt cukru i herbatniki do moczenia. Helmer spojrzał spod oka i mrugnął:

– Teraz i ja jestem pewien, że Szwajcarzy zwrócili nam naszą Józefę. Gdyby cię dziś zobaczyli moi koledzy ze szkoły, pootwieraliby gęby jak karpie. Wyglądasz tak pięknie jak moja mama.

– Za ten ostatni komplement jestem ci szczególnie wdzięczna. A twoim kolegom, gdyby mnie zaczepiali, i tak bym pokazała język. O, ktoś dzwoni do drzwi! – zerwała się, ale ciotka przytrzymała ją za rękę.

Józefa zaczerwieniła się.

– Muszę się przyzwyczaić, ciociu. To wszystko jest dla mnie takie niezwykle!

Gdy kilka minut później Ludwik wszedł do salonu, Józefa podała mu rękę i rzekła:

– Cieszę się, że przyszedłeś, kuzynie.

Uścisnął obiema rękoma jej dłoń i patrzył to na Józefę, to na ciotkę.

– Nasza Józefa, ciociu! – rzekł.

– Poznałeś? A ja musiałam trzy razy przetrzeć oczy, zanim byłam pewna. Taka z niej dama teraz! Ale nie daj się zwieść pozorom: ona tak tylko wygląda.

– Fryzura zmienia człowieka. W istocie jestem taka sama, jak pół roku temu – rzekła patrząc na swoją dłoń, którą Ludwik trzymał cały czas. – Napijesz się kawy, a może brandy, kuzynie? Dziwne, ale to ja jestem gospodynią i muszę cię pytać, co wolisz.

– Chętnie napiłbym się kawy, ale brandy też nie odmówię – uśmiechnął się i zwlekając uwolnił z uścisku rękę Józefy.

– Helmer! Na co czekasz? Biegnij po butelkę brandy. Wiesz przecież gdzie stoi.

Gdy Józefa droczyła się z Helmerem, ciotka pochyliła się i szepnęła Ludwikowi do ucha:

– Widziałam cię na dworcu, stary tchórze!

– Przed tobą nie da się nic ukryć, sokole oko! Wziął od Józefy kieliszek brandy i podniósł go w górę:

– Za twoją szczęśliwą przyszłość, Józefo!

– Dziękuję, kuzynie. Gdybym to ja wznosiła toast, powiedziałabym: Za naszą przyszłość! Tak chciał mój ojciec, więc może nie licytujmy się, zwłaszcza w toastach. Nasza przyszłość związana będzie z fabryką, a siedząc razem przy biurku będziemy mieć dość powodów do sprzeczek.

– Tak myślisz, Józefo?

– Tego nie da się uniknąć. Ale oboje mamy tęgie głowy i o przyszłość jestem raczej spokojna. Jakie są plany na jutro, kuzynie?

– Razem z mecenasem Kunce i ciotką lizą przygotowaliśmy scenariusz jutrzejszej uroczystości. Najpierw powitanie z najważniejszymi współpracownikami w naszym biurze i krótki poczęstunek, potem spotkanie z załogą w nowej hali na drugim wydziale. Musisz sobie przygotować przemówienie.

– O mój Boże! Co ja tym ludziom powiem? – przeraziła się.

– Helmer, nie rechocz! Też trząśbyś portkami.

– Dzięki Bogu! To naprawdę nasza Józefa – szepnął Ludwik sam do siebie.

– Tak? A kilka miesięcy temu sarkałeś na Józefę i robiłeś kwaśną minę. – Jednak usłyszała, ale nie zareagowała wybuchem złości, wręcz przeciwnie – uśmiechnęła się.

– To było dawno. Teraz mam zupełnie inne problemy – rzekł bardzo cicho.

– Musiałabym na głowę upaść, gdybym spytała, jakie to problemy cię trapią. – Zaczerwieniła się i przysiadła do ciotki lizy, która ich cichej wymiany zdań nawet nie zauważyła.

Ludwik popatrzył na nią i poczuł się nieswojo, słysząc niemal głośne bicie swojego serca, i nie mogąc oderwać oczu od Józefy tulącej się do ciotki.

## XV

Tego dnia, gdy oficjalnie została mianowana współwłaścicielką fabryki Schottlera, Józefa nie zapomni chyba nigdy.

Pierwszy zabrał głos mecenas Kunze. Objął prawny aspekt dzisiejszej uroczystości, potem przypomniał, że będąc opiekunem panny Hannemann zadbał o przygotowanie jej do nowej roli, i zapewnił, że dalej w miarę swoich sił i możliwości będzie jej pomagał.

W krótkim, utrzymanym w bardzo serdecznym tonie przemówieniu Ludwik powitał w fabryce swoją kuzynkę, tym razem już w roli pełnoprawnej współpracownicy. On także obiecał Józefie pomoc i przyjaźń.

W białej, prostej, ale bardzo eleganckiej garsonce wyglądała dostojnie i niezwykle uroczo. Z każdym z witających zamieniła kilka słów i chyba nie było nikogo, kto po wyjściu z przyjęcia powiedziałby o nowej szefowej choćby jedno złe słowo.

Wśród pracowników i pracownic zebranych w hali Józefa czuła się znacznie pewniej. Uśmiechnęta i bez napuszonych słów wygłosiła ze zbitego z desek podestu przemówienie. Szczególny aplauz wzbudziły ostatnie fragmenty:

– ... i bardzo was proszę, nie traktujcie mnie jako waszej przełożonej. Chcę być jedynie przyjaciółką i współpracowniczką was wszystkich. Dwa lata temu byłam jedną z was i codziennie stawałam przy taśmie w pralni męskich koszul. Na początku szło mi ciężko, ale nie poddawałam się, aż w końcu moja szefowa, a wreszcie również klienci, byli ze mnie zadowoleni – spojrzała na Ludwika i uśmiechnęła się. – Także mój kuzyn a wasz szef, który był klientem naszej pralni. Nie uwierzycie, ale raz nawet przyszedł poskarżyć się, że zbyt sztywno zaprasowałam mu mankiety! Jednak był to tylko pretekst, bo on już wtedy wiedział, że spotkało mnie wielkie szczęście, że mój ojciec chciał, żebym pewnego dnia stanęła tu, na tym miejscu. Bez waszej pomocy nie dam sobie rady, więc bardzo liczę, że mi pomożecie! – wyciągnęła ręce w stronę najbliższych stojących robotników.

Rozległy się oklaski. Piękna szefowa, życzliwie uśmiechająca się, z zakłopotaniem chwytająca się za głowę, była jedną z nich, wie, co to znaczy ciężko pracować, zarabiać własnymi rękoma na chleb. Kto mógł, próbował uścisnąć jej rękę. Ze łzami radości w oczach, wzruszona zawołała:

– Dziękuję wam, najdrożsi, z całego serca. Trzymajmy się wszyscy razem, bądźmy sobie wierni w momentach dobrych, ale i gorszych. – Otarła ręką łzy, ale napływały wciąż nowe. Sięgnęła prawą ręką do tyłu, gdzie stał Ludwik. Po chwili trzymała już jego śnieżnobiałą chusteczkę i wycierała oczy.

Gest został zauważony, a wśród zebranych wybuchł Wesoły gwar. Z różnych stron zaczęły padać okrzyki:

– Niech żyje nasza szefowa!

Półprzytomna ze zmęczenia Józefa wracała z Ludwikiem i członkami zarządu do biurowca.

– Ale się wygłupiłam! Co ja tym ludziom naplotłam?

– Czarodziejko, w lepszy ton nie mogłaś uderzyć, by zdobyć sobie sympatię pracowników. Z tymi koszulami to był wręcz majstersztyk, moje gratulacje – Ludwik mówił tak cicho, że tylko ona słyszała.

– Wcale nie chciałam tego powiedzieć, ale oni wszyscy byli dla mnie tacy mili. – Sięgnęła po chusteczkę Ludwika, a wytarłszy energicznie nos, schowała ją do swojej torebki. – Po wypraniu i wyprasowaniu oddam ci ją – dodała.

– Zdziwiłbym się, gdybyś oddała nie wyprasowaną! A co zrobimy z niegdyś pięknie ułożoną fryzurą?

– Boże, zupełnie zapomniałam i rozgrzebałam paluchami całą głowę. Wyglądam jak straszidło, co?

– Chcę pozostać neutralnym w ocenie, więc proszę bardzo: tu jest lusterko. – Zostali nieco w tyle w szerokim korytarzu, gdy Ludwik wyciągnął kieszonkowe lusterko.

Kilka zgrabnych ruchów wśród gęstych włosów i na twarzy Józefy pojawił się uśmiech:

– No, znowu wyglądam jak człowiek. Przynajmniej z daleka. Długo to jeszcze potrwa? Chcę już do ciotki lizy.

– W fabryce już koniec. Przyjęcie w willi zacznie się wieczorem, więc masz dość czasu na wypłkanie się przed cioteczką – roześmiał się.

– Tylko sobie nie myśl, kuzynie, że dla mnie to wszystko jest takie proste. Cały czas czuję się trochę tak, jakbym chodziła na gumowych nogach. Ciągłe brakuje mi pewności siebie: palnę gafę, albo nie? – No tak, powinnam się wyrazić inaczej. A więc, ciągle nie jestem pewna, czy postępuję właściwie, czy też...

– „Palnę gafę” – dokończył, gdy się zawahała przez chwilę. Znowu ktoś podszedł z gratulacjami. Trwało to jeszcze dobrą godzinę, zanim Józefa mogła wreszcie przytulić się do ciotki lizy.

– Och, cioteczko! To było wspaniałe, cudowne!

– Cieszę się, dziecko, z całego serca. Zrobiłaś dziś wielki krok w nowe życie, ale teraz musisz szybko coś zjeść i przespać się trochę, bo wieczorem też czeka cię ciężka praca.

– Gdzie właściwie podziewa się Helmer?

– Poleciał do miasta. Szykuje dla ciebie jakąś wielką niespodziankę.

– Dlaczego wy wszyscy jesteście dla mnie tak strasznie mili i dobrzy? – spytała zamyślona, a gdy znowu przeciągnęła rękoma po włosach, ciotka uśmiechnęła się: – A któż by cię nie pokochał, dziewczyno? – I przytuliła ją mocno do piersi.

Wieczorem willa Schottlerów zapełniła się gośćmi.

Przybyli przedstawiciele władz miejskich, firm zagranicznych, zaprzyjaźnieni przemysłowcy, szefowie banków kooperujących z fabryką, sam pan burmistrz z małżonką i cała śmietanka towarzyska miasta.

Józefa wyglądała uroczo, choć ciągle miała wrażenie, że spadnie na nią jakieś nieszczęście i skompromituje się przy gościach. Ciotka chodziła za nią jak cień i przy każdej okazji zapewniała, że wszystko jest w najlepszym porządku, a jej się zdawało, że przeniosła się w krainę baśni. Józefa zaś, jej zdaniem, wyglądała jak księżniczka. W białej brokatowej sukni, plisowanej u dołu, z gładko przyczesanymi i upiętymi włosami, bez żadnej biżuterii,

oprócz złotego łańcuszka z wisiorkiem w kształcie kotwicy splecionej z krzyżem i serduszkami, jedynej pamiątce po matce – robiła na wszystkich kolosalne wrażenie.

Na lewym ramieniu, przykrytym wąskim paskiem brokatu, miała wpięty kwiat orchodei, który dostała od Ludwika, gdy witał ją w ich wspólnym biurze. Prawe ramię miała odkryte. Jej jasna cera i biała suknia pięknie kontrastowały z miedzianym odcieniem włosów.

U boku ciotki ubranej dziś w czarną, jedwabną suknię stała w hallu, oczekując na powitanie gości; blada, zdecydowana na każdy wysiłek, byle by się nie skompromitować. Najchętniej uczepliłaby się ramienia ciotki lizy.

– Nic z tego! – pokręciła ciotka siwą głową. – Radź sobie sama. Dzisiaj możesz liczyć tylko na swoje umiejętności i wybierać, co wolno, a czego nie.

Trzymała się dzielnie, witając przychodzących. Gdyby chociaż Helmer stał gdzieś w pobliżu! Zrobiłaby do niego głupią minę i od razu poczułaby się lepiej, ale łobuz, jak na złość, gdzieś się zapodział.

Ludwik przedstawiał jej gości i cieszył się, że z każdym witała się spontanicznie, nieszablonowo, z uśmiechem lub z powagą, gdy na przykład podawała dłoń burmistrzowi.

Nagle ktoś nie przedstawiony przez Ludwika mocno złapał oburącz jej rękę i pochyliwszy się nisko, z szacunkiem, złożył pocałunek. Podniósł głowę i patrzył roziskrzonymi z radości oczyma. Kurt Schröder! To była ta niespodzianka Helmera! Chłopiec elegancki jak nigdy i uśmiechnięty, stał obok matki i trzymał ją za rękę.

– Moja urocza bohaterka! Życzę pani tylko szczęśliwych dni, panno Józefo.

– Tylko nie bohaterka, panie Schröder! Nic w życiu nie sprawiło mi większej radości niż kopniak w. wypiętą... no tak, znowu się zapomniałam... tego łobuza – uśmiechnęła się zażenowana i szybko przywitała się z Violą, całując ją serdecznie w oba policzki.

Ludwik zainteresował się rozmową Józefy z Kurtem.

– Naprawdę z przyjemnością kopnęłaś tego Araba w... ? – zaśmiał się.

– I to jaką! Ale dziś najbardziej cieszę się, że wy tu jesteście. Wygląda pani uroczo, pani Violu.

– Nie mogę inaczej wyglądać, mając zapewnioną miłość i spokój, droga Józefo. – Viola ścisnęła jej rękę, a po cichu dodała: – Jeszcze raz dziękuję za wszystko, a zwłaszcza za to, że Helmer może mieszkać u pani.

– To ja jestem winna podziękowanie, pani Violu. Helmer jest niezawodny, a w końcu to jedyny mężczyzna w tym domu.

– Powiedzmy, mający zadatki na mężczyznę.

W czasie przyjęcia Ludwik znalazł godzinę czasu na rozmowę z przyjacielem, z którego przyjazdu ucieszył się chyba bardziej niż Józefa.

– No i co powiesz, stary?

– Postawię najpierw tobie to pytanie, bo widzę, że aż się palisz z odpowiedzią.

– Zgadłeś. Popatrz Kurt na Józefę. To nie do wiary, jak ona się zmieniła! – rzekł patrząc w stronę otwartych drzwi, przez które obserwował Józefę rozmawiającą z gośćmi.

– „Człowiek rozwija się, gdy ma jakiś szczytny cel”, ktoś to komuś powiedział, pamiętasz? A gdybyś mnie, starego obieżyświata, spytał o zdanie, to dodałbym, że miłość



potrafi czynić cuda.

– Co ty wygadujesz? Daj sobie dziś spokój z mądrościami beduinów.

– Człowieku, czy ty masz bielmo na oczach?

– O co ci chodzi?

– Zawsze byłeś trochę tumanowaty, i w okopach, i w niewoli, a widzę, że i wobec kobiet.

Ktoś się zakochał w tobie, nie widzisz?

– Kurt! Ty chyba nie mówisz o Józefie?

– Przecież nie o Violi, bo ta kocha mnie, i to z dnia na dzień coraz bardziej. Wierz mi Ludwiku, ja, stary pustynny lis, jestem zakochany po uszy i do dzisiaj ani razu, nawet przez chwilę, nie zateśkniłem za tułaczką po Afryce, a to wszystko dzięki Violi. Jestem szczęśliwy i wiem, że ty będziesz także. – Kurt uściskał oburącz jego dłoń i dodał z uśmiechem:

– Wyrzuć tylko do lamusa wielce czcigodnego doktora Ludwika Brunnera i łap swoje szczęście. Bierz dziewczynę i trzymaj mocno, bo sprzątnie ci ją sprzed nosa ktoś inny!

– Kocham ją – odparł Ludwik bez chwili wahania i dodał:

– Dziękuję ci, stary nicponiu, że mnie przejrzałeś.

– Dziwisz się po tym wszystkim, co przeżyliśmy razem? Jestem o ciebie zupełnie spokojny, stary, i mogę już jutro wracać z Violą do naszej słonecznej willi na Lazurowym Wybrzeżu. Gdy patrzę z brzegu na morze, mam czasami wrażenie, że widzę piaszczyste wydmy Sahary, ale wcale nie tęsknię, żeby tam pojechać. Coś się jednak zmieniło, i to dzięki tobie, Ludwiku. Gdybyś mi nie pomógł, być może nigdy nie udałoby mi się uratować Violi i Helmera. – Uścisnęli sobie ręce i byli pewni, że ich przyjaźń będzie trwać wieki.

Późnym wieczorem, gdy goście rozeszli się już do domów, Ludwik znalazł okazję, żeby porozmawiać z Józefą. Siedzieli w saloniku popijając brandy.

– Masz przecież służbę, dlaczego sama mnie obsługujesz? – spytał.

– Mam najważniejszego gościa oddać w ręce służby? – spytała sięgając po ciasteczko. – To był piękny dzień, prawda kuzynie?

– Jesteś zadowolona?

– Och, tak bardzo, że aż brakuje mi słów – siedziała w głębokim fotelu w białej, brokatowej sukni. Ludwik nie mógł oderwać od niej oczu, a do głowy cisnęły mu się myśli, których wcale nie chciał wypowiedzieć.

– Mnie nie brakuje słów, dlatego z przyjemnością ci powiem, że wyglądasz dziś przeuroczo.

– Ja? Masz u mnie punkt, kuzynie, ale domyślam się, że chodzi ci o suknię, którą kupiłam w Paryżu. Pod spodem ukrywa się Józefa, a ta na miły Bóg, urocza bynajmniej nie jest – zaczerwieniła się, ale nie wyglądała na zakłopotaną. – Tobie mogę powiedzieć otwarcie, bo ty do kłopotów ze mną już się przyzwyczaiłeś, ale maska dobrze wychowanej panny nie leży jeszcze na mnie jak trzeba. W czasie przyjęcia cały czas musiałam uważać, żeby spod niej nie wyrzała moja prawdziwa twarz – uśmiechnęła się. – I co, nie mówiłam? Znowu masz minę, jakbyś napił się octu.

– Ty potrafisz, nieznośna dziewczyno, sprowadzić każdego na ziemię – odezwał się zły na samego siebie. Wypowiedział się niezbyt ostrożnie, a ta diabliska od razu zepsuła mu

nastrój i zburzyła idylliczny obraz, jaki sobie malował w myślach.

Józefa nie czuła się niczemu winna. Patrzyła zdumiona na Ludwika i zakłopotana wzruszyła ramionami. – Trudno, prawdziwa dama ze mnie nigdy nie będzie. Atmosfera pralni będzie ciążyć na mnie do końca życia.

– Potrafisz sobie wyobrazić, że pewnego dnia musiałabyś tam wrócić?

Zrobiła wielkie oczy, zakryła smukłą dłonią lekko drżące usta i cicho, niemal niezrozumiale wyszeptała: – Tylko gdyby dobry Bóg tak chciał. Dobrowolnie nigdy! Nowe życie jest cudowne i przepiękne, i chyba bym oszalała, gdybym musiała wrócić do starego.

Wstał i podszedł do niej bliżej. Patrzył na jej odsłonięte ramię i miał wielką ochotę złożyć na nim pocałunek, ba, przygarnąć mocno Józefę do piersi i przyłgnać ustami do jej warg. Nie, nie teraz, gdy w jej oczach widać było strach, że baśniowo piękne życie może nagle okazać się tylko snem.

– Przecież to niemożliwe, Józefo. Tu jest teraz twój dom, twoja fabryka i nikt nie ma prawa zabrać ci niczego. Nie próbuj nawet myśleć, że coś możesz stracić.

– Dziękuję ci, kuzynie, za dodanie mi otuchy, ale tak to już jest: kto ma dużo do stracenia, boi się coraz bardziej. Boże, zupełnie zapomniałam, że są w domu inni goście. Tak się cieszę, że przyjechał Kurt i mama Helmera. Oboje wyglądają na bardzo szczęśliwych, nie sądzisz?

– Też pytanie! Kurt zdaje się ma już za sobą tęsknotę do pustynnych wypraw. Osiadł we Francji i zasmakował w domowym zaciszu.

## XVI

Minęły pierwsze trudne tygodnie współpracy obojga właścicieli fabryki Schottlera. Ludwik z zadowoleniem musiał przyznać, że Józefa potrafiła podjąć zaskakująco trafne decyzje, przedstawić całkiem rozsądne propozycje i dzień po dniu nabierał przekonania, że testament wuja nie był wcale pozbawioną sensu pomyłką.

Bawił się skrycie, patrząc na wysiłki Józefy, która usiłowała w jego obecności zachowywać się jak prawdziwa dama, nie zdając sobie sprawy, że wkłada w to wiele emocji. Nikomu, oczywiście, nie zdradziła, że doktor Stiibeli w Genewie uczył ją prawie rok, jak ma postępować i rozmawiać o sprawach fabryki.

Wiosna tymczasem nadeszła z całym impetem pięknych majowych dni, a ciekawskie słońce usiłowało podglądać przez ramię Ludwika, co też on maluje w swoim notesie. Nie notował, nie dokonywał skomplikowanych obliczeń, ale właśnie malował. Oczywiście Józefę! Raz z profilu, później en face, samą głowę, potem całą sylwetkę, tylko nad kontraktem z angielską firmą Sunterby & Bloom jakoś nie mógł się skupić.

Podskoczył przestraszony i szybko zasunął szufladę, gdy drobna piastka Józefy wylądowała na drugim końcu biurka.

– Same bzdury i idiotyczna paplanina. Znowu tumany jedne nie uważali. Gapią się na mnie, jakbym była papugą w zoo, a słuchać to żaden nie potrafi.

Ludwik oparł się łokciami o biurko i patrzył, jakby został wyrwany od wymagających ogromnego skupienia zajęć, wyraźnie zszokowany, jak wtedy, gdy reklamował ile wyprasowane mankiety.

– O czym ty mówisz! Przeprowadzałem właśnie skomplikowane rachunki dla Sunterby & Bloom.

– Anglicy przynajmniej znają się na interesach i z nimi nie ma problemów. Poza tym, wcale nie liczyłeś, tylko malujesz jakichś ludzików. Patrz, co za potwierdzenie przysłali z domu towarowego Hermanna. Same bzdury. Rozmawialiśmy dobre dwie godziny, wszystko było ustalone, a ci idioci wypisują mi tu teraz...

– Same bzdury – rzekł półgłosem nie patrząc na Józefę. Zdumiona rzuciła mu papiery na biurko i oburącz sięgnęła do swoich włosów, groźnie marszcząc czoło.

– No i jak tu trzymać fason, skoro trzeba by kłąć? – zgarnęła z powrotem kartki.

Ludwik przytrzymał jej rękę.

– Pozwolisz, że rzucę okiem. Może coś przeoczyłaś.

– Szefowej nie wolno niczego przeoczyć, mój drogi. Szefowi zresztą też nie, jak mawiał doktor Stubeli.

– O, to jakiś mądry człowiek. Nie słyszałem o takim uczonym.

Ludwik przerzucał papiery i nie zauważył, że ze strachu zakryła sobie usta, by po chwili obojętnym tonem dorzucić:

– Tak mi się powiedziało. Jeżeli się pomyliłam, to i tak pójdą do pieca.

– A któż to?

– One! – ze złością wskazała na dokumenty.

– Hm! Chyba się jednak nie pomyliłaś. Muszę przyznać, że masz wyjątkowo bystre oko i wychwycisz każdy błąd. Jestem pełen podziwu.

– Daj spokój, kuzynie! Skoro już się prawie wygadałam, zdradzę ci pewną tajemnicę, tylko obiecaj, że nie zrobisz kwaśnej miny...

– Jakbym napił się octu.

– Dobrze mówisz. Otóż w porozumieniu z moim opiekunem pewien przemysłowiec z Genewy uczył mnie jak kierować przedsiębiorstwem. Rozumiesz? Wkuwałam jak dziki osioł, żeby się nie skompromitować w fabryce. Potwornie się bałam, więc jakie miałam inne wyjście! Przecież z tobą nie wytrzymałabym tu ani godziny. Jestem tylko Józefą i nikt nie zrobi za mnie niczego dla pięknych oczu.

Zamilkła, a po chwili po obu policzkach popłynęły jej łzy.

Ludwik najspokojniej w świecie sięgnął do szufladki i podał jej chusteczkę: – Pozwolisz? Łzy na jedwabiu pozostawiają plamy. Byłoby szkoda tak pięknej bluzki.

– Dziękuję – wytarła oczy i mruknęła pod nosem: – Najgorsze, że już nic się nie zmienia. Jestem niemożliwa i żadne szkoły tu nie pomogą. Nikt mnie nie kocha poza ciotką lizą i może jeszcze Helmerem.

Ludwik wstał, podszedł, objął ją z tyłu za ramiona i całując delikatnie jej włosy szepnął do ucha:

– Któż by ciebie nie pokochał, Józefo! Ja też cię kocham, głuptasku! Naprawdę nie zauważyłaś, że zarozumiała kuzyn Ludwik zakochał się w nieznosnej Józefie? Musiałby być ślepy, gdyby nie pokochał pięknej, wesołej istoty, żywo i naturalnie reagującej na świat, patrzącej radośnie ciepłymi i łagodnymi oczyma. Jakże mógłby cię nie pokochać? – przytulił ją i trzymając mocno w ramionach, całował to w usta, to w policzki, to w patrzące ze zdumieniem oczy, potem włosy, a odsunawszy nieco bluzkę także w mlecznobiałe ramiona. – Chciałem to już zrobić w czasie przyjęcia – szepnął – gdy to piękne ramię nie było zakryte. Kocham cię, Józefo, i chcę żyć już tylko dla ciebie.

– Och, kuzynie! Mój Boże, ja pokochałam cię już w dniu otwarcia testamentu, gdy byłeś mocno zszokowany zachowaniem nieznosnej Józefy, a później to było już ze mną coraz gorzej. Kuzynie, tak bardzo cię kocham!

– Dajże już spokój z tym kuzynem. Chcę się z tobą ożenić jak najprędzej i musisz mi mówić po imieniu, bo obawiam się, że masz jakieś wątpliwości i gotowa jesteś mi uciec.

– Nigdzie nie ucieknę! Zostanę z tobą – przytuliła się i popatrzyła mu w oczy. Pocałował ją. – Czy ciągle uważasz, że Józefa jest niemożliwa? – spytała po cichu.

– Niemożliwa, dopóki zadaje głupie pytania.

– A gdy rzuci ciężkim słowem i zacznie pyskować, to co?

– To zatkam jej usta, o, tak – pocałował ją kilka razy. – I nie będzie miała szans ich otworzyć.

– Pięknie. W takim razie nie muszę się już krępować i mogę trajkotać, co chcę, a wtedy ty...

– Będę cię całować, abys wiedziała, że należymy do siebie i nie chcemy się rozstać już

nigdy.

Gdy oboje wrócili z wyżyn na ziemię, od razu pomyśleli, że ciotka Ilza na pewno zemdleje z wrażenia, gdy powiedzą jej o ich decyzji. Tymczasem ciotka słuchała z uśmiechem na ustach, kiwała głową ze zrozumieniem, a na koniec rzekła:

– No, pięknie! Urządę wam jeszcze wesele i natychmiast zmykam do mojego przytulnego mieszkanka, zabiorę Helmera, a wy sobie tu radźcie sami, kłóćcie się, kochajcie i róbcie co wam się żywnie podoba.

– A ja zaraz napiszę do Kurta, że się nie pomylił, gdy ze mną rozmawiał ostatni raz – wtrącił Helmer.

– A o czym to rozmawialiście, chłopcze? Helmer uśmiechnął się rozpromieniony.

– Kurt powiedział, że kłamka już zapadła, a wujek Ludwik straci nie tylko głowę, ale i wolność.

– I napisz mu, że straciłem je z wielką przyjemnością!